STATEK GŁUPCÓW



NUMER
DRUGI
CZERWIEC 2026



CZYTAJ OGLĄDAJ ZASUBSKRYBUJ

GOŚCILI U MNIE MIĘDZY INNYMI

Marek Oramus, Jarosław Grzędowicz,
Rafał A. Ziemkiewicz, Andrzej Ziemiański, Tomasz Kołodziejczak,
Wojtek Sedeńko, Konrad T. Lewandowski, Jacek Piekara,
Wiktor Żwikiewicz i wielu innych znamienitych twórców - nie tylko fantastyki

---

@PiotrGociekZaprasza

www.piotrgociek.pl

na wstępie, czyli gadka kapitańska

Jakże łatwo jest popaść w banały albo górnolotną narrację przy pisaniu. Dlatego zacznę w stylu błazeńskim, żeby nikt sobie nic złego, a tym bardziej poważnego o nas nie pomyślał.

Do księgarni wchodzi troll i pyta: „Czy macie najnowszy numer Statku Głupców?". Większość księgarzy okazuje konsternację, część symuluje znudzone zainteresowanie, ale jeden... o, jeden chłopak szuka tak intensywnie, że w którymś momencie autentycznie wierzę, że znajdzie.

Żarty na bok, póki co w księgarniach nie macie czego szukać. Oczywiście znajdziecie nas (już znaleźliście) – pierwszy, a teraz także drugi numer – na serwerach internetowych, w naszym porcie macierzystym. Plan jest taki, że spotkacie nas też na kilku wybranych imprezach okołofantastycznych lub książkowych. Rozpiszemy ogromny plan tych imprez. Albo wybierzemy je losowo. Jeszcze nie zdecydowaliśmy. W każdym razie nie będzie w tym żadnego sensu, to jedno mogę zagwarantować.

Dobra, do rzeczy: jeśli pierwszy numer wypuszczonego na rynek pisma jest deklaracją, to drugi prawdopodobnie jest już sprawdzianem. Pierwszym złożyliśmy Wam wszystkim pewną obietnicę, Wy – przewyższając nasze najśmielsze oczekiwania – masowo odpowiedzieliście. Oto więc drugi numer, czyli nasz sprawdzian. Nie zatrzymaliśmy się na mieliźnie, płyniemy, zwiedzamy miejsca, które warte są sprawdzenia, i wyważamy dawno otwarte drzwi.

Nie chcę wyjść na aroganta, ale myślę, że poszło dobrze. Mamy na łamach głos epoki, mamy świeżą krew, mamy rozliczanie się z rynkiem wydawniczym i mamy prognozy na przyszłość, wszystko upakowane w jednym numerze.

A skoro jesteśmy przy wyważaniu drzwi, głosach epoki i przyszłości, oto mała konkluzja: w świetle ostatnich dram z Olgą Tokarczuk, która przyznała się do jakiegoś tam używania generatywnej sztucznej inteligencji, jesteśmy niejako świadkami pociągnięcia grubą kreską linii demarkacyjnej. Poza tą linią wszyscy twórcy, którzy nie wykazali się do tej pory, nie mają już szansy przejść do historii jako spuścizna ludzkości.

Już na zawsze pozostanie ich twórczość w cieniu ryzyka, że tworzyli ze sztuczną inteligencją.

Twierdzę jednak, pomimo wcześniejszego czarnowidztwa, górnolotnie, opierając się na niczym, że ludzkość na zawsze będzie miała swoje bastiony w sztuce oraz decyzjach strategicznych firm i państw (jak sądy, polityka, wojna, psychoterapia, edukacja). Nie dlatego, że jako ludzki czynnik będziemy tacy niezastąpieni, jak to sobie do tej pory roili filozofowie; pewne procesy pozostaną w rękach ludzi wyłącznie dlatego, że nie będziemy chcieli ich wypuścić i oddać kontroli sztucznej inteligencji.

Wiele dawnych wyobrażeń naszych myślicieli opierało się na założeniu, że kreatywność, język czy dedukcja są w jakiś sposób magiczne, nadane nam boską mocą, a nie emergentne, możliwe do nauczenia albo wręcz stworzenia od zera. Ludzie więc zakładali, że maszyna pokona nas w fizyce, matematyce i logice, ale sztuka czy narracja pozostaną twierdzą. Tymczasem poszło zaskakująco szybko.

Tak więc część procesów pozostanie pod ludzką kontrolą nie dlatego, że AI nie potrafi ich wykonywać, ale tylko i wyłącznie dlatego, że ludzie będą chcieli zachować sprawczość – albo poczucie sensu. Niektóre rzeczy, jak sztuka, mogą zostać ludzkie z powodów kulturowych albo psychologicznych.

I być może właśnie tam, przez długi czas, będzie leżał prawdziwy ciężar człowieczeństwa: w próbie odpowiedzi „po co w ogóle coś tworzyć?" Jeżeli tak będzie, obierzemy kurs na ten port dla Was.

PS - Spisu treści nie ma, albowiem środków nie stanęło, ale Państwo jesteście już duzi, wierzymy, że nawigacja pójdzie sprawnie. Powodzenia!



motto numeru:

Napiszmy w drugim numerze, że zwiększamy nakład!
@wojtek.moska

zapasowe motto numeru:

To był dobry dzień, jeśli wisi półka, a nie ty
@kanon_ksiazki_koniecznej

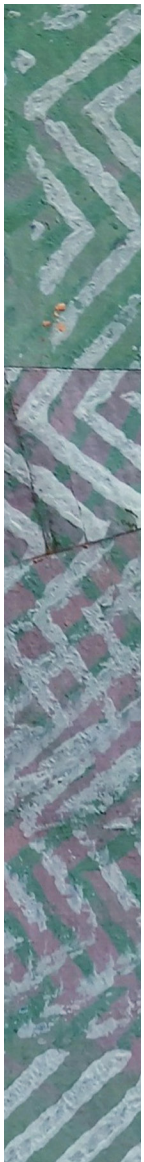

ZAŁOGA/REDAKCJA

DZIAŁ LITERATURY:
Maciej Szmajdziński IG: @maciej.szmajdzinski
Wojciech Moska IG: @wojtek.moska
Adam Sołtys IG: @miejski_czarodziej

DZIAŁ PUBLICYSTYKI:
Klaudiusz IG: @kanon_ksiazki_koniecznej
Tomasz Ziembicki IG: @tom_not_a_bookworm
Paula Wilkan IG: @mrovisko

DZIAŁ RETRO:
Marcin IG: @sirminfo

DZIAŁ ROZRYWKI:
Anna Samczyńska IG: @pani_jezi0ra
Małgorzata Jachim IG: @zaczytana_farmaceutka

DZIAŁ POEZJI / GALERNIK:
Paweł Marciszewski IG: @myniemarzniemy

DZIAŁ GRAFICZNY/SKŁAD NUMERU:
Paulina Stefaniak IG: @ciemnastronaracucha
Paweł Marciszewski IG: @myniemarzniemy

Z-CA REDAKTORA / DZIAŁ KOMIKSU:
Mateusz Szłapka IG: @strongsilenttype_ _

REDAKTOR NACZELNY:
Łukasz Wilkan IG: @bookstore_troll



rys. Paulina Stefaniak

OPOWIADANIE

NASZ UKOCHANY DOM

PIOTR PERKOWSKI

Czy to jeszcze samotność i szaleństwo, czy to już ponadnaturalne zjawiska? Czy to piętno wojny odciśnięte w mniej oczywistym miejscu, czy potwór wymykający się naszej percepcji? Piotr Perkowski zabiera nas na zwiedzanie domu, który natychmiast zdobył nasze redakcyjne serca. Uważajcie, ponieważ nie chce ich oddawać.

Nie wiem, jak długo nie dostałam od Ciebie listu.

Nie wiem, czy żyjesz. Co, jeśli przeszył Cię nabój wystrzelony przez przypadkowego człowieka? Człowieka, którego nigdy nie poznałeś i nie poznasz. Może zostalibyście przyjaciółmi? Znaleźli jakąś wspólną pasję?

Rośliny.

Uwielbiałeś rośliny. Nie potrafiłam zrozumieć, co takiego w nich widzisz, ale czułam, że dają ci szczęście. Kochałam patrzeć, jak się nimi zajmujesz. Byłeś wtedy taki dokładny. Delikatny. Tęsknię za tym.

Tęsknię za Tobą. Wiesz, co jest w tym najgorsze? Z każdym dniem twoje rysy coraz bardziej się rozmywają. Jakbym traciła jakąś część ciebie. Jakbym traciła jakąś część nas.

Czytam gazety. Kampania idzie zgodnie z planem. Zwycięstwo za zwycięstwem. Ale ludzie mówią co innego. Jeśli jest tak źle, dlaczego mi o tym nie piszesz? Dlaczego nie wysyłasz listów? Boisz się, że przytłoczy mnie ciężar frontu, który przelejesz na papier? Dlaczego mnie chronisz? Nie chcę tego. Tak bardzo nie chcę. Niewiedza jest gorsza od najbrutalniejszej prawdy.

Nie wiem, co czuję. Siedzę, patrzę w ścianę, a pustka, którą po sobie zostawiłeś, przygniata. Nie potrafię się niczym zająć. Mało jem. Mam wrażenie, że ten dom, w którym spędziliśmy tak wiele szczęśliwych chwil, stał się więzieniem. Kurz i pajęczyna oblepiły meble, cisza zaległa w kątach, drzwi skrzypią, jakby nie były od kilkunastu lat używane. Chciałabym coś z tym zrobić. Przywrócić trochę dawnej przytulności, ciepła. Nie umiem. Nie umiem wstać z przeklętego fotela, chyba jestem do niego przyklejona.

Zaczęłam nienawidzić ten cholerny dom.

Proszę, odpisz.

Anna

***

Pamiętasz festyn dwa lata temu? Przyjechał pan Albert ze swoimi pacynkami.

Było w tych lalkach coś hipnotyzującego. Zręczne ruchy pacynkarza wprowadzały mnie w trans, z którego nie potrafiłam się wyrwać. Przenosiły mnie do innego świata. Świata magii i łamiących serce historii. Na Ciebie to nie działało. Uważałeś, że to rozrywka dla gawiedzi, głupiego tłumu, który nie potrafi przeczytać książki. Ale i tak oglądałeś ze mną te spektakle. Nie chciałeś mi tego odbierać, bo widziałeś, jaką radość mi sprawiają. Robiłeś to dla mojego uśmiechu. Dla mnie.

Coś jest ze mną nie tak. Powinnam udać się do lekarza, czuję się coraz gorzej. Jestem ociężała, nawet najmniejszych ruch wymaga ogromnego wysiłku. Mam dziwne wrażenie. Nie. ~~Nie napiszę o tym. Musi mi się tylko wydawać, wyśmiejesz mnie. Przecież Ty mnie nigdy nie wyśmiałeś. Zawsze słuchałeś, rozmawiałeś.~~

Jakby ten dom chciał mnie wciągnąć. Czasami czuję, że ściany się nachylają, a cegły kominka drżą na mój widok. Jest mi tu źle, ale nie ma innego miejsca, w którym mogłabym przebywać. Paszcza domu się zaciska. On zdobywa siłę, budzi się do życia. Wiem to. Wyczuwam, jak meble reagują na moją obec-

ność. Podskakują, machają drzwiczkami, są zadowolone. Gotowe do działania, energiczne, wybudzone ze snu.

To prawda? Ułuda?

Już w dniu Twojego wyjazdu wiedziałam, że bez Ciebie nasz dom, miejsce, w którym chcieliśmy zbudować przyszłość, całkowicie się zmieni. Stanie się niepełny. Pamiętam wyraz Twoich oczu. Mówiłeś, że wrócisz szybko, cały i zdrowy. Że to tylko kilka miesięcy, że nie mam się czym martwić. Ale Twoje oczy mówiły co innego. Widziałam w nich niepewność i strach.

Nie żyjesz. Kula przeszyła Ci nogę, mogłeś przeżyć, ale w ranę wdało się zakażenie. Lekarz zalecił amputację. Miałeś wrócić do domu jako kaleka i spędzić w nim resztę swoich dni. Miałeś żyć, ale coś poszło nie tak. Wykrwawiłeś się na stole operacyjnym.

Anna

***

Przyciąga mnie. Dzisiaj przez dwie godziny opierałam się plecami o chłodną, wyłożoną kafelkami ścianę w kuchni. Nie mogłam się od niej oderwać. Dom chciał, abym tam stała. Chciał, aby moje ciało przeszywało nieznośne zimno. To był pokaz siły. Demonstracja.

Odkąd zaszło słońce, próbuję napisać list. Przelewam myśli na papier, ale po chwili zgniatam go w kulkę i wrzucam w ogień kominka. Pożera je, karmiąc się moim żalem, niemocą. I tak ciągle. Próbuję, wyrzucam, próbuję, wyrzucam. Chcę do Ciebie napisać, jednak gdy przychodzi co do czego, mam wyrzuty sumienia. Wojna jest wystarczająco trudna. Nie chcę, żebyś do tego przejmował się moim stanem. Nie chcę dokładać Ci zmartwień. Nie wiem, czy uda mi się skończyć jakikolwiek list.

Robi się zimno. Gazety mówią, że nadchodząca zima nie zatrzyma wojny. Że Francuzi są przez was tłamszeni. Że zwycięstwo to tylko kwestia czasu. Chciałabym, żeby to była prawda, ale gdzieś w głębi duszy nie potrafię w to uwierzyć.

Oszalałam. Wiem to. Coraz bardziej odczuwam moc miejsca, w którym budziliśmy się każdego dnia. Nie widzę żadnego innego wytłumaczenia. Musiałam oszaleć. Nasz dom żyje. Czuję się obserwowana. Płomień w kominku nie odwraca ode mnie wzroku. Ściany podnoszą powieki, gdy koło nich przechodzę. Szuflady się wysuwają, jakby chciały mieć lepszy widok.

Czasami uznaję, że umarłeś. Wojna cię przytłoczyła. Miałeś już dość bólu, śmierci, nienawiści i hałasu. Postanowiłeś z tym skończyć. Rozsypałeś amunicję po okopie, rozlałeś benzynę. Wystarczyło pociągnąć za spust. Jeden ruch i byś się od tego uwolnił. Jeden ruch i wszystko wyleciałoby w powietrze. Nie zawahałeś się.

Anna

***

Pamiętasz, jak pierwszy raz na mnie nakrzyczałeś? Zaprosiliśmy rodzinę i Twoich przyjaciół. Co zrobiłam źle? Powiedziałam nieodpowiednią rzecz? Zachowałam się nietaktownie? Zaciskałeś zęby, dyszałeś. Uniosłeś rękę. Czekałam na uderzenie, czekałam na ból, ale Ty jedynie mnie przytuliłeś, szybko, niedokładnie i wróciłeś do gości.

A może to właśnie Twoja prawdziwa twarz, a wszystko, co dotychczas znałam, było jedynie maską, pod którą ukrywałeś kłębiące się emocje? Może wszystkie złe uczucia przechodziły na ten dom? Może karmiłeś go swoją skrywaną złością, gniewem, nienawiścią?

A teraz ja go karmię. Karmię go sobą.

Kominek objął moją rękę. Wchłonął ją. Czuję, jakby rozpadła się w nim na komórki. Są wyczuwalne, są moje, ale razem nie tworzą już organizmu. Utraciły formę. Podróżują w środku czerwonych cegieł bez więzów.

"Tak, właśnie tak" – mówią ramy okien.

"Dokładnie tak" – dodają firanki.

Dosięgam stołu, na którym zostawiłam stos kartek, pióro i kałamarz. Teraz tylko to mi zostało. Pisać listy. Pisać listy, których i tak nigdy nie przeczytasz. Nigdy nie przeczytasz, bo nie żyjesz. Napadli na was w nocy, nie byliście przygotowani. To była rzeź, cięli was jak zwierzęta w ubojni. Odpadały głowy, lała się krew. Miałeś jakieś przeczucie, zachciało ci się powdychać świeżego powietrza. Wyszedłeś na krótki spacer i wtedy zaatakowali. Słyszałeś wszystko, co się działo. Twardzi żołnierze wrzeszczeli, płakali, modlili się o litość. To było porażające. Mogłeś uciec, zostawić to wszystko daleko za sobą, ale stałeś jak wryty. Aż wreszcie Francuzi Cię znaleźli. Szybkie cięcie, głowa w błocie. Podnieśli ją i nabili na pal. Nabili i zanieśli z powrotem do obozu jako trofeum.

Anna

***

Dlaczego piszę takie rzeczy? Nawet jeśli nigdy tego nie przeczytasz, dlaczego przelałam na papier tak obrzydliwe myśli? Dlaczego byłam w stanie to zrobić?

Kominek mnie pochłania. Wciągnął moją rękę aż po łokieć. Dotyka mnie coś obślizgłego. Jak rojowisko węży czające się na ofiarę.

Udało mi się przysunąć stół. Nadal mogę korzystać z papieru. Po co mi on? Może powinnam wrzucić te wszystkie kartki do kominka? Nie chcę pisać. Boję się, co jeszcze z siebie wyrzucę.

A jeśli wrócisz do pustego domu i znajdziesz te wszystkie listy, których nie zdążyłam wysłać? Nie chcę, żebyś pomyślał o mnie źle.

Nie mam wątpliwości, że nieważne, co wydarzyło się na froncie, już nigdy się nie spotkamy. Już nigdy nie dotkniesz mojej twarzy, nie pogłaszczesz mnie po włosach. Będę tutaj, ale w inny sposób. Stanę się częścią naszego domu. Częścią ścian, mebli. Będę przy Tobie cały czas, ale jednak daleko, gdzieś indziej.

Przecież i tak nie żyjesz. Francuz cię upolował i zjadł na śniadanie, zagryzając komiśniakiem. Bo jesteście dla nich zwierzyną. Królikami do odstrzału, zabawą dla zabicia nudy.

Anna

****

Kominek wchłonął połowę mojego ciała. Jestem rozdarta pomiędzy dwoma światami. Rozumiem więcej, widzę więcej.

Jestem pożerana, ale każddy kęs poszerza mój punkt widzenia. Rozumiem, zaczynam rozumie. Nigdy nie pomyślałabym, że stoi za tym taki powód. HAHA! Ale byłam głłupia. Najgłupsza! Byłam idiotką, która nie widziała najważniejszych rzeczy.

Dom chce jak najlepiej. Rozumiesz? On mi pomaga, daje mi swoje ciepło, chce ~~mnie~~ wesprzeć. Wciąga ~~mnie~~ w siebie, żeb iy było **~~mi~~** lepiej. On zawsze tak robił. Opiekował się swoimi mierzkańcami i **pomagał**, jak umiał, gdy nie dawali już rady. Jak mogłam tego nie zaóważyć? Haha!

~~Anna~~
~~Anna~~
~~ANNA~~
~~AAA~~
An

***

Dom ~~mnie~~ wciąga.

Nie mogę siem wyrwać. Jyestem jak zwierzyna, na której nodze zaci snęły się stalofe szczęki.

Płaczę, mimo, że niedaw no utraciłam takom umiejętność. Nie ma jusz niczego, co mogłobyl wypuszczasć ze mnie lzy. Nie czuję się jak ~~czlowiek~~. Jestem inna, jestem częścią **domó**.

Moje ręce wystają z boków komiinka. Pisanie je st trudnością, ale wysilam się, żeby stawiać koslawe kreski, składam je w ledwo czyrtelne słowa, zdania. Patrzę na to wszystko inaczeij. Z gury, z dolu, z boku. Jakbym ~~była~~ wszedzie, a jednocześnie nigddzie.

Dom się mną zaopiekował, wwiesz? Och, jak świe tnie sie mno zajął. Zabrał ~~mi~~ normalne życjie. Zabrał je, ale wziął ruwnież problemy, niemoc, to wszystko, co niszczyło ~~mnie~~ od srodka. On wiedzział, czego potrzebuję.

Zostane tu na zawse. Ww tym **domu**. Będe jego częśćią. Jestem jego częśćią! Będę opiekowała się przyszłymi miesz kańccami, zeby dobroć tego kochanego **DOMU** nigdy nie wyparowala. Tak! Tak będę robic!

Wrzucam wszystkie listy w swuj bżuch, w kominek. Płonąm. Pochłania jje ogień. Niech to, co skkrywa nasz ukohany **DOM**, pozostanie ukryte. Tak powinno byc. Tak powinno zostać.

DOM

OPOWIADANIE

LATA PIELGRZYMSTWA

PAWEŁ MARCISZEWSKI

Paweł, okrętowy człowiek-orkiestra, poeta, grafik, montażysta, śpiewak i grajek, fascynat sztuki, dobrego jedzenia, obnażania się w niestosownych momentach i radosnej, nieskrępowanej zabawy, pokazuje nam, do czego służy literatura. I podróżowanie.



rys. Paulina Stefaniak

Choć spory wycinek w stosunkowo jeszcze niedługim życiu H. stanowią podróże, to sam H., myśląc o sobie, nie myśli nigdy: podróżnik. Jego wędrówki są chyba zbyt małymi przedsięwzięciami, tak uważa. Tutaj chodzi bardziej o przemieszczanie się, niż podróże jako takie. Jakoś trzeba dotrzeć na południe. Jakoś trzeba dotrzeć nad morze. „Ja tam, bynajmniej, w celach rekreacyjnych nie jeżdżę" – będzie się zarzekał, jeśli go zapytać. „Ja tam mam ludzi do spotkania, znajomych do odwiedzenia, sprawy do załatwienia." Patrząc w pociągowe okno, zwykł popadać w zadumę, głowić się nad rzeczami, na które zazwyczaj czasu nie miał. Niczego bowiem, tak jak marnotrawstwa, nie toleruje. A podróż, wiadomo, czas magiczny i wycinek z życia, do sumy ogólnej się nie zalicza. Nikt nie wyrzuca sobie, że traci czas na sen, podobnie jak u nikogo wyrzuty sumienia nie lęgną się na skutek tego, że w podróży myśli o niebieskich migdałach.

Najbardziej dziwi go, jak to jest, że punkt A, w którym zaczyna się każda podróż, z jakichś przyczyn zawsze różni się od punktu B, gdzie każda się kończy. Chodzi rzecz jasna o coś innego niż bycie w innym miejscu, chodzi raczej o bycie w innym stanie. Przemiany te dotyczą przede wszystkim jego samego, zatem ilekroć dociera do miejsca przeznaczenia, stoi jeszcze kilka chwil na peronie i przypatruje się dłoniom, jakby sprawdzał, czy przypadkiem nie brudne, najpierw z jednej, potem z drugiej strony; tak naprawdę sprawdza wtedy, czy to te same, czy nie inne. A jeśli znajdzie na dworcu spore lustro, to i całego siebie lustruje w tym lustrze, czy aby z ostatniego pociągu nie wysiadł przypadkiem nieco inny, niż był wsiadał. A jeśli okaże się, że jakieś zmiany zaszły, siada w przydworcowej kawiarni i popijając kawę, stara się odtworzyć w pamięci przebieg całej podróży, znaleźć moment, w którym mogło dojść do zmiany. Nie trzeba dodawać, że jest to każdorazowo moment nieuchwytny, poszukiwania takie są więc bezowocne. Szczęśliwie kawa na dworcu to rzecz na tyle dobra, że trawienie czasu na przeszukiwanie pamięci nie jest wcale jego marnowaniem.

Myśli nieraz H., stary miłośnik Hellady, o przeprawie przez Styks, że i on podobnie się przeprawia. Przez zamiłowanie do antyku, tak sobie myśli i lubi wyobrażać sobie, że antyk jeszcze nie minął, jeszcze się nie skończył. Korci go nawet nieraz, a pomysł to cokolwiek zabawny, by wsadzić bilet do ust i potem, podczas kontroli, wyciągnąć język i jak obol pokazać. Czemuś się jednak powstrzymuje.

Stoi tak teraz przed dworcowym lustrem i przygląda się sobie, jakby jakiemuś obcemu współpodróżnemu. Szkła w okularach jakby bardziej okrągłe, chyba kilka nowych siwych włosów, wciąż nielicznych jeszcze i wyraz twarzy lekko zmieniony. I ma już trzydzieści kilka lat. Jak i kiedy się to stało, że ma już trzydzieści kilka lat? W którejś z minionych podróży, w którejś z nich musiała zajść zmiana, której nie zauważył... Siedzi więc potem i wylicza w pamięci kolejne przypadki.

Ostatniego lata miał do przejechania trzysta kilometrów, cztery godziny w kierunku południowym. W przedziale tylko dwójka młodych ludzi, być może para, siedzieli blisko siebie, choć osobno, bo każde ze swoimi słuchawkami i swoją muzyką w uszach. „Jednak para" – wywnioskował H., widząc jej rękę wspartą na jego kolanie. Odwiesił torbę, rozsiadł się w przeciwległym kącie przedziału, rezygnując tym samym z bliskości okna i należnego mu miejsca, jednocześnie zyskując możliwie sporą odległość od współpasażerów. Usadowił się wygodnie, wyciągnął książkę i zaczął czytać, a gdy tylko ucichł gwar peronu i szum zajmowanych w całym wagonie miejsc, nagle zaczęła doń docierać muzyka, grająca co prawda w słuchawkach, wydostająca się jednak na zewnątrz, jak pies, co to zerwał łańcuch. Kilka głębokich i ostentacyjnych westchnień, mających jasno zako-

munikować zniecierpliwienie, nie przyniosło żadnego skutku; rytmiczny, popowy szum nadal wypełniał przedział, zresztą jak, zasłuchani, mieli to usłyszeć? Pozostało już tylko wstać i zmienić miejsce, co uczynił prezentującymi niezadowolenie ostrymi ruchami oraz z dezaprobatą wyraźnie wyrysowaną na twarzy. Wszystkie te starania nie zwróciły najmniejszej uwagi towarzyszy podróży, zawieszonych gdzieś pomiędzy widokiem za oknem, sobą a słuchaną muzyką.

Sąsiedni przedział ział pustkami, zamiana miejsc poszła więc nad wyraz gładko, co niestety nie zagwarantowało ani pogody, ani pokoju ducha, ponieważ pan H. po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, podróżował nie na swoim, przypisanym mu przez bilet miejscu. Tak też czuł się przez cały czas podróży, przez całe cztery godziny między północą a południem: nie na swoim miejscu. Na każdej stacji przepełniał go irracjonalny niepokój: co jeśli nagle przedział wypełni się właściwymi pasażerami i zostanie wyproszony? Jak uniesie ten wstyd? Na wszelki wypadek nie siadał pod oknem – w końcu to do miejsca pod oknem każdy wsiadający zgłasza pretensje w pierwszej kolejności – oszczędził sobie zatem największych możliwych problemów. Ale wstydu nie było, nikt nie wsiadł aż do końca.

Stał potem przed lustrem i przyglądał się sobie, mijające osoby odwracały się i gapiły, choć wcale wielkiego widowiska nie wyczyniał. Później, rozbierając się już wieczorem, odkrył, że bluzka pod koszulą założona była na lewą stronę, na nogach zaś miał dwie różne skarpety, wszystko wyraźnie nie na swoim miejscu, choć pamiętał dobrze, że zakładał właściwie, zawsze zakłada. Podróż, czas magiczny.

Ale to nie to, popijając kawę musiał sięgnąć dalej, to nie tutaj się zmienił, to, najwyraźniej, gdzieś wcześniej być musiało.

Lista spotykanych w pociągach kobiet to jest osobny temat – lista to co prawda długa, choć, Bogiem a prawdą, nic z tej długości nigdy nie wynika. H., stary zjadacz książek cieszy się wielce, że czynność czytania w pociągach odbywa się częściej niż poza nimi – jest to zawsze jakaś sposobność do odezwania się i poznania kogoś – nie żeby dotąd to robił, niemniej istnieje taka możliwość i nie wiadomo, może kiedyś przyjdzie mu z niej skorzystać. Podróż, czas magiczny, nie śmie przerywać go innym, nie narzeka jednak, gdy inni przerywają jemu.

Najcieplej wspomina pewne grudniowe spotkanie, znów podczas podróży na południe. Dziewczę miało może dwadzieścia lat i było niewysłowienie piękne: burza kręconych włosów, uśmiech i lekki zez, który paradoksalnie niczego nie burzył; wręcz przeciwnie, bez niego byłaby zaledwie bardzo ładną dziewczyną, on zaś czynił z niej zjawisko w zasadzie nadprzyrodzone. Sama chyba nie zdawała sobie sprawy ze swojej siły rażenia, może wręcz się wstydziła, cały czas pozostając w bladym cieniu niepewności. Swoją niezwykłość dopełniała grą na fortepianie, o której skwapliwie opowiadała, widząc, że znajduje szczerego słuchacza, może nikt inny słuchać nie chciał – H. od zawsze zwykł uważać, że muzycy, malarze i wszyscy inni, obdarzeni niezwykłą zręcznością artyści, to niemal nadludzie, o czym nie omieszkał poinformować towarzyszkę podróży. Dla kontrastu studiowała jakiś absolutnie praktyczny i ścisły kierunek. Do dziś, gdy H. zestawia w myślach wszystkie te cechy, nie może się nadziwić ich wspaniałości.

Więc jadą tak, a za oknem deszcz, a pod nogami stukot kół na torach – tuk-tuk-tuk-tuk – ona uśmiechnięta i rozgadana, a on zachwycony i zasłuchany i nagle powiada tamta:

– To już ostatni.

– Co ostatnie?

– Pociąg. Zawieszają to połączenie.

– Ale jak to? – zapyta tamten.

– Ano tak, w rozkładzie widziałam i od jutra remont na całej trasie. Od samej północy po samiutkie południe.

– Aha.

I on wtedy już wiedział, że po wszystkim, że remont na całej trasie i choćby teraz zrobił wszystko, co może, to sprawa przegrana, w rozkładzie tak to rozpisano. I ona wtedy, żeby wszystko potwierdzić i raz na zawsze przypieczętować, wstaje i oznajmia, że za chwilę jej stacja, chociaż dwie dopiero minęli, że pora wstawać i wysiadać. Że dnia dobrego, że za rozmowę dziękuje i że miło było, i wszystkie te inne rzeczy, które mówi się na koniec dwudziestominutowych znajomości.

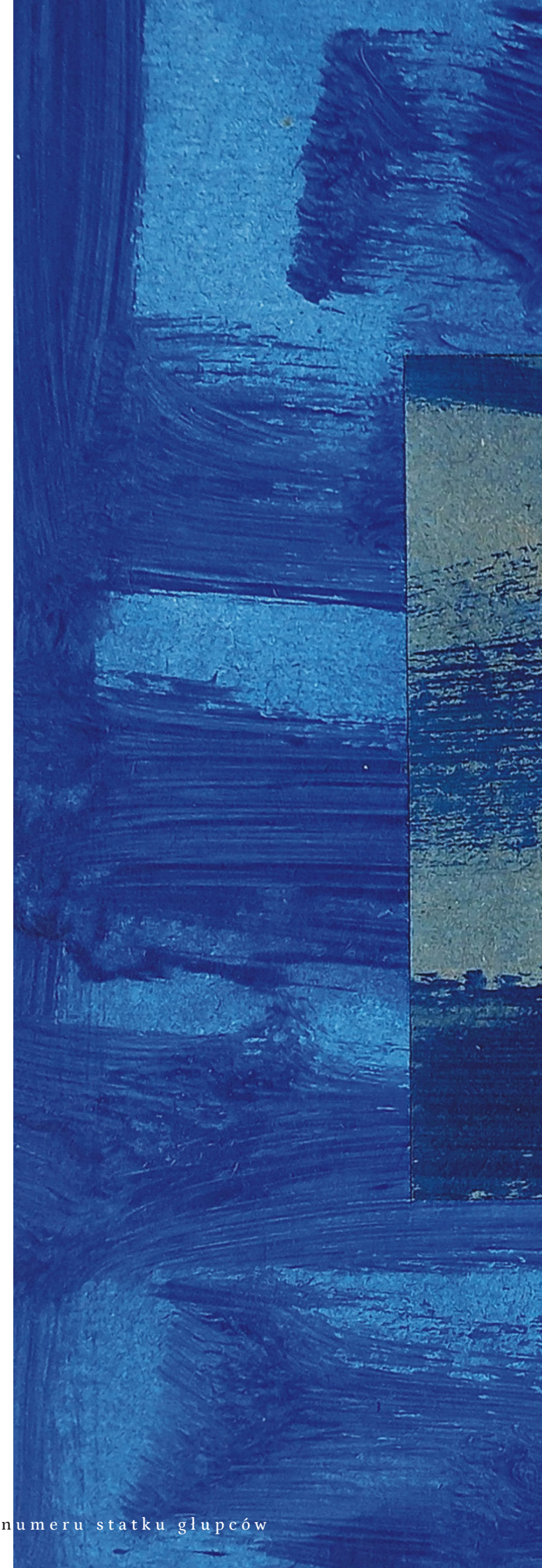

Wstaje więc i wysiada, z tego pociągu i z życia H., raz na zawsze. Potem jeszcze zobaczy ją na jakimś dworcu, kilka miesięcy później, ale nie podejdzie, nie powie nic o pociągu, który już nie jeździ, w końcu remont na całej trasie i dla pewności w rozkładzie zapisane: sprawa przegrana.

Po wszystkim, już w hotelu, H. odkrył, że sznurówki w jego butach żółte, chociaż rano wiązał czarne. Coś zmieniło się po drodze.

Ale to nie to. To nie tutaj.

Dalsze wspomnienia. Razu pewnego, tym razem było to lato, trafił H. na wagon bezprzedziałowy, miejsce przydzielono mu w środku, tymczasem w części przedniej jechała wesoła i gwarna grupa kibiców jakiegoś klubu. I nic dobrego w tej wesołości i gwarze nie było. Skulił się zatem H., wsadził nos w książkę i starał się nie słyszeć kolejnych zaczepek pod różnymi adresami kierowanych, wszystkich piosenek, z których dowiadywał się, kto bracia, a kto kurwy, i całą tę podróż rosło w nim przeświadczenie, że powinien wstać, pójść tam i powiedzieć to, albo owo; niczego podobnego jednak nie zrobił, miał dziwne przeświadczenie, że trafił na ten rodzaj człowieka, który najpierw wyrzuca cię z pociągu, potem dopiero zastanawia się, dlaczego to zrobił. Tego wieczora, lustrując się w łazience, czuł się mniejszy, czuł się tchórzem, nie wstał, nie podszedł, nie zwrócił uwagi, już nigdy nie wstanie, nie podejdzie i nie zwróci uwagi. Zapadło. Rano ze zdziwieniem zauważył, że wszystkie rzeczy w walizce są na niego o rozmiar za duże.

Innym razem, nieco wcześniej, trafił na przedział zajęty przez świętujących coś młodych ludzi, zdaje się również kibiców. Trochę przeraziła go ta zamknięta przestrzeń, dobrze wiedział, że wśród śpiewów i śmiechów niczego nie przeczyta, niczego nie wymyśli. W końcu, zapytany, czy się nie napije, przyjął zaproszenie i przez resztę drogi nauczył się niezbędnych przyśpiewek, wtopił się w ten przedział jak kameleon, do dziś uważa tę podróż za jedną z lepszych i bardziej udanych.

Jednym z najgorszych było z kolei natknięcie się na przedział wypełniony młodzieżą, która zamiast iść w pielgrzymce, postanowiła dotrzeć do pewnego sanktuarium pociągiem. Na osiem miejsc przedziału, poza H., mającym miejsce pod oknem, siedem pozostałych zajmowali ci kolejowi pielgrzymi; znalazło się też miejsce na trzy gitary, mały bębenek, a nawet marakasy, owoc jakiejś iberyjskiej fascynacji. Trzy godziny podróży szczelnie wypełniły kolejne, wzbogacane układami choreograficznymi pieśni, przerywane jedynie z okazji kolejnych anegdot i żartów, w końcu grupa była mieszana, chłopcy więc na wyścigi konkurowali o miano najbłyskotliwszego i najzabawniejszego, tymczasem skulonego pod oknem nieszczęśnika bolały od tego wszystkiego zęby. I choć sam też w sanktuarium tym czy tamtym bywał, znalazł w tej grupie największych wrogów; z wdzięcznością i ulgą spotkałby wówczas ową rozśpiewaną, agresywną grupę, której nie śmiał zwrócić uwagi...

Z młodzieńczych podróży, tych majaczących na skraju pamięci, wyniósł H. dwa wspomnienia, po które także w swych poszukiwaniach sięgnąć musiał. Pierwsze to wielokrotnie spotykani żołnierze jadący na przepustkę. Do dziś, gdy trafia do przedziału z kimś w mundurze, odczuwa nieuzasadniony i dziwny niepokój. Kilka dłuższych i miłych rozmów, pozwoliło mu ograniczyć go do minimum.

Drugim wspomnieniem jest autobus, H. jedzie nim z mamą, jedzie, trzyma się maminej spódnicy i boi się bardzo. W tyle autobusu jedzie staruszka i na kolanach wiezie kota. Wtem do pojazdu wpadają dwaj kontrolerzy i sprawdzają wszystkie bilety, co było akurat ciekawe: przez całe dzieciństwo był pierwszy przy kasowniku i musiał skasować bilet sobie, siostrze, mamie i tacie, wszystko, co związane z biletami niezmiernie go fascynowało, fascynowała go również ta kontrola, chyba pierwsza jaką pamięta. Nie słyszał jeszcze o obolach, więc nawet nie przyszło mu na myśl, żeby położyć bilet na języku i w ten sposób uczynić z siebie duszę nieboszczyka, z kontrolera zaś Charona; podróż, czas magiczny.

W końcu dwu mężczyzn dotarło do końca autobusu, gdzie siedziała owa staruszka i jej kot z nią siedział, zaczęła się awantura. Oni domagali się biletu także dla zwierzęcia, ona płacić nie chciała, zaczęli więc krzyczeć, ubliżać jej, wyśmiewać, może nawet szarpać, wspomnienie nie jest wyraźne. Ona chciała jechać do końca, oni chcieli ją wyrzucić. Jak skończyła się ta historia, tego H. nie pamięta. Pamięta, że był przerażony, nigdy wcześniej nie widział i nie słyszał, żeby ktoś na kogoś wrzeszczał, żeby ktoś kogoś szarpał. I bał się później przez czas jakiś wsiadać w autobus i musieli go uspokajać rodzice, że to na pewno już się nie zdarzy. I mieli rację, już nikt nigdy nikogo za kota wyrzucić znikąd nie chciał, przynajmniej w tym, co zapamiętane.

To znów nie tutaj, zostało jeszcze ostatnie wspomnienie, jak ostatni ratunek.

Pierwszą, związaną z podróżą rzeczą, jaka majaczy w pamięci H., jest szary dzień, deszcz, grzmot wtaczającego się na stację pociągu i zimny kamień peronu. Jest jeszcze dzieckiem i cały ten huk przeraża go, kładzie się więc plackiem na ziemię, z wszystkich sił bije w nią pięściami i na całe gardło wrzeszczy. Tata bierze go na ręce i wnosi do pociągu, jak w brzuch jakiegoś wielkiego, czarnego potwora, chłopiec dobrze pamięta, dwa światła zbliżającej się lokomotywy, jasne jak potworne ślepia i dobrze pamięta to spojrzenie, które nigdy nie oznacza niczego dobrego, jest więc przerażony. Wszystko inne ginie we mgle.

To właśnie tam, przed wejściem na peron, musiał pozostać prawdziwy H., ten niezmieniony, właściwy. Ale jego obecny H., pochylony nad pustą filiżanką po kawie, już nie pamięta.

A teraz przyjechał nad morze. Ten obecny H., różny od siebie samego z każdego wspomnienia. Wyszedł ze stacji i zanim złapał taksówkę, przyglądał się jeszcze chwilę swojemu odbiciu w sklepowej witrynie, jakby jakiemuś obcemu współpodróżnemu. Szkła w okularach, jakby bardziej krągłe, włosy bardziej zmierzwione i znowu nieco bardziej siwe, wyraz twarzy nieco inny. Więc znowu, znowu, znowu! Skąd te wszystkie zmiany?

Wzrusza ramionami, wsiada w taksówkę, każe wieść się nad morze, byle bliżej, i patrząc przez szybę w niebo, myśli sobie, że podróż to czas magiczny. Potem wysiada, przechodzi kilkaset metrów, zdejmuje buty, skarpety i przez ciepły piasek rusza w stronę morza. Będzie tak siedział przez pół dnia z nogami ginącymi w rozmywających się falach i będzie układał sobie to wszystko w głowie. Całą galerię współpasażerów, pijanych chuliganów, dziewczynę z zezem, za którą tęsknił będzie już na zawsze, staruszkę z kotem...

„Kiedy ja się zmieniłem?" – myśli sobie H. „Kiedy stało się to wszystko?" Na jednym końcu jest on, leżący na peronie, tłukący pięściami w ziemię, na drugim końcu jest także on, na tej plaży, z nogami w wodzie. Potrafi wyliczyć wszystko, co stało się w międzyczasie, wszystko doskonale pamięta, a jednak ze zdziwieniem przygląda się swoim rękom, patrzy na ślady stóp na piasku. Gdzie jest tamten chłopiec? Co się z nim stało, między punktem A a punktem B? Podróż, czas magiczny.

W końcu ustępuje i kładzie się. W nogach ma szum wody, we włosach piasek i myśli sobie, myśli sobie, czy przypadkiem tamten remont, remont linii na południe, tej którą zamknęli, czy on już się nie skończył? Czy jeśli wsiądzie w ten pociąg, spotka dziewczynę z zezem? Czy ona jest już pianistką?

Trzeba jechać dalej.



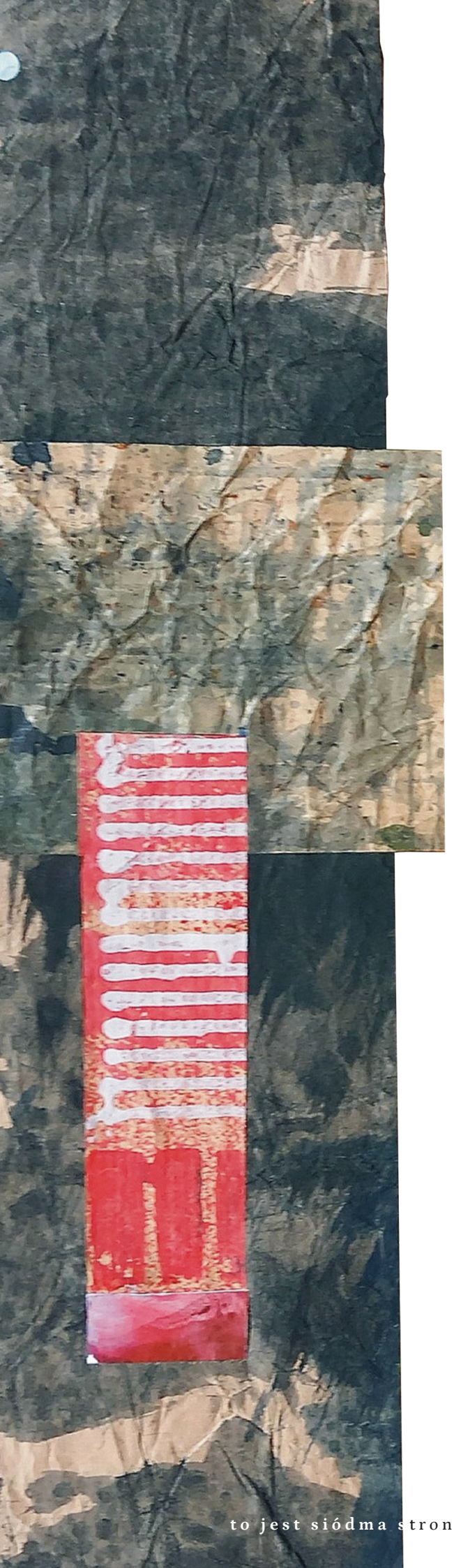

W CIENIU GNIEWU

FRAGMENT POWIEŚCI

ADRIANNA FILIMONOWICZ

Blurby są za krótkie, streszczenia zbyt szczegółowe, instagramowe reklamy zbyt enigmatyczne, a autorka jeszcze nie może zdradzić, co chciała poprzez swoje dzieło wyrazić. No więc jak potencjalny klient ma podjąć decyzję? Znikąd pomocy? Pomoc nadchodzi!

Oto, dzięki uprzejmości wydawnictwa Pulp Books oraz samej autorki, ofiarowujemy Wam dwa rozdziały najnowszej powieści Adrianny Filimonowicz „W cieniu Gniewu". Jeśli nie będziecie umieli podjąć (jedynej prawidłowej) decyzji po ich przeczytaniu, to niestety nie ma dla Was żadnej nadziei.

ROZDZIAŁ 1

Skal szedł tak szybko, jak tylko schorowane, zmęczone podróżą nogi mu pozwalały. Spojrzenie podrażnionych pyłem oczu wbijał w strzeliste wieże Schronienia, górujące nad przysadzistą zabudową miasta. Gdzieś tam, u stóp otaczającego kompleks muru, tłum już się gromadził wokół areny. Może już nawet wywoływano walczących?

Obok Skala zaterkotały koła dwukółki. Chudy pachołek ze znudzeniem szturchał końcem bata osła ciągnącego wóz wypełniony podwiędłymi warzywami. Skalowi przeszło przez myśl, by zatrzymać chłopaka, poprosić o podwózkę. Choćby kilka kroków, choćby do głównej alei. Uniósł już rękę, by zamachać do niego, ale nagle zdjął go jakiś lęk.

To już nie było jego miasto. Choć znał każdy zakręt, doskonale pamiętał kamienne, garbate budynki stłoczone wzdłuż wąskich uliczek, rozpoznawał spłowiałe od słońca szyldy i aromaty ziół wymykające się z okien, czuł, że jest tu obcy. Patrzył na śniade twarze mijających go ludzi, na darmo poszukując w nich znajomych rysów albo tego błysku w oku, który zdradzałby, że go rozpoznano. Może nawet lepiej, że nie... Dotknął sakwy, w której tkwił zwinięty dokument świadczący o przywróceniu go z wygnania. Sam wciąż jeszcze nie wierzył, że go ma i wolał nie musieć się z niego tłumaczyć. Westchnął ciężko, wbił wzrok w ziemię i przyspieszył kroku.

Gdy dotarł na rozciągający się u stóp Schronienia, lekko nachylony plac, arenę otaczał już podekscytowany tłum. Plecy ludzi, co do jednego odzianych w beże, szarości i wszelkie możliwe kolory piasku, zlewały się Skalowi w zwartą masę. Nieliczni przynieśli sobie wiadra albo skrzynie i stawali na nich, by lepiej widzieć. Inni wspinali się na palce. Skal pokręcił głową. Nie dla niego były takie wygibasy. Wziął kilka głębokich oddechów i zanurkował w tłum. Przez chwilę brnął naprzód, rozpychając ramionami ludzi. Ignorował niezadowolone pomruki, szturchnięcia pod żebro. Niegroźne przepychanki pod areną nie były niczym niezwykłym. Kto miał siłę, stał z przodu, kto nie, musiał pogodzić się z tym, że niewiele zobaczy. Skal, wyczerpany długą podróżą, miał tylko determinację. Ale to wystarczyło. Dobrnął do rzeźbionej, kamiennej balustrady rozdzielającej motłoch od areny. Oparł się o nią ciężko, przeczesał palcami zapocone włosy. Zdążył.

Złotokrwiści czekali już w cieniu niewielkiego, podłużnego budynku, przyrośniętego do murów okalających Schronienie. Choć było ich dwoje, większość spojrzeń lgnęła do niewysokiej, barczystej dziewczyny, krążącej w tę i z powrotem z pochyloną głową. W ręce trzymała ciężką szablę i z wyzywającą wręcz obojętnością wodziła końcem ostrza po zawiłych wzorach posadzki.

Brązowe, poprzetykane przedwczesną siwizną włosy zasłaniały jej twarz, ale Skal wierzył, że poznałby ją nawet w mroku. Zmieniła się przez te wszystkie lata, ale pozostawała przecież jego wnuczką. Zachłannie śledził jej ruchy, to przerażające wręcz znudzenie, jakby dziewczyna szykowała się raczej do snu niż pojedynku. Nie przeszkadzała jej ludzka paplanina, która gęsto wypełniła powietrze i choć nie dało się z niej wychwycić pojedynczych słów, grała w duszy podnieceniem i wyczekiwaniem. Mieszkańcy Irdin widzieli wiele rytualnych walk, ale Obłaskawiacze rzadko tak dobierali przeciwników. Skalowi – doświadczonemu fechmistrzowi – wystarczyło jedno spojrzenie na starego Sępa, by zrozumieć, że rzucono go dziewczynie na pożarcie. Od czasu, gdy ostatni raz się widzieli, szyja mu się wydłużyła, ręce wychudły i nabrały chorobliwego wyglądu. Nigdy nie miał talentu do broni – ale Gniew na takie drobiazgi nie patrzył – nigdy też nie miał do walki ducha. Rozbieganym spojrzeniem wodził od swojej przeciwniczki, przez publiczność, po pusty jeszcze podest, na którym stała olbrzymia waga. Miejsce obok czekało na Obłaskawiaczkę. Uczoną, zdolną przeczuwać nadchodzące manifestacje Gniewu, zgadywać jego kaprysy, a w sytuacjach takich jak ta, być jego głosem.

Zjawiła się wreszcie. Tłum ucichł. W szacie w kolorach krwawej czerwieni i złota, wyglądała jak płomień górujący nad jednolitą masą beżu i szarości. Była młoda, może dwudziestoletnia. Skal pomyślał, że pewnie jest córką jakiegoś urzędasa, ale zaraz zganił się za tę myśl. Różne ścieżki wiodły ludzi do Schronienia i drwienie z nich było niepotrzebnym igraniem z Gniewem.

– Ludu Lajsal, Głusz i Awgat!

Skal skrzywił się. Nazwy tych trzech regionów, rzucone na jednym wydechu, kłuły go w uszy.

– Służący wam Obłaskawiacze dostrzegają, gdy Gniew wzbiera. Gdy zaczyna nasycać płynące przez płaskowyż wody, szumieć w liściach drzew i roztrzaskiwać górskie skały. Gdy zaczyna popychać ludzi do zbrodni. Dlatego wzywamy do walki tych, którym w żyły wlał złotą krew. Stają przed wami Siwa i Sęp!

Stary złotokrwisty wyszedł kilka kroków naprzód, pokłonił się sztywno. Siwa skinęła głową, ale wciąż nie odrywała wzroku od wzorów na posadzce. Złotokrwiści porzucali swoje prawdziwe imiona. Dla zwykłych ludzi mieli być tajemniczymi istotami, należącymi jedynie do Gniewu, a i między sobą i wobec Obłaskawiaczy zachowywali zwykle tę narzuconą tożsamość.

– Niech na arenę spłynie złota krew! Niech wypali się Gniew!

Młoda uczona miała mocny, dramatyczny głos. Skal w duchu pochwalił ją, po czym przylgnął spojrzeniem do Siwej.

Ta, wciąż nie podnosząc wzroku, posłusznie wyszła na środek. Wydawała się ospała, zniechęcona. Ktoś mógłby wziąć to za nonszalancję, ale fechmistrz miał wrażenie, że dziewczyna jest raczej rozdrażniona. Tylko że wcale nie na przeciwnika. Na Obłaskawiaczy, Schronienie, ziemię, na której stała.

Broń mieli podobną, choć szabla w rękach Siwej chodziła tak sprawnie, że zdawała się wręcz nieważka. Sęp ruszył do przodu, dziewczyna uderzyła w przeciwtempie. Trafiła. Z płytkiej rany zaczęła się sączyć złota, przypominająca rzadką żywicę, krew. W tłumie podniosło się kilka okrzyków, ale szybko zgasły. Ludzie czekali na więcej i wiedzieli, że Siwa im to da.

Zwód, prowokujący przeciwnika do ataku, wysoka zastawa i błyskawiczne prześlizgnięcie się fałszywym ostrzem ku jego głowie. Kolejne złote krople zlepiły rachityczne włosy Sępa. Siwa przez chwilę jeszcze utrzymywała ten rytm starcia. Skal z przyjemnością patrzył na precyzyjną pracę jej nóg i doskonałe wyczucie ciała. Celne ciosy mniej go fascynowały, były oczywistym następstwem perfekcyjnej techniki. Nagle złotokrwista poszła naprzód wypadem, tnąc z zamachu rękę przeciwnika. Krew spadła na posadzkę gęstym deszczem, szabla z brzdękiem uderzyła o ziemię, a tłum, dotąd milczący, skupiony, uderzył w krzyk. Podniosły się wiwaty, niektórzy już wykrzykiwali to, co miało paść z ust Obłaskawiaczki.

Ta jednak się ociągała. Dłuższą chwilę stała nieruchomo, wpatrzona z wyższością w walczących. Siwa zgarnęła z posadzki broń skulonego z bólu Sępa. Zrezygnowany, nie próbował nawet utrzymywać dystansu, jakby wyczekiwał na kolejne ciosy. I nagle Skal zrozumiał, dlaczego.

Obłaskawiacze chcieli krwi. Więcej krwi. W obawie, że Gniew nie zadowoli się byle czym albo dlatego, że Siwej niewiele brakło, by wykupić się z jego władzy, przyzwalali nawet na śmierć starego. Tylko że ona postanowiła to zignorować. Doświadczony Obłaskawiacz znalazłby właściwe słowa, by zmusić złotokrwistą do posłuszeństwa, jednak młoda się ugięła. Wzniosła ręce i nad głowami zebranych poniósł się mocny głos:

– Gniew się wypalił. Siwa zwyciężyła!

Wiele ust powtórzyło te słowa, na arenę zaś wkroczyli słudzy Schronienia. Dłońmi odzianymi w skórzane rękawiczki zaczęli zbierać z posadzki zastygłe krople złotej krwi. Z daleka przypominały zwożone zza wzgórz Waldah bursztyny, ale z bliska były nie do pomylenia. Zawsze bijące ciepłem, zaskakująco ciężkie, opalizujące dziwnie, jakby od czasu do czasu po ich powierzchni prześlizgiwał się odprysk pioruna. Te dary Gniewu nazywano Iskrami. Wzbudzone rękoma Alchemików, mogły uleczyć wiele chorób i ran, a nawet ukoić pokiereszowaną duszę. Dla złotokrwistych były jednak po prostu walutą, którą opłacali spokój Lajsal.

Słudzy podchodzili kolejno do wagi i sypali zebrane Iskry na jedną z szal. Obłaskawiaczka obserwowała ich z uwagą. Za chwilę mieli zacząć ustawiać odważniki, a ona musiała ułożyć odpowiednio słowa. Schronienie nie zdradzało za wiele. To, ile krwi przelano w starciu i ile jeszcze brakło zwycięzcy do uzyskania wolności, ogłaszano zwykle w formie metafory. Nim jednak jakiekolwiek słowa padły, Skal poczuł lekkie szturchnięcie



w łokieć. Przy jego boku stanął beczkowaty mężczyzna z gęstą brodą i głową ogoloną na łyso.

– Nieźle wyrosła, co? – zagaił, uśmiechając się szeroko.

– Haltar... – Skal z pewnym trudem wyłowił z pamięci imię nadzorcy. – Ile to ona ma teraz...? Piętnaście?

– Siedemnaście. Ale ja nie z tym przychodzę. Dostojna Izena chce cię widzieć.

Stary fechmistrz skinął głową. Posłał jeszcze ostatnie spojrzenie dziewczynie, która znów wodziła końcówką szabli po posadzce. Słońce się przesunęło, budynek już nie rzucał na nią cienia, a ona tkwiła w miejscu, jak gdyby nic do niej nie docierało. Powoli rozluźnił zaciśnięte mimowolnie palce, poruszył ścierpniętymi nogami.

– Tyle rzec mogę, że o Majsz... Tę... No... Siwą... O Siwą to się nie masz co martwić – mruknął Haltar, gdy Skal się do niego odwrócił.

***

Jesienne słońce wdzierało się bezczelnie przez otwarte okno i resztkami sił grzało zmęczone, wciąż spięte walką mięśnie dziewczyny. Siwa oparła się o parapet i wychyliła mocno. Schronienie było potężnym kompleksem budynków – sal treningowych, warsztatów, bibliotek, wież, w których studiowano tajemnice Gniewu i tych, w których tętniło zwykłe życie. Pokój Majsz znajdował się w połowie wysokości niższej z nich, ale i tak górował nad Irdin. Miasto rysowało się w dole przysadzistymi, kopulastymi budynkami. Wąskie, brukowane uliczki, gdzieniegdzie upstrzone cyprysami i bluszczem, tworzyły skomplikowany labirynt, w którym buzowało życie.

Majsz zmuszała się, by na nie patrzeć. Próbowała przywyknąć do tego, co od lat wywoływało w niej dezorientację i poczucie osamotnienia. Najczęściej robiła tak po walkach lub szczególnie ciężkich treningach, gdy wszystkie zmysły wciąż miała skupione, a emocje stłumione, prawie nieistniejące. Gdy liczył się tylko cel. Kolejne trafienie, kolejna zastawa, kolejny zwód... Lub spojrzenie w twarz obcości.

Usłyszała pojedyncze puknięcie w drzwi i zgrzyt zawiasów.

– Mogę wejść. – Wirih bardziej stwierdził, niż spytał. Nie czekał zresztą na odpowiedź.

Majsz wciąż tkwiła przy oknie, nie próbowała zagajać rozmowy. Wiedziała, że on to zrobi lepiej.

– Łagodnie go potraktowałaś.

– Sępa?

– Tak.

Wzruszyła ramionami.

– Nie chciałam robić widowiska.

Wirih parsknął, ona mimowolnie uniosła kąciki ust. Oboje wiedzieli, że palnęła głupotę. Rolą złotokrwistych było dać ludziom widowisko. Gniewowi może wystarczyła przelana w walce krew, ale mieszkańcy płaskowyżu wierzyli w skuteczność rytuału, jeśli widzieli jego rozmach.

– Utme jest wściekła. Zresztą, nie dziwię się jej. Zaraz po walce chciała gnać do Izeny na skargę.

– Niech gna, mało mnie to obchodzi.

– Słusznie. Wiele nie ugra. Poza tym, Izena podejmowała jakichś najemników, więc nic z tego nie wyszło.

– Najemników?

– Tak. Podobno przyjechali z Głusz... – Podszedł, oparł dziewczynie rękę na ramieniu. – Majsz. Już po walce. Wystarczy.

Obróciła się jak na rozkaz, spojrzała na przyjaciela i zaraz się zreflektowała. Miał rację. Jakaś część niej wciąż była na arenie, jej dłoń nadal zaciskała się na widmowej rękojeści szabli. Siwa minęła przyjaciela, usiadła na podłodze i powoli zaczęła się rozciągać. W miarę jak ciało ustępowało, wracał nieporządek codziennych myśli, widzenie się poszerzało, a uszy łapały zgiełk, pokrzykiwania ptaków i odgłosy prac nieustannie toczących się w Schronieniu.

Wirih stanął przy oknie, plecami do słońca. W aureoli pomarańczowych promieni jego sylwetka zdawała się jeszcze dłuższa i smuklejsza niż zazwyczaj. O ile to było w ogóle możliwe. Wysoki i chudy, miał w ruchach szczególną gracje, która czyniła go wręcz efemerycznym. Majsz, obserwując, jak zbiegał po schodach albo przemierzał w tę i z powrotem wysoko zawieszone tarasy, miała wrażenie, że niechcący uniesie się w powietrze. Że porwie go wiatr. Nie dziwiła się, że w Schronieniu przezwano go Ptaszyną.

Westchnął, odrzucił na plecy gruby, sięgający za łopatki warkocz i odchylił głowę.

– To powiesz?

– Co?

– Dlaczego nie chciałaś widowiska?

– Żal mi Sępa. Po co go jeszcze dodatkowo upokarzać? On ma dość.

– Majsz! – Wirih odepchnął się gwałtownie od parapetu i rozłożył ręce w geście bezradności. – Będziesz mi tak kłamać?! Przecież wiesz, że nie umiesz.

– Naprawdę mi go żal – wymamrotała, pochylona nad wyprostowanymi w siadzie nogami.

– Tak, wiem, ale nie to było powodem, a o niego pytam. Przecież zrobiłaś to znowu. Tego, który przyjechał ze Schronienia w Odemie również mogłaś ostrzej potraktować.

– Wiedziałam, że go pokonam. Nie chciałam tyle krwi.

Tym razem milczał dłuższą chwilę, nie poganiał. Wyczekał.

– Czuję, że jestem już blisko – podjęła, prostując się. – Jestem tu tyle lat, tyle razy ważono Iskry zebrane w pojedynkach, które zwyciężyłam... Wirih, ja się boję, że niedługo mnie wypuszczą, rozumiesz?

– Boisz się?!

– Tak. Obłaskawiacze kilka razy rozmawiali ze mną na osobności o czymś, co nazywają moją drogą. Tas zaczął się inaczej zachowywać. Szykują mnie na coś. Chcą, żebym wyszła ze Schronienia.

– No oczywiście, że tak! I ty się tego boisz? Ty? Ja się mogę bać, jak będzie bez ciebie, ale ty?

– Ale gdzie ja pójdę? Jak tam w ogóle miałabym żyć?

– Gdzie pójdziesz? Przecież to oni zdecydują. Zostaniesz



doradcą wojskowym w Oktawie albo fechmistrzynią, albo dostojniczką Schronienia. Poza tym... Poza tym masz tu jakiś dom chyba? Siostrę, mówiłaś kiedyś.

– Ja jej nie znam! Ledwo ją pamiętam.

– Jakie to ma znaczenie? Ona musi cię przyjąć. Takie jest prawo.

– Ale ja jej nie znam! I tego domu. I tych ludzi tam na dole. Niczego!

– I to powód, żeby sabotować szanse, za które inni daliby się pokroić?!

Zaczęli krzyczeć jedno przez drugie. Majsz próbowała się tłumaczyć z tego, czego sama nie rozumiała, Wirih miotał się po pokoju, przykładając do jej słów własną miarę.

– Ja nie mam tu nikogo, a choćby mnie teraz przez okno wyrzucili, to bym żył lepiej niż w Schronieniu!

– No to skacz, okno akurat wychodzi na ulicę! – wrzasnęła i zaraz się poderwała na nogi, bo był tak wzburzony, że jeszcze gotów usłuchać.

Zamarli oboje. Nad Irdin rozkrzyczały się dzwony, jakby rzeczywistość w tej chwili nie mogła znieść ciszy.

– Wirih, ja po prostu nigdy tam nie żyłam. Ilekroć jestem w mieście, to... To dla mnie nie są inni ludzie, to jakieś obce byty.

Słowa, które w głowie zdawały się stapiać z emocjami, puszczone w powietrze traciły nagle swoją siłę. Siwa widziała na bladej twarzy przyjaciela więcej niż niezrozumienie. Niezgodę, wręcz pogardę. Otworzyła usta do kolejnego beznadziejnego tłumaczenia, ale wtedy mury Schronienia zadrżały od dźwięku gongów.

Zwoływano złotokrwistych.

***

Jesienny zachód słońca nad płaskowyżem zdawał się trwać w nieskończoność. Czerwono-pomarańczowa kula toczyła się nisko nad horyzontem, kładąc długie cienie w alejach, zaglądając pod altany i daszki z kolorowego płótna, rozwijane na tyłach karczm i warsztatów. Zdawała się przypominać, że to ostatnie dni, by ją podziwiać. Lada moment krótka jesień miała ustąpić miejsca gwałtownej i długiej zimie ze swoim stalowym niebem, niekończącymi się śniegami i mrozem.

Stojąca przed progiem warsztatu wikliniarskiego Nore, z pewną niechęcią obserwowała zbliżający się tłum. Czuła ulgę na myśl, że już niedługo zima zamknie ludzi w domach i położy kres podobnym widowiskom. Nie miała w zwyczaju oglądać rytualnych walk, czym wzbudzała podszytą oburzeniem ciekawość. Od wezwań na ulice nie mogła jednak uciec. Gdy powietrze wypełniała muzyka dzwonów, należało wyjść i podziwiać dostojników, Obłaskawiaczy i złotokrwistych.

– Odłóżże to, dziecko. Przecież to brak szacunku! – Stara Hedit wyłoniła się z głębi warsztatu i wyrwała pracownicy robotę z rąk. – Kogo wiozą? – Wyciągnęła pomarszczoną szyję i zmrużyła oczy.

Warsztat znajdował się przy ulicy stanowiącej oś miasta, kobiety mogły więc obserwować ważniejsze wydarzenia ledwo wystawiając nogi za próg. Hedit się w tym lubowała. Kochała wskazywać palcami ustrojonych bogaczy i wymieniać zamówienia, które dla nich realizowała. Była próżna, ale też doskonała w swoim fachu. Spod jej palców wychodziły najpiękniejsze wzory w całym Irdin. Nore uśmiechnęła się do niej łagodnie.

– Nie wiem, nie widzę jeszcze. Poważnie to wygląda.

– No. I nie grają. Może wojskowi? Może znów wymarsz?

– Wymarsz? Przed zimą?

– Do obrony skrajów płaskowyżu może? Kto wie, co ta hołota z Głusz...

– To z Głusz właśnie wiozą! Więźniarkę. Zbuntowaną złotokrwistą! – krzyknął młody kupiec, stojący w progu sklepu z olejami.

Ludzie, których coraz więcej schodziło się na wezwanie dzwonów, nadstawili uszu. Flasi często gościł w budynku trybunału – jego wuj był tam ekonomem – miał więc najświeższe informacje.

– Strażniczka jakiejś osady?!

– Ta, która Obłaskawiaczy z całego Południowego Pierścienia wygnała?!

Nore wychyliła się nieco, mimochodem wychwytując latające nad głową pytania i odpowiedzi.

– Ta właśnie!

Czoło pochodu stawało się coraz wyraźniejsze. Wojownicy rozpychali mieszkańców ku skrajom ulicy, robiąc miejsce dla dwóch konnych dostojników i idących w luźnym szyku najemników przemieszanych z lokalnymi złotokrwistymi. W samym środku, równym krokiem, z absolutną obojętnością wypisaną na młodej twarzy, szła kobieta.

Nore przesunęła się pod ścianę, by dać więcej miejsca Hedit. Nie mogła oderwać spojrzenia od nieznajomej. Lewa strona twarzy i szyi więźniarki poznaczona była ciemnobrązowymi plamami. Drugi policzek przesłaniała burza kasztanowych, kręconych włosów. Kobiety z Głusz nie zwykły ich ścinać, ta jednak miała z lewej strony głowy jedynie krótkie, rachityczne odrosty. Nore poczuła dziwny, gorzkawy posmak w ustach, żołądek jej się zacisnął. Z trudem odwróciła wzrok i nagle oniemiała. Herold Oktawy zaczął recytować listę przewin zbuntowanej złotokrwistej, ale do Nore przestało cokolwiek docierać.

Kordon najemników zamykał kulejący mężczyzna z rzadkimi, siwymi włosami, splecionymi w warkocz. W zgarbionej sylwetce tkwiły jeszcze ślady dawnej siły. Kiedyś musiał być postawnym, sprawnym żołnierzem...

Fechmistrzem... – poprawiłaby Nore, gdyby była w stanie wydusić z siebie słowo.

Znała tę twarz. Wprawdzie nie tak wychudłą i pomarszczoną, ale bez wątpienia tę samą.

– O nie... – wymamrotała drżącymi ustami. – Po co? Nie... Ja nie chcę...

Nie zauważyła, kiedy wykonała bezwiednie kilka kroków naprzód. Jakiś żołnierz krzyknął na nią, drugi powtórzył. Ktoś wreszcie uniósł włócznię i uderzył Nore drzewcem w żebra. Poleciała do rynsztoku jak szmaciana lalka, szczęściem ludzie zaraz rzucili się jej pomóc. Postawili ją na nogi, kaszlącą i przyciskającą dłonie do piersi.

– Dziecino, uważaj! – Hedit ujęła ją troskliwie za ramiona. – Nic ci nie jest?

– Muszę iść do domu – wykrztusiła.

***

Wkraczając po zmroku w Aleję Cyprysów, Skal poczuł, jak nagle karleje. To była dobra, bogata okolica. Za tworzącymi zwartą fasadę murami ogrodów stały wille kupców, urzędników i dostojników. Kulejący starzec w zniszczonych długą podróżą ubraniach i z tobołkiem przerzuconym przez ramię ściągał dyskretną uwagę stróżów. Nikt nie rozpoznałby w nim tego, któremu przed trzema dekadami miasto, w uznaniu zasług, podarowało tu dom.

Willa była zwrócona ku ulicy ocienionym gankiem. Przykryta kopulastym dachem, piętrowa, nie ustępowała stylem wystawniejszym sąsiadkom, jednak już na pierwszy rzut oka widać było, że brakuje w niej życia. Większość okien ziała ciemnością, niektóre, mimo wciąż łagodnej pogody, zasłonięte były okiennicami. Skal wspiął się po kilku kamiennych stopniach. Przez chwilę wahał się, to zbliżał rękę do kołatki, to ją cofał.

– To przecież mój dom – wycedził przez zęby.

I zamiast zapukać, pchnął drzwi, jakby wchodził do siebie. Tyle że te stawiły opór. Widocznie Nore nie miała stróża i bała się, że ktoś niepostrzeżenie zakradnie się do środka.

Zastukał. Otworzyła szybko, bez słowa. Gestem zaprosiła go do środka.

Stanęli naprzeciw siebie, milczący, skrępowani. Skal czekał na powitanie, na choćby cień uśmiechu albo grymas smutku, ale Nore trwała nieruchomo, z zaciśniętymi zębami i pustką w spojrzeniu. Wyglądała jak posąg, nie jak żywa kobieta, w której mógłby dostrzec swoją wnuczkę. Spodziewał się podobnych emocji, jakie towarzyszyły mu, gdy patrzył na Majsz, ale zamiast przyspieszonego bicia serca czuł, że kamienieje gdzieś w środku. Nie poznawał jej, a ona nie zamierzała mu tego ułatwić. Przygryzł wargi, miał już coś powiedzieć, ale wówczas odwróciła się do niego plecami i rzuciła:

– Usiądź. Przyniosę ci coś do jedzenia.

W jednej chwili został sam, z rozmytym obrazem wnuczki pod powiekami. Miał wrażenie, że dopiero gdy złamała ten bezruch, naprawdę ją ujrzał i teraz jego umysł rozpaczli-

wie próbował pogodzić jej widok ze wspomnieniami. Tę dziewięcioletnią Nore, nadzwyczajnie wysoką jak na swój wiek, zawsze delikatnie uśmiechniętą i z jakimś poważnym błyskiem w oku. I tę piękną młodą kobietę, która go zaprosiła do stołu. Wrodzoną smukłość podkreślała strojem. Luźne, rozszerzające się ku dołowi spodnie sprawiały, że wydawała się jeszcze wyższa, a poobwiązywana pasami materiału koszula podkreślała wąską talię. Matka kochała jej włosy w kolorze głębokiego brązu i wbrew opiniom sąsiadów, a ku uciesze Skala, kazała córce je zapuszczać. Teraz Nore nosiła się krótko, odsłaniając twarz o delikatnych rysach. Jednocześnie tak podobna do siebie sprzed lat i tak sobie obca. Skal poczuł, że zaczyna mu się kręcić od tego wszystkiego w głowie.

Potoczył spojrzeniem po pokoju, który niegdyś był centrum życia rodziny. Wszystko zdawało się wrośnięte w swoje miejsca. Zastałe. Miał wrażenie, że przystawione do stołu krzesła chciałyby wrócić pod ścianę, pod osłonę złożonych na skrzyni w rogu płócien. Nore starannie odkurzyła jadalnię, ale widać było, że żyjąc samotnie nie zwykła z niej korzystać.

Wróciła z deską załadowaną ziołowymi plackami i misą sosu ze śmietany i grubo krojonego sera. Intensywny zapach rozszedł się po pokoju, płosząc atmosferę pustki.

– Usiądź, proszę – ponagliła, zajmując swoje miejsce.

Jedli w gęstym milczeniu, napięci, pochmurni. Nore dwukrotnie jeszcze wychodziła do kuchni, to po zupę, to po deser. Stawiając go, rzuciła:

– Posłałam dla ciebie w pokoju przy ogrodzie. Ja śpię przy kuchni. Noce robią się chłodne, a opał jest drogi. Grzeję tylko tę połowę i tylko na dole.

Coś w jej tonie zaczęło go drażnić. Miał wrażenie, jakby rozmawiał z karczmarką, u której doprasza się noclegu, nie z własną wnuczką.

– Dziękuję, Nore. Na dziś wystarczy, ale jutro odkurzysz moją dawną sypialnię. Tyle lat spędziłem w Głuszach. Chcę wreszcie spać jak człowiek.

– Jest odkurzona, możesz spać tam nawet dziś. Dbałam o dom... przez te wszystkie dwanaście lat.

Usiadła. Ich spojrzenia wreszcie się spotkały i nie było w tym spotkaniu nic ze szczęśliwego powitania po długiej rozłące. Nore była jak zranione zwierzę, które stroszy kolce na widok każdego, kto przechodzi obok. Skal wziął głęboki oddech. Był zmęczony, wciąż rozpalony walką, którą obejrzał rankiem i przejęty rozmowami w Schronieniu. Nie chciał ulec rosnącej irytacji.

– Wiem, że było ci ciężko. Zadbać o taki dom, samej... Ale wróciłem, pomogę ci.

– Dobrze.

– Jutro rano opowiesz mi...

– Jutro rano będę w warsztacie. U Hedit. Pracuję tam.

Wciągnął ze świstem powietrze.

– Więc wieczorem. Zastanowimy się, jak to wszystko na nowo zorganizować.

– Zastanowię się i ci powiem.

– Nore!

Wzdrygnęła się lekko, ale nie spuściła wzroku.

– Może ci się to nie podobać, ale nadchodzą zmiany. Wróciłem na dobre. Może... może nawet wkrótce wróci Majsz...

Nore zerwała się z miejsca jak oparzona.

– Majsz?! I... I może ktoś jeszcze?! Ktoś jeszcze życzy sobie wejść po dwunastu latach do mojego domu, zacząć mi mówić, jak mam sprzątać i gdzie spać?!

– Dość! Ani słowa więcej! Jestem twoim dziadkiem, nie byle włóczęgą. To mój dom i będziesz mnie w nim szanować. I będziesz szanować własną siostrę, bo zniosła...

– Ona?! Przez nią mnie wszyscy zostawiliście. Zostawiliście mnie wszyscy, gdy miałam dziewięć lat! – wrzasnęła i chwyciła za talerze.

Był pewien, że ciśnie nimi o podłogę, ale ona zaczęła je zbierać, zostawiając jedynie niedojedzony przez niego deser. Choć drżała z gniewu, ruchy wciąż miała precyzyjne. Nie płakała, nie poczerwieniała. Była czystą, zimną nienawiścią i tym go w jakiś dziwny sposób rozbroiła. Zabrakło mu słów, jej chyba też. Ostatecznie przecież nie było o czym rozmawiać. On tu zostawał, ona nie miała dokąd pójść. Musieli nauczyć się żyć... Razem lub obok siebie.

ROZDZIAŁ 2



Wraz z pierwszymi opadami śniegu arena, leżąca u stóp Schronienia, usnęła. Obłaskawiacze organizowali rytualne walki zimą tylko w wyjątkowych sytuacjach: gdy znaki zapowiadały straszliwe manifestacje Gniewu lub gdy czyjeś występki mogły ściągnąć jego uwagę na Irdin. Rytm życia złotokrwistych zmieniał się jednak niewiele. Musieli zachować sprawność i dyscyplinę. Fechmistrzowie i nadzorcy dbali, by wybrani przez Gniew byli gotowi w każdej chwili stanąć do pojedynku.

Majsz nie lubiła zdawać się tylko na nich. Niewielki plac odgrodzony od głównej części kompleksu budynkiem kancelarii był ulubionym miejscem jej samotnych treningów. W jego centrum stała fontanna, której baseny wyciągały się ku skrajom dziedzińca finezyjnie giętymi ramionami. Ich nieregularność i ustawione gdzieniegdzie ławeczki sprawiały, że każdy ruch wymagał pełnej świadomości otoczenia i planu na kilka kolejnych. Gruba warstwa zmrożonego śniegu, pokrywającego kamienną posadzkę, czyniła ćwiczenia jeszcze trudniejszymi.

Miecz chodził w rękach Siwej krótkimi, ostrymi zrywami. Podcięcie, zwód, atak na głowę. Cofnęła się, złapała oddech. Cięcie z wypadu, przejście do zastawy, kontra, zmyłka, przeciwtempo. Nieistniejący przeciwnik bronił się zaciekle, dobrze panował nad dystansem, szukał miejsc, które ograniczały swobodę ruchów złotokrwistej. Majsz poszła gwałtownie do przodu, stopa uciekła jej w bok. Chwila utraty równowagi, rozpaczliwa zastawa, zejście nisko, zbyt wolny powrót do pozycji. Zamachnęła się szeroko, bez przekonania, markując kontratak.

„Inaczej powinnam z tego wyjść" – pomyślała, zatrzymując się.

Mimo mrozu spływała potem, a ramiona paliły ją żywym ogniem. Zdjęła wełnianą pelerynę i cisnęła ją na zasypaną śniegiem ławkę. Znów ujęła miecz, ustawiła się przy samej fontannie, w wąskim kącie między jej dwoma zbiegającymi się ramionami. Teraz przeciwnik zagonił ją w kozi róg, miał tarczę i konsekwentnie nacierał. Musiała odwrócić sytuację. Wzięła głęboki wdech, zeszła nisko na nogach.

„Czujnie. Bez pośpiechu. Małymi krokami" – upomniała się w myślach.

Była w połowie starcia, gdy spostrzegła postawnego mężczyznę, w futrze niedbale zarzuconym na ramiona, stojącego w progu kancelarii. Z pewnym niezadowoleniem skonstatowała, że śnieg zdołał mu solidnie przyprószyć czarne włosy, co oznaczało, że obserwował ją już dłuższą chwilę.

Tas był Pierwszym Fechmistrzem Schronienia. Doskonałym szermierzem i bardzo surowym nauczycielem. Sprawował pieczę nad treningiem złotokrwistych i wywiązywał się z tego zadania z pełnym zaangażowaniem. Przez wiele lat jego uwaga ją cieszyła, jednak od pewnego czasu, którego nie umiała sprecyzować, coś się zmieniło. Jego natarczywe spojrzenie ją drażniło, rozpraszało. Czuła je na ciele i odruchowo próbowała się korygować, nie rozumiejąc popełnianych błędów.

Poprawiła postawę, zmniejszając potencjalne pole trafienia. Przesunęła piętę, by dać sobie odrobinę większy margines równowagi. Poszła w głęboki wypad. Cięcie było równe, czyste. Wyprostowała się, znieruchomiała na moment.

„Mogę uznać, że zwyciężyłam" – skonstatowała w myślach i ruszyła po pelerynę, która zdążyła już niemal całkowicie zniknąć pod śniegiem. Fechmistrz wyprzedził ją, podniósł okrycie, otrzepał i zarzucił jej na plecy.

– Mistrzu?

Chciała się cofnąć i wykonać regulaminowy ukłon, ale Tas wciąż opierał rękę na jej ramieniu.

– Dobry trening – rzucił.

– Myślałam, że jesteś niezadowolony.

Spojrzała na niego kątem oka. Tas był dojrzały, ale daleko mu było jeszcze do starości. Majsz miała wrażenie, że upływ lat w jakiś dziwny sposób skrócił między nimi dystans i wbrew temu, czego by się spodziewała, sprawił, że przestała go rozumieć. Pięć lat temu potrafiła wyczytać każdą uwagę z twarzy



fechmistrza, nim ten zdołał otworzyć usta. Teraz wszystko przesłaniały błysk w ciemnych oczach i ironiczny uśmieszek, które zapewne coś znaczyły, ale nie wiedziała, co.

Tas zaśmiał się i pokręcił głową.

– Odnieś broń i się przebierz. Izena chce cię niezwłocznie widzieć.

– Gdzie?

– Prywatne komnaty.

Majsz skinęła sztywno głową i ruszyła biegiem do zbrojowni. Dopiero gdy wspinała się do swojego pokoju na wieży, dotarło do niej, co Tas powiedział. Pomyślała, że ma kłopoty – że skargi Utme wreszcie trafiły na podatny grunt – a potem ogarnął ją spokój. Jakiejkolwiek kary by nie szykowali, nie była nią przecież wolność.

***

Komnata Obłaskawiaczki, choć obszerna i pełna zdobień, przypominała graciarnię. Na potężnym biurku piętrzyły się stosy ksiąg, pergaminów, kałamarzy z zaschniętym tuszem, biżuterii, rękawic i pustych kielichów. Wygodny fotel zajmowała cynowa miednica. Sama Izena półleżała na szezlongu, z chudą szyją owiniętą czerwoną chustą i dłońmi splecionymi na nieco zaokrąglonym brzuchu. Pod jej nogami leżały skotłowane koce, a na szafce, ponad wątłym płomykiem świecy, parowała miska z wodą korzenną. Twarz Izeny zdawała się wymięta, dziwnie wyblakła. Majsz uświadomiła sobie, że pierwszy raz widzi Obłaskawiaczkę bez uczernionych rzęs i brwi.

– Czym mogę służyć, dostojna? – Skłoniła się głęboko.

– Słuchaniem głównie. – Izena z ciężkim westchnieniem poprawiła się na szezlongu. – Weź sobie krzesło. Tamto. Ubrania, które na nim leżą, zrzuć na ziemię. I nalej mi szałwii, jest w tamtym dzbanie.

Majsz machinalnie spełniła polecenia. Izena piła przez dłuższą chwilę, nim wreszcie zaczęła mówić:

– Wiesz, co jest warunkiem, by złotokrwisty wyzwolił się z okowów Gniewu?

– Musi zwyciężyć tyle walk, by przelana w nich własna i cudza krew ważyła tyle, ile jego ciało. Znaczy no... Iskry. Zebrane po walkach Iskry.

– W praktyce to... No, o tym może zaraz. Wiesz, ile ci brakuje do wolności?

– Niewiele...?

Izena zaśmiała się krótko.

– Pomyśl trochę, Siwa. Dla każdego złotokrwistego, który ma pierwszy raz stanąć do rytuału, przygotowywana jest skrzynia. W miarę jak Gniew się wypala, ona się wypełnia. Oczywiście nikt nie składuje w niej Iskier. Te są potrzebne. Wystarczy piasek. W równej wadze do przelanej w walce krwi. Skrzynia wymierzona jest tak, by wypełniła się po brzegi, gdy złotokrwisty wypełni zobowiązanie wobec Gniewu.

Majsz kiwała monotonnie głową. Słyszała o tym. Raz do roku – po pierwszej zimowej burzy – złotokrwisty miał prawo ujrzeć zawartość swojej skrzyni. Jej nigdy to nie ciekawiło.

– I teraz zastanów się – kontynuowała Izena. – Miałaś jedenaście lat, gdy pierwszy raz stanęłaś na arenie. Wówczas zważono cię i mistrz ciesielski przygotował twoją skrzynię. Od tego czasu minęło przeszło sześć lat. Walczyłaś ze dwieście razy, jak nie więcej. Większość rytuałów rozstrzygnęła się na twoją korzyść. Zdecydowana większość. Przez ostatnie dwa lata nie poniosłaś żadnej porażki.

Majsz już nie kiwała głową. Tkwiła zesztywniała, porażona oczywistością wniosków, do których zmierzały.

– Wiesz, Siwa. To nie była najmniejsza skrzynia, jaką w życiu widziałam, ale niewiele jej brakowało. Za to ty na pewno jesteś najskuteczniejszą złotokrwistą, jaką spotkałam. Trzymałaś kiedyś w ręku Iskrę?

Majsz przytaknęła.

– Jest ciężka, prawda? Póki złota krew płynie w waszych żyłach, jest leniwa jak żywica sosny. Zdaje się podobnie lekka. Kiedy jednak zastyga, nabiera ciężaru uśpionego w niej Gniewu. Wiem, że ostatnio uważałaś, by nie przelewać jej zbyt wiele. Tylko że to niczego nie zmienia, Siwa. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, co uczynić z twoją wolnością, byłabyś już za murami Schronienia. Teraz wreszcie wiemy.

– Ja mogę tu zostać, dostojna.

Izena milczała dłuższą chwilę, patrząc Majsz w oczy.

– Nie, nie możesz – oświadczyła powoli, nadspodziewanie łagodnie. – Ale masz jeszcze czas. Wiele w tym czasie do zrobienia i zrozumienia, ale go masz.

– Do kiedy?

– Do końca wiosny. A ta zima będzie długa. Gniew karze głodujących buntowników w Głuszach, a nas sprawdza. Rzuca wyzwanie. Jeśli mieszkańcy Lajsal chcą przetrwać do kolejnej zimy, latem będą musieli chwycić za broń. Nie będzie o to łatwo. Jesteśmy rozleniwieni, przyzwyczajeni do wygód. Ale znaki są jednoznaczne. Gniew dał nam prezent, który wystarczy właściwie wykorzystać.

– Ta złotokrwista, którą przywieźli ludzie Gulha?

– Tak. Kaldira. Strażniczka jednej z osad, potężna postać w swoim Pierścieniu.

Majsz słyszała wszystkie te określenia na naukach, ale nigdy nie zapadły jej w pamięć. Wynurzenia Izeny wybrzmiewały więc w jej uszach pustką.

– Wiosną staniecie na arenie. Ludzie zobaczą, jak marne są Głusze w zderzeniu z siłą Lajsal. Zobaczą, kto popełnił błąd i sprowadził na siebie Gniew.

– Pokonam ją i ogłosicie, że jestem wolna?

– Zabijesz ją na arenie. I będziesz wolna.

Majsz otworzyła bezwiednie usta. Kilka zdań na raz pchało jej się do gardła, tworząc gęstą masę, przez którą trudno było nabrać powietrza. Zabiła już kiedyś, lecz nieumyślnie. Nie z rozkazu. Obłaskawiacze przyzwolili, by walka trwała zbyt długo. Złotokrwiści potrafili wylizać się ze straszliwych ran, ale nie byli nieśmiertelni. Tamten chłopak, przywieziony z Breghan, też nie był. Potem ścigało ją jego wspomnienie. Motywowało do większej dbałości o precyzję, uważnej obserwacji nie tylko przebiegu starcia, ale i stanu przeciwnika. Dlatego nie odważyła się ciąć Sępa ponownie. Był stary, słabszy niż inni, z którymi zwyciężała.

– Widzę twoją niezgodę i wiem, że spróbujesz narzucić swoje zasady. Dobrze. Czasem ze Schronień wychodzą pozbawione charakteru marionetki. Tacy nie nadają się do władzy, nie nadają się na wojnę.

– Wojnę? Dostojna...

– Za dużo na raz, Siwa. Jak powiedziałam, masz przed sobą długie, zimowe miesiące. Rytm twojej nauki się zmieni. Każdy poziom Oktawy – od kancelarii przez trybunał po wysoką radę – wyznaczył ci już nauczycieli. Zrozumiesz, dlaczego mówię o wojnie. Zrozumiesz, jak Gniew dzieli Lajsal, Głusze i Awgat. Nauczysz się swojej przyszłej roli. Tej poza areną. Wyjdziesz stąd gotowa.

„A jeśli nie?" – przemknęło Majsz przez głowę.



***

Złotokrwiści zbierali się niespiesznie w obszernej sali przesyconej kwaśnym zapachem potu, poganiani niknącym echem gongów. Fechmistrz Ilkun jak zwykle spóźniał się na popołudniowe ćwiczenia, większość więc rozsiadła się po kątach, rozmawiała cicho lub przeglądała drewnianą broń, by wybrać tę, z której rękojeści sterczało najmniej drzazg. Stanowili dziwną zbieraninę. Mężczyźni i kobiety, podrostki i ludzie, których zaczynała podgryzać starość. Od mocno zbudowanych do wyniszczonych. Nie było ich nawet tuzin, a zdawało się, że można wśród nich znaleźć każdego... Poza Siwą, co Ptaszyna skonstatował z pewnym niepokojem. Zawsze przychodziła przed innymi, rozgrzewała się w skupieniu. Tym razem wpadła do pomieszczenia ostatnia, jeszcze poprawiając szarfy materiału, którymi obwiązaną miała koszulę. Od razu złowiła go wzrokiem, ale nie podeszła.

Od ich kłótni minęło dobrych kilkanaście dni, ale choć posyłali sobie wspierające uśmiechy i wymieniali powitania, nie potrafili zmusić się do rozmowy. Gdy Majsz nie było obok, Wirih czuł, że chciałby to naprawić. Że to absurdalne tak się mijać, żyjąc obok siebie, razem jedząc, ćwicząc i słuchając o Gniewie. Kiedy jednak ją widział, ogarniało go coś pomiędzy zazdrością a dziecięcym wręcz rozżaleniem. Coś, do czego wstydziłby się przyznać. I to samo czuł teraz, gdy stała tych kilka kroków od niego, wyraźnie niezdecydowana, co dalej. Zwykle to on musiał zaczynać rozmowy – Siwa była lepsza w milczeniu – ale tym razem wcale nie miał ochoty. Tylko to jej spóźnienie, ruchy, które nazwałby nieuporządkowanymi, drgnięcia ust zdradzające poszukiwanie właściwych słów...

Już miał do niej podejść, gdy w sali huknął głos Ilkuna:

– Do szeregu!

Wirih podskoczył, wyrwany nagle z zamyślenia. Spojrzał w stronę drzwi, które właśnie przekroczył zwalisty, przygarbiony nieco mężczyzna o bujnej, posiwiałej czuprynie. Złotokrwiści sprawnie, ale z pewną obojętnością ruszyli na miejsca. Najstarszy fechmistrz Schronienia w Irdin nie zwykł wpadać w złość, nie był też chętny do wymierzania kar. Po trzydziestu latach służby, zepchnięty w cień przez szalenie utalentowanego Tasa i pracowitą, zdeterminowaną Dainę, wpadł w rutynę i stracił dawny zapał. Wirih wolał jednak nie wystawiać jego cierpliwości na próbę. Rzucił się do szeregu.

– Ty, Ptaszyna, nie. – Chrapliwy głos Ilkuna zatrzymał go w pół kroku. – Pójdziesz do Gulha z rozkazami. I tak szkoda tu na ciebie czasu.

Złotokrwisty westchnął ciężko, ale nie protestował. Zgadzał się z ostatnim zdaniem wypowiedzianym przez fechmistrza.

***

Gulha uważano za jednego z najskuteczniejszych wojowników, jakich widział płaskowyż. Miał smykałkę do walki, zdolność dobierania sobie właściwych ludzi, bezwzględność potrzebną do realizacji zadań niemożliwych i wielką miłość do Irdin. Dlatego to właśnie jego wraz z zaufanymi posłano, by przywiódł z Głusz przywódczynię buntowników.

Problemem było to, że Gulh nie mógł się nudzić. Gdy świat nie walił mu się na głowę, aktywnie szukał sposobu, by to zmienić. Najczęściej na dnie dzbana. I zwykle go znajdował. Fakt, że posłano do niego złotokrwistego, a nie byle sługę, oznaczał, że władze miały dość. Siłę rozkazu miał podkreślić autorytet Gniewu. Tylko że Ptaszyna szczerze wątpił, by był owego autorytetu właściwym nośnikiem.

Przemknął pod łukiem głównej bramy Schronienia, ignorując pozdrowienie skulonego pod murem strażnika i ruszył w skos przez ośnieżoną aleję. Szybciej byłoby iść wzdłuż niej, ale wówczas musiałby minąć znienawidzoną arenę, później zaś dzielnicę zamieszkaną przez najważniejszych dostojników Schronienia. Na żaden z tych widoków nie miał ochoty. Zamiast tego zagłębił się w labirynt wąskich uliczek lawirujących między domami drobnych rzemieślników, kupców i pośledniejszych urzędników. W dobiegające zza zamkniętych okiennic zwyczajne życie – przekleństwa majstrów łajających uczniów, kłótnie wspólników obwiniających się nawzajem za straty czy podśpiewywania kucharek szykujących podwieczorek dla chlebodawców. Zza spiętrzonej pod ścianą niskiego budynku zaspy, sięgającej niemalże po kopulasty dach, wystrzeliła czwórka dzieci. Ubranych za lekko jak na tę pogodę, ale zaciekle obrzucających się śniegiem. Zaraz dogonił je krzyk wyglądającej zza uchylonych drzwi babki. Wirih nie wychwycił słów, ale zrozumiał sens. Dzieciaki porzuciły śnieżki i szybko zbiegły złotokrwistemu z drogi. Najwyższy chłopiec ukłonił się dyskretnie. Wirih zmusił się do słabego uśmiechu. W Schronieniu nim gardzono, ale Obłaskawiacze dbali, by prości ludzie szanowali Gniew. A więc i tych przez niego wybranych. Wszystkich bez wyjątku. Złotokrwiści, którzy wygrywali na arenie, naturalnie budzili podziw, ale i słabi, tacy jak Ptaszyna, przelewali przecież krew po to, by oszczędzić cierpienia innym. Dlatego ci, dla których siła nie była główną cnotą, a przemoc jedynym językiem, odnosili się do niego z uprzejmą rezerwą, a czasem nawet z szacunkiem i wdzięcznością. Zwykle przyjmował to z ulgą, ale tego dnia szczególnie czuł, jak bardzo na to nie zasługuje.

Był karykaturą złotokrwistego. Słabszy niż kiedykolwiek, jakby na kłótnię z Majsz zużył resztkę sił, która trzymała go przy zdrowych zmysłach. Jeśli coś takiego w ogóle w Schronieniu istniało. Myśli o wolności, która dla niego miała nigdy nie nadejść i widok przeciętnego świata, za którym tęsknił, spychały go w lepką toń wspomnień, między żale i wyrzuty sumienia.

„Gdybym wybrał inną drogę. Gdybym poszedł tę godzinę dalej, do mostu...".

Jedno poślizgnięcie. Jeden błąd, przez który powinien był zginąć. Ale Gniew postanowił darować mu życie. Wlał w jego żyły złotą krew, a potem chwycił w swoje szpony, wydarł z domu i rzucił na płaskowyż, między ludzi, którzy wcisnęli mu w rękę miecz i kazali ciąć, kogo popadnie. Miał wówczas siedemnaście lat, a wszystkie wcześniejsze spędził w karczmie matki, gotując, sprzątając, jeżdżąc po towary, śpiewając i tańcząc. O broni wiedział tyle, ile było trzeba, by czasem postraszyć zbyt rozochoconego pijaka.

I może tyle, by wsadzić ją sobie właściwym końcem w brzuch.

Zrobiłby to, gdyby nie przestrogi Haltara, który rozczytał go w jednej chwili.

– Nie próbuj, to nie tak łatwo – rzucił beczkowaty zarządca, wyjmując mu sztylet z rąk. – Złota krew cię uratuje, więc tylko się nacierpisz. Musiałbyś się powiesić, ale to też odradzam. Mamy na takich jak ty oko, zdążymy odciąć.

Wirih wtedy nie odpowiedział. Miał wrażenie, że z zewnątrz jest zupełnie sparaliżowany, w środku zaś dygocze. Został sam i chciało mu się wyć. Zdesperowany, spróbowałby pewnie tej pętli, gdyby kilka dni później, w tym samym miejscu, nie zaczepiła go dziewczynka o bladej twarzy, wielkich, świetlistych oczach i włosach pokrytych siwizną. Stanęła naprzeciw ławki, na której siedział i wypaliła bez przywitania:

– Nie martw się, na początku też płakałam.

Chciał się żachnąć, upokorzony porównaniem do dziecka, ale wtedy przysiadła na ławce obok niego i przyciskając mu głowę do ramienia oświadczyła:

– Będziemy przyjaciółmi. Nigdy żadnego nie miałam.

Ta przyjaźń utrzymała go przy życiu przez tych długich pięć lat. Nie wyobrażał sobie siebie w Schronieniu bez Majsz. Ale jeszcze bardziej nie spodziewał się, że cokolwiek ich tak poróżni. I to coś tak drobnego...

Zatrzymał się. Przez chwilę pozwalał, by wiatr wciskał mu garście śniegu za kołnierz. Potem rzucił się biegiem przed siebie. Zapragnął jak najszybciej rozmówić się z Gulhem i wracać do Schronienia. Zdążyć, zanim to, co zepsuł, będzie nie do naprawienia.

Gospoda, którą upodobał sobie Gulh, słynęła z tanich oraz mocnych trunków i codziennie przyciągała licznych gości – od wagabundów, tragarzy i pachołków, po rzemieślników i kupców, którzy zwykli uciekać się do niezbyt uczciwych metod konkurencji i szukali kogoś do brudnej roboty. Zazwyczaj na ulicy słychać było wypełniające ją dyskusje, pijackie śmiechy i śpiewy, tym razem jednak jedynym dźwiękiem niosącym się między domami był zgrzyt hebla, dochodzący z pobliskiego warsztatu stolarskiego. Wirih westchnął ciężko i zmusił się do przekroczenia progu.

Nisko sklepiona, obszerna izba jadalna była zatłoczona, a przy tym jakby zastygła w bezruchu. Ludzie siedzieli zbici w ciasne grupki, rozmowy toczyli półgłosem. Na podłodze zalegały resztki potrzaskanych misek i dzbanów. Spod jednej z ław niepokojąco wychylały się strzępy uwalanego w winie i krwi ubrania. Choć ślady awantury nie były świeże, jej wspomnienie wciąż trzymało gości za gardło.

Wirih dość dużo słyszał o łajdactwach Gulha, by trzymać wyobraźnię na wodzy. Wyprostowany, nie dbając o chrzęszczące pod nogami resztki, zbliżył się do usytuowanej w rogu ławy. Najemnik, czerwony na gębie, z brodą oblepioną jedzeniem, siedział rozparty w kącie. Z daleka zdawało się, że drzemie zmorzony gorzałą, ale gdy Ptaszyna zbliżył się, dostrzegł, iż mężczyzna wpatruje się tępo w sęki na stole.

– Rozkazy ze Schronienia. – Złotokrwisty położył pergamin w miejscu, na które padał wzrok Gulha.

Ten drgnął, a dwóch jego kompanów dźwignęło się na nogi. Parsknęli śmiechem, gdy dowódca leniwym ruchem przesunął list i począł wodzić palcem po studiowanym wcześniej sęku.

– Przeczytaj. Obłaskawiacze chcą usłyszeć odpowiedź.

– Dowódca jest zajęty, nie widzisz? – warknął ktoś za plecami Wiriha.

– Obłaskawiaczy to nie obchodzi. Nie słali tu złotokrwistego, żeby słuchał wymówek.

Gulh po raz pierwszy przeniósł na niego spojrzenie. Oczy miał przekrwione i dziwnie wyłupiaste. Twarz, którą Ptaszyna pamiętał jako zniszczoną, ale wyrazistą, była obrzmiała i upstrzona purpurowymi wykwitami. Te ostatnie dni odpoczynku musiały być dla najemnika bardziej niszczące niż cała eskapada w Głusze i to wzbudziło w Wirihu szczyptę litości. Złotokrwisty sięgnął po pergamin.

– Nie chcesz czytać, niech będzie. Wysłuchasz.

Potężna dłoń zamknęła mu się wokół nadgarstka. Druga chwyciła za warkocz czarnych włosów. Wirih szarpnął się w tył, ale Gulh był silniejszy. Przyciągnął go blisko siebie.

– Komuś tu trzeba gębę zatkać – zabełkotał.

Próbował wstać, ale się zakołysał, rozluźniając przy tym chwyt. Ptaszyna wyrwał się. Chciał uciekać, ale gęstniejąca grupka najemników odcięła mu drogę. Czyjeś ręce pochwyciły go za ramiona, spracowane dłonie zacisnęły się na karku. Gulh odzyskał równowagę, złapał list, odpieczętował go i splunął na zawartość.

– Chciałeś odpowiedzi? Proszę. Dawać go tu, chłopcy!

Wirih próbował się wyrwać, ale oni bez trudu rzucili go plecami na ławę i przydusili. Gulh zmiął pergamin i wcisnął go do ust złotokrwistemu. Bełkotał coś przy tym, ale słowa ginęły w rechocie jego towarzyszy. Ptaszyna krztusił się, charczał, szamotał. Przerażony miał wrażenie, że zaraz się udusi. Przed oczami przemykały mu kolejne roześmiane twarze. Najemnicy, goście, ośmieleni dobrym nastrojem Gulha posługacze... Ktoś strzaskał kufel obok jego głowy. Ostre odłamki wgryzły się w policzek.

– Gulh, dość, bo udusisz pokrakę! – wrzasnął nagle właściciel wyszynku.

Gapie rozpierzchli się, rozbawienie zastąpił niepokój. Za śmierć złotokrwistego odpowiedzieliby wszyscy. Dowódca warknął coś, nachylił się raz jeszcze nad Wirihem, wpił palce w jego włosy i uderzył potylicą o ławę. Wreszcie puścił i odszedł o krok. Jego ludzie też odstąpili, przypadkowi goście, nagle otrzeźwiali, chyłkiem wymykali się z izby. Ptaszyna sturlał się na podłogę, wyrwał pergamin z ust i zwymiotował gwałtownie. Chciał wstać, ale najemnik oparł mu ostrzegawczo rękę na karku.

– Chciałeś czytać, to czytaj – burknął. – Przecie nie będę takiego obślinionego macał. Czytaj! No już!

Wirih rozwinął powoli pergamin. Drżącym głosem wyrecytował rozkazy.



Czytelniku, ostrzegam! Świat, którym włada moc o nazwie Gniew, a dni pokoju można policzyć na palcach jednej dłoni, może cię wciągnąć po uszy. Na wszelki wypadek przełóż wszystko, co pilne i daj porwać się przygodzie!

Marcin Mortka

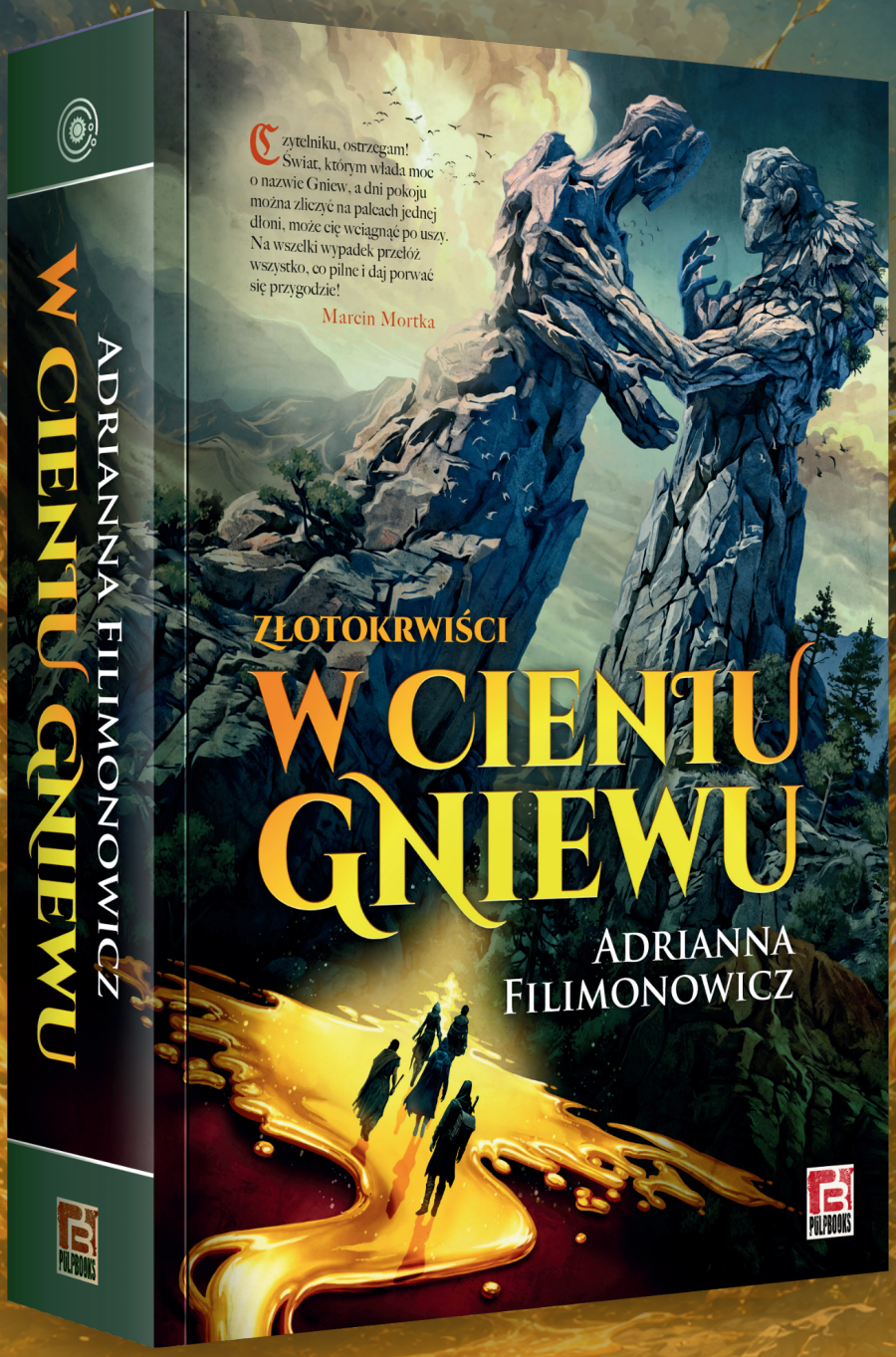

Już w sprzedaży!

www.pulpbooks.pl/sklep

PULPBOOKS



PUBLICYSTYKA

KOSZMAR Z ULICY OKŁADEK

PAULINA STEFANIAK

Paulina, znana szeroko jako @ciemnastronaracucha, propagatorka ruchu #koszmarneokładki, kustosz w prywatnej Galerii Koszmarnych Okładek, dziewczyna, która nauczyła się poprawnie trzymać kredkę w wieku dwóch lat i z wściekłością korzysta z tej umiejętności do dziś (możecie tę jej wściekłą twórczość podziwiać i w tym numerze, ponieważ to jej ilustracje ozdabiają opowiadania oraz dział rozrywki), poddaje wiwisekcji trend, który – jako się rzekło – zidentyfikowała. Okładki niecodzienne, odstające od przyjętej normy, być może zaburzające nasze poczucie estetyki. To podróż przez epokę tyleż ciekawa, co pouczająca!

Dedykuję ten tekst mojej świętej pamięci rybce. Teleskopie, byłeś najbrzydszą rybą akwariową, jaką kiedykolwiek widziałam. Gdy wspominam twoje gałki oczne, dwukrotnie większe od głowy, oraz czarny, groteskowy welon, na wpół obgryziony przez złośliwe neonki, zdaję sobie sprawę, że to dzięki tobie zakiełkowała we mnie fascynacja dziwnością i brzydotą.

Nic nie wzbudza takiego zawodu jak marna oprawa doskonałego dzieła. To jak zjeść wykwintną kolację z papierowego talerzyka, podziwiać Monę Lisę zamkniętą w antyramę z pleksi albo przeczytać wybitne dzieło literatury oprawione w tandetę. Choć istota zagadnienia pozostaje bez zmian, okoliczności drastycznie wpływają na jej odbiór. Okładka książki to przedsmak historii opowiedzianej na jej kartach, wizualny prolog – jest bardzo ważnym elementem i w procesie wydawniczym nie powinna być traktowana z lekceważeniem. Wbrew znanemu powiedzeniu, niezmiennie i uparcie oceniamy książkę po okładce, wszak konsumujemy oczami nie tylko jedzenie, ale wszelkie inne treści. Wydawnictwa, znając ludzką słabość na linii oko–mózg–portfel, starają się przykuć uwagę potencjalnych klientów na wiele (zwykle irytujących) sposobów: wybierają krzykliwe kolory, prowokują nieuzasadnioną nagością, stawiają na barwione brzegi i błyszczące (wycierające się z czasem) nadruki. Aktorzy z filmowych adaptacji książek rzucają zachęcające spojrzenia z obwolut, o ile nie przysłania ich wielkie logo serwisu streamingowego. Wszystkie chwyty, zwłaszcza chwyty marketingowe, dozwolone!

Naturalnie są takie nazwiska i serie wydawnicze, które sprzedadzą się, nawet gdyby całkowicie pozbawić książki okładek. Dobrym przykładem są dzieła poczytnego Kurta Vonneguta, które latami nie mogły doczekać się godnej oprawy. Jego zła passa do grafików zakończyła się dopiero po 2018 roku, za sprawą wydawnictwa Zysk i S-ka oraz Jędrzeja Chełmińskiego, który zaproponował świeżą koncepcję z monochromatycznym tłem i wyrazistymi akcentami. Philip K. Dick budził tak samo duże zainteresowanie – zarówno w wydaniach klubowych, jak i obecnie, gdy jego książki ilustruje sam Wojciech Siudmak. Niegasnącą popularnością cieszą się też wznowienia klasyków science fiction z cyklu „Wehikuł Czasu" wydawnictwa Rebis (2019–obecnie), chociaż niektóre z wykorzystanych w nim projektów Igora Morskiego mogą wydawać się nieco ekscentryczne, jak choćby: kurza łapka dzierżąca kostkę Rubika w „Olśnieniu" Poula Andersona czy człowiek-tygrys w „Gwiazdy moim przeznaczeniem" Alfreda Bestera.

Od przeszło dwóch lat kolekcjonuję w cyfrowym archiwum najdziwniejsze okładki, jakie uda mi się wypatrzyć na stronach internetowych antykwariatów, platformach sprzedażowych i, o zgrozo, pośród najnowszych zapowiedzi wydawniczych. Dzielę się nimi w organizowanym nieregularnie „Plebiscycie Koszmarnych Okładek" na moim profilu instagramowym. Publikowanie ich spotyka się często ze sprzeciwem dotyczącym kwalifikacji konkretnej okładki w kategorii „brzydkie" i ja – mając na względzie subiektywność takich pojęć jak piękno i brzydota – absolutnie się z tym sprzeciwem zgadzam! Nie śmiałabym nazywać prac takich artystów jak Jan Młodożeniec, Henryk Tomaszewski czy Daniel Mróz paskudnymi, choć ich dzieła bywały groteskowe i niepokojące. (Gdybym tak kiedyś powiedziała – dzwońcie po karetkę). Zanim więc przejdę do sedna, musimy ustalić dwie rzeczy: każda potwora znajdzie swojego amatora, a „koszmarna" nie równa się „brzydka".

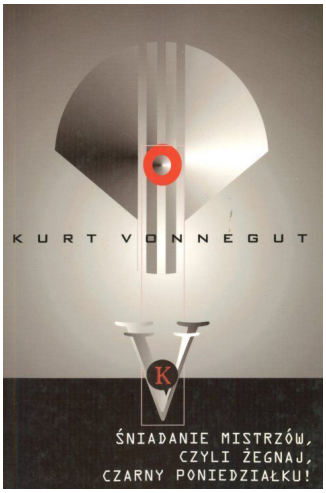

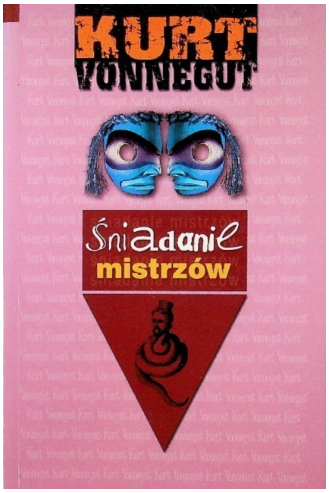

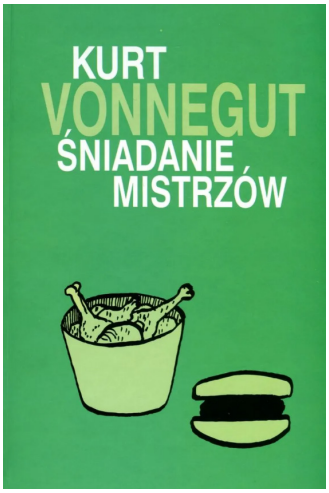

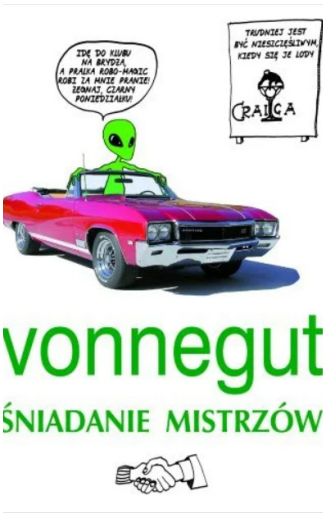

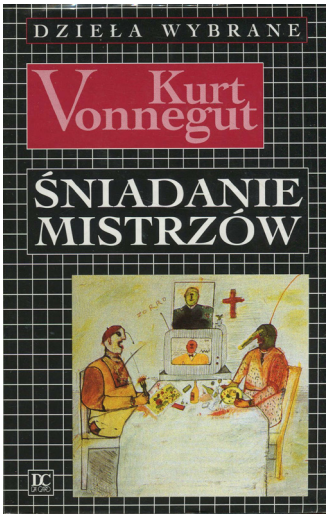

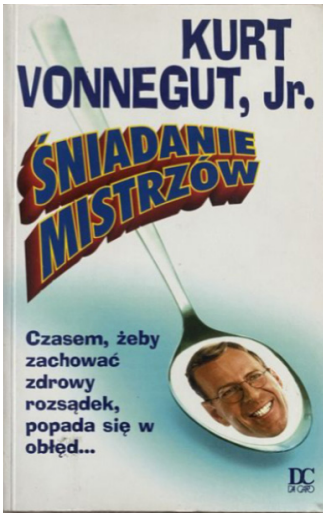

„Koszmarność" to bardziej pojemna szufladka – dla jednych będzie to estetyczna katastrofa, dla innych przyczyna traumatycznych wizji w fazie REM. Najczęściej jednak koszmarne okładki to nostalgiczny relikt dawnych czasów, który nie wzbudza negatywnych uczuć. Nie zawsze koszmarne wydanie to wynik złej woli, lecz suma pośpiechu, niskiego budżetu i braku jakichkolwiek zahamowań w procesie twórczym. To, co dziś uznajemy za tandetę, dawniej mogło uchodzić za nowatorski nurt albo wręcz pożądaną przez odbiorcę koncepcję. Zbyt wysublimowana okładka mogła odstraszać, sugerować, że to literatura „z wyższej półki", z kolei wyobrażenia rakiety kosmicznej albo półnagiego herosa z mieczem natychmiast wskazywały gatunek i naprowadzały czytelnika na odpowiednią lekturę.

Lata 1950–1980 określane są mianem najlepszego okresu polskiej ilustracji książkowej. Na polu sztuki użytkowej nie mieliśmy sobie równych; polska szkoła ilustracji i jej popularniejsza siostra – polska szkoła plakatu – reprezentowały światowy poziom i wyznaczały międzynarodowe trendy. Obecnie o takich sukcesach możemy jedynie pomarzyć. Trudno o inne równie wdzięczne do zilustrowania gatunki literackie jak fantasy i science fiction, które ze względu na swoją specyfikę aż proszą się o spektakularną oprawę graficzną. Wizje fantastycznych światów rodzące się w głowach pisarzy, obce rasy, krwiożercze bestie, nowo odkryte planety, futurystyczne technologie, miasta przyszłości – wszystko to daje artystom ogromne pole do popisu. Mimo to zdarzały się projekty, na które z upływem lat patrzy się z politowaniem. Przykładów najlepiej szukać w seriach wydawniczych doskonale znanych miłośnikom gatunku: „Magią i Mieczem" wyd. Iskry, „Biblioteka Fantastyki" wyd. ALFA, „Fantastyka-Przygoda" wyd. Iskry, „Fantazja–Przygoda–Rozrywka" wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza oraz nieco młodszej (powstałej w latach dziewięćdziesiątych) serii „Nowa Fantastyka" współwydawanej z wydawnictwem Prószyński i S-ka.

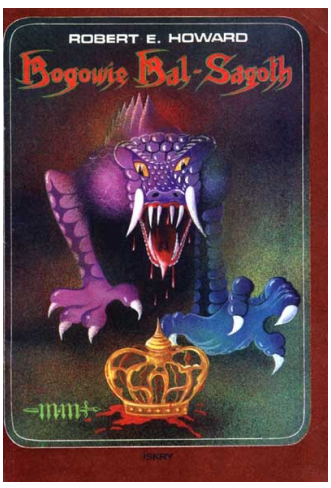

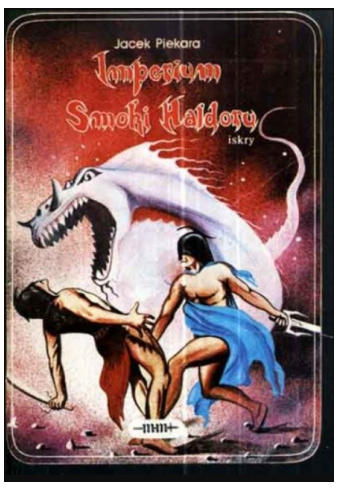





Twórcą okładek do „Magią i Mieczem” był wielokrotnie nagradzany plastyk Tadeusz Łuczejko (zaprojektował również logotyp serii – dwie litery M przebite mieczem). To między innymi jemu zawdzięczamy oprawę polskich przekładów twórczości Roberta E. Howarda. Ilustracje dla wydawnictwa Iskry powstawały na samym początku jego artystycznej kariery, więc delikatnie odbiegały stylem od późniejszych projektów. Nie były tak charakterystyczne jak te z lat dziewięćdziesiątych i nawiązywały, zwłaszcza typografią, do prac Rogera Deana, angielskiego grafika tworzącego okładki płyt rockowych. Łuczejko rysunkami do „Imperium. Smoki Haldoru” Piekary oraz „Bogowie Bal-Sagoth” Howarda uciął odwieczne dyskusje o różnicach między wiwerną a smokiem, wywołując przy tym nowe: czy istnieją szablozębne jaszczurki i na ile można upodobnić potwora do konia, by nadal budził grozę.

Polskim twórcom w dziedzinie ilustrowania heroic fantasy brakowało wiele, by dorównać światowym sławom pokroju Michaela Whelana, Borisa Vallejo czy Franka Frazetty. Na szczęście byli wystarczająco blisko, aby ówczesny polski odbiorca mógł poczuć upragniony powiew Zachodu. Poruszając tematykę herosów i gołych cyców, nie można zapomnieć o Robercie Burym, który stworzył ikoniczną ilustrację do zbioru opowiadań „Conan. Droga do tronu”. Kto raz ujrzał fioletowego potwora o chudych nóżkach i z burzą zmierzwionych kłaków na głowie, ten zapamięta go do końca życia. Na nie mniejszą uwagę zasługuje tylna płaszczyzna książki, na której widnieją dwa kolejne stwory, i trudno oprzeć się wrażeniu, że autor, śladem średniowiecznych artystów, „ulepił” je, łącząc różne znane mu gatunki fauny i flory. I tak oto: mniejsza kreatura ma w sobie coś z rzygającego kota oraz kaktusa, a większa przypomina hybrydę tyranozaura i nosorożca. „Biblioteka Fantastyki”, z której pochodzi powyższy przykład, miała na koncie dziewięćdziesiąt osiem wydanych tytułów i prezentowała bardzo zróżnicowaną fantastykę: od klasyki i hard SF po fantasy. W przeciągu szesnastu lat (1985–2001) seria trzy razy całkowicie przekształcała logo i wielokrotnie zmieniała styl, dzięki czemu można prześledzić artystyczne trendy na przestrzeni lat. Uzupełnieniem tej serii były „Dawne Fantazje Naukowe”, zawierające dzieła science fiction sprzed 1939 roku – na nie również warto zwrócić uwagę pod kątem koszmarnych wizji grafików.



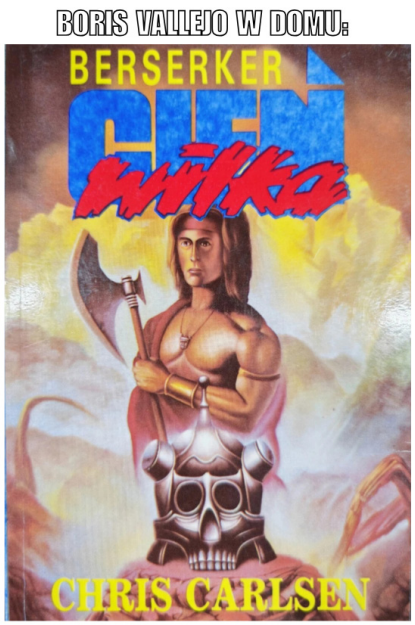

Absolutną rekordzistką pod względem liczby ekscentrycznych wydań jest seria „Fantastyka-Przygoda”, której style zmieniały się sześciokrotnie na przestrzeni trzydziestu lat (transformacje następowały kolejno w latach 1974, 1979, 1982, 1988 i 1991); ostatnia wersja nie posiadała jednak charakterystycznego logo globusa otoczonego dwoma łukowatymi kształtami. Pierwsza z szat graficznych była mocno zróżnicowana, ilustracje do niej tworzyły znakomite osobistości, takie jak: Jerzy Treutler, jeden z przedstawicieli wspomnianej wcześniej polskiej szkoły plakatu, autor „Jaskółki” – znaku graficznego Mody Polskiej, czy Jerzy Zbijewski, od 1966 roku grafik w dziale reklamy Polskich Linii Lotniczych LOT. Po 1974 roku za okładki odpowiadał Kazimierz Hałajkiewicz, wrocławski malarz awangardowy, który na swoim koncie miał wiele projektów sztuki użytkowej i odpowiadał za trzy kolejne wersje okładkowe serii. Druga i czwarta odsłona w całości utrzymane były w nurcie abstrakcyjnym. Mimo rozmachu, dość mocno rozmijały się z treścią, a nowatorskie podejście artysty spotkało się z krytyką w środowisku fanowskim i zakończyło nominacją do antynagrody „Złoty Meteor”. W trzeciej wersji Hałajkiewicz postawił na monochromatyzm i mocno zaznaczone kontury; ilustracje były bardziej czytelne i spójne z treścią lektury, mimo że nadal przeważała surrealistyczna maniera twórcy. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych styl okładek powędrował ku realizmowi, czyli w oczekiwanym przez odbiorców kierunku. Autorem większości grafik w tym okresie był Janusz Gutkowski, kilkukrotnie pojawiło się też nazwisko Piotra Łukaszewskiego.



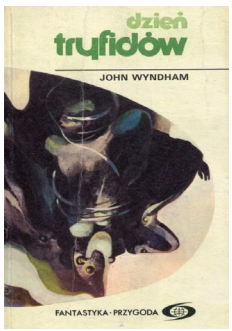

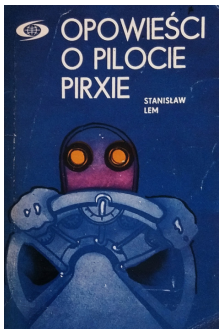

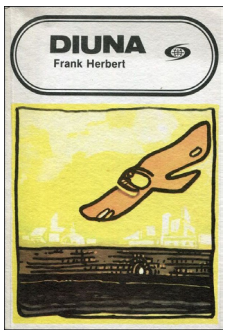

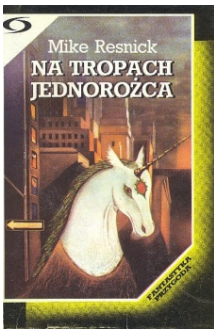

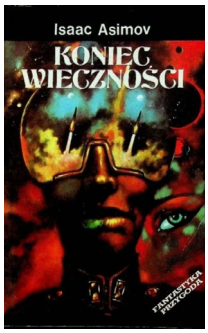

Prawdziwe piekło perfekcjonisty stanowi seria „Fantazja–Przygoda–Rozrywka”, znana również jako „Seria z glizdą”. Większość jej tytułów wydano w formacie 16 centymetrów z czarnymi okładkami, jednak z czasem wprowadzono pozycje w formacie zeszytowym 28 centymetrów – z okładkami w kolorze białym; dodatkowo dwa tomy ukazały się w formacie 20,5 centymetra. Podobno rozmiar nie ma znaczenia, więc skupię się teraz na warstwie estetycznej. Pośród autorów grafik najczęściej pojawia się nazwisko Waldemara Andrzejewskiego – twórcy komiksów, plakatów filmowych, znaczków pocztowych oraz, tutaj ciekawostka, niewdrożonego projektu polskich banknotów. Jego prace dla Krajowej Agencji Wydawniczej trudno przyporządkować do konkretnego nurtu w sztuce – cechował je duży rozrzut stylistyczny i żywe barwy. Drugim autorem okładek z tej serii był Wiktor Żwikiewicz, który, poza tworzeniem ilustracji do literatury fantastycznej, był również uznanym pisarzem w gatunku. Często wzbogacał własne dzieła o rysunki, w tym wydane w serii „Stało się jutro” (nakładem wydawnictwa Nasza Księgarnia): „Sindbad na RQM 57”, „Happening w oliwnym gaju” czy „Ballada o przekleństwie”. Fakt, że był on jednocześnie

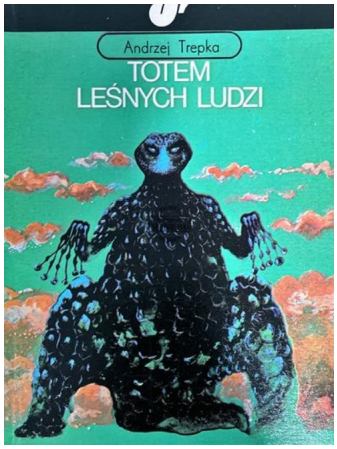



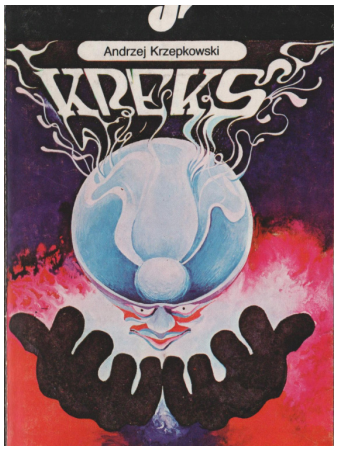



twórcą treści i oprawy graficznej, sprawiał, że okładki stanowiły bezpośrednie odzwierciedlenie jego wyobraźni. Nie były jedynie zewnętrzną interpretacją, lecz spójnym elementem wizji estetycznej. Projekty Żwikiewicza dla „Serii z glizdą" wyróżniały się organicznym stylem dzięki zastosowaniu giętkich, asymetrycznych linii przywodzących na myśl nurt secesyjny. Autor operował skomplikowanymi, barwnymi strukturami oraz formami balansującymi na granicy biologii i technologii. Osobiście uważam je za zjawiskowe i hipnotyzujące; ubolewam, że Żwikiewicz odnosił się do nich dość krytycznie, a w końcu zerwał całkowicie z tworzeniem ilustracji – ostatnią okładkę zaprojektował do własnej powieści „Delirium w Tharsys", wydanej w 1986 roku.

Okładki sprzed pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat (tak, to już tyle!) stanowią dziś fascynujący dokument epoki, w której polska fantastyka marzyła o rozmachu porównywalnym do zachodnich produkcji, czerpiąc jednocześnie z dorobku rodzimych mistrzów polskiej szkoły plakatu i ilustracji. Nie sposób wymienić wszystkich prężnie działających w tej dziedzinie artystów i pokazać ogromu ekscentrycznych projektów w jednym artykule, ale co się odwlecze...

Bibliografia:
- Artur Nowakowski "Fantastyczne światy na okładkach i w ilustracjach książek oraz czasopism od wieku XIX do lat 80. XX wieku", Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas, 2014.
- Patryk Mogilnicki "Książka po okładce: o współczesnym polskim projektowaniu okładek książkowych", Wydawnictwo Karakter, 2021









MARCIN ŚWIĄTKOWSKI

KILKA ENTUZJASTYCZNYCH UWAG NA MARGINESIE „7EW” NEALA STEPHENSONA

PUBLICYSTYKA

Na potrzeby słowa wstępnego próbowałem ustalić, czy Marcin jest z wykształcenia filozofem, czy filologiem. I nawet ustaliłem, ale jako że jedno z drugim mi się myli ciągle, to zdecydowałem się nie pisać na ten temat nic. Zresztą, poniższy tekst o jednej z najlepszych książek przeczytanych przeze mnie w zeszłym roku jest tak dobry, że nie zdziwiłbym się, gdyby nasz felietonista miał dwie magisterki.

Uwaga: tekst jest pełen spoilerów.

Nie mam pojęcia, jak trafiłem na książki Neala Stephensona – po prostu się pojawiły w moim życiu. Ktoś, kiedyś, gdzieś powiedział mi, że „Peanatema” to filozoficzne sci-fi, więc kupiłem i do dziś pamiętam, jak dziwaczny był proces lektury tej powieści. Najpierw odbiłem się od niej jak od muru i czytałem dalej właśnie przez ten opór, który miał w sobie coś z wyzwania. Później – zrobiło się dość nudno, ale czytałem dalej, bo jako wielki fan dialogów sokratejskich z przyjemnością śledziłem zakonników dyskutujących o idealizmie ontologicznym. Wreszcie – mrugnąłem dwa razy i zanim się zorientowałem, czytałem powieść o inwazji kosmitów. Jak do tego doszło? Nie wiem, ale bawiłem się wyśmienicie.

„7EW” z kolei od dawna krążyła gdzieś na orbicie moich zainteresowań, ale wskutek działalności pewnej grupy czytelniczej stała się na rynku niemal białym krukiem. Kiedy udało mi się ją upolować dość tanio na Vinted, tak się złożyło, że miałem akurat ochotę na lekturę o potężnym kalibrze – więc od razu wziąłem się z tą książką za bary. Schemat znany z „Peanatemy” powtórzył się w zasadzie co do joty.

Początek powieści jest… nie to, że nudny, ale dziwaczny. Księżyc wybucha, a bohaterowie od pierwszych stron ujawniają, że są grupą nieszkodliwych, sympatycznych nerdów, tych zabawnych ludzi, którzy mają swoje zajawki, są nieco nieporadni i świetnie się z tym czują. O ile jest to zrozumiałe w wypadku Doca Dubois, o tyle w wypadku kluczowych dla późniejszych wydarzeń Ivy oraz Dinah można by pomyśleć, że do pracy w kosmosie nie trzeba wcale wieloletniej kariery zwieńczonej morderczym treningiem, a wystarczy trochę ciepła i humoru.

Również politycy w świecie kreowanym przez Stephensona wydają się mili i sympatyczni, bez problemów dogadują się przecież w sprawie utworzenia Arki w Chmurze. Można to, oczywiście, tłumaczyć bezprecedensową skalą zagrożenia, ale mimo wszystko brzmi to nieco… naiwnie? Niemniej, jakoś się to czyta, dużo się dzieje, a ponieważ ostatnio obrodziło w transmisje live HD z różnych misji kosmicznych (Axiom-4, Artemis II), to środowisko ISS wydaje się bardzo swojskie. Nawet kiedy ktoś ginie, reszta traktuje to raczej w kategoriach strat koniecznych niż tragedii. Bohaterowie żarcikują sobie, podfruwając w próżni i cała ta historia przypomina familijną fabułę o przygodach w kosmosie. Jest to zresztą charakterystyczne dla autora, ponieważ w „Peanatemie” również chwaliłem luźną i niewymuszenie żartobliwą atmosferę.

(Nawiasem mówiąc, przezabawne jest to, że książka, powstała w 2016 roku, kompletnie nie uwzględnia chińskiego programu kosmicznego, który w chwili obecnej, zaledwie 10 lat później, jest najbardziej dynamicznym i skutecznym na świecie; gdyby ta historia miała miejsce dziś, większość startów nie odbywałaby się z Korou ani Bajkonuru, tylko z Xichang.)

Stephenson utrzymuje tę konwencję w zasadzie aż do połowy tysiącstronicowej książki.

Czytamy dalej głównie dlatego, że ciekawi nas McGyveryzm i techniczna prowizorka, którą ludzkość musi uprawiać, żeby w ogóle mieć szansę przetrwać. Denerwujące, apokaliptyczne rozważania Doca Dubois na temat przemijalności wydają się w tym środowisku nienaturalne i nudne – ciekawsze jest, jak zaprojektowano mini-arki albo poradzono sobie z problemami mechaniki orbitalnej.

A wtedy zaczynają lecieć kamienie i do czytelnika dociera nagle, że JEZUS, MARIA, TO JUŻ, JUŻ JEST KONIEC ŚWIATA, WŁAŚNIE UMARŁO OSIEM MILIARDÓW LUDZI. A bohaterowie są na to W OGÓLE NIEPRZYGOTOWANI.

Na podstawie opisu na okładce wiedziałem, że całe to przedsięwzięcie mniej-więcej musi się udać, więc nagle kwestia tego w jaki sposób bohaterowie zamierzają przetrwać na orbicie, mając do dyspozycji zdezelowaną stację kosmiczną, asteroidę i garść latających puszek po coli, stała się doprawdy bardzo interesująca. A kiedy na orbicie pojawia się jeszcze prezydentka USA, zaś dowódca ISS udaje się na brawurową (i samobójczą) wyprawę po paliwo, jasne staje się, że kolejka górska po długiej, mozolnej wspinaczce na szczyt właśnie go minęła i zaczyna się jazda bez trzymanki.

Na tym etapie porzuciłem już wszelką nadzieję, że to się dobrze skończy. Bohaterowie od początku książki co jakiś czas wysuwają wątpliwość, że jak się dobrze nad tym zastanowić, to całe przedsięwzięcie Arki nie ma większego sensu i musi się skończyć katastrofą – ale przecież to tylko takie gadanie, prawda? Otóż nie: ten projekt w istocie, od samych swoich podstaw, nie miał żadnej szansy powodzenia i ta świadomość na początku drugiej części uderza czytelnika jak młot.

Stephenson pokazuje jasno: nawet jeśli optymistycznie założymy, że przywódcy światowi z grubsza się dogadają, to nie mamy ani zasobów technologicznych, ani kulturowych, żeby zrealizować przedsięwzięcie ocalenia ludzkości. Kiedy dochodzi do katastrofy, orientujemy się, że w gruncie rzeczy zrobiono żałośnie mało: te kilkaset habitatów, które wysłano na orbitę, to jest niby cały wysiłek, na jaki stać było planetę? Do czytelnika dociera, że od samego początku śledzi sytuację z perspektywy ISS i jej załogi, a więc całkowicie omija go dramat odbywający się na powierzchni Ziemi. A tam właśnie dochodzi do politycznych i ekonomicznych przetasowań, które sprawiają, że pozornie olbrzymi wysiłek ocalenia ludzkości to tak naprawdę pozorowane działania mające na celu udawanie, że ktokolwiek cokolwiek robi w sprawie apokalipsy. Nikt poza osobami już żyjącymi w przestrzeni nie traktuje ich poważnie.

System wysyłania na orbitę ludzi wybranych z każdego narodu świata jest – gdy się nad tym zastanowimy – wspaniale symboliczny i bardzo sprawiedliwy, więc budzi nasz entuzjazm. Problem w tym, że tak naprawdę jest to projekt wysłania na orbitę dość przypadkowego zbioru nastolatków i młodych dorosłych. Mówimy tu o osobach, które są co prawda kreatywne, twórcze i pełne energii, ale nie mają dość zasobów emocjonalnych, żeby poradzić sobie w takiej sytuacji. Tymczasem stawia się przed nimi zadanie utworzenia funkcjonującej społeczności w niesłychanie trudnych okolicznościach.

Nic więc dziwnego, że błyskawicznie dochodzi do rozłamu na Arkę i ISS, ponieważ z jednej strony – amatorzy-arkanie, a z drugiej – specjaliści-zwymiesze, nie mają szansy się dogadać, szczególnie kiedy w sprawę zaczyna mieszać się zawodowa polityczka Julia. Jedni to ofiary politycznych rozgrywek, do końca toczących się na powierzchni, a drudzy – ludzie, którzy po prostu próbują przeżyć, choć zdają sobie sprawę ze swoich mizernych szans.

Gdy resztki ludzkości docierają do punktu, w którym należy ostatecznie zadecydować o odpowiednim planie działania, jedna grupa nie może uwierzyć, że ich amatorski głos ma zostać zignorowany, druga z kolei nie przyjmuje do wiadomości, że w obecnych okolicznościach ich ekspercka decyzja miałaby zostać zakwestionowana w demokratycznym wyborze. Katastrofalny rozłam nie wyniknął więc z uporu czy głupoty którejś ze stron, a był zwykłą konsekwencją sporu między dwiema społecznościami o radykalnie innych modus operandi.

Stephenson w drugiej i trzeciej części książki tworzy spektakularny kontrast. Z jednej strony mamy bowiem osoby planujące stworzyć społeczność według nowych, orbitalnych zasad, technokratyczną załogę ekspertów, którzy w katastrofalnych okolicznościach starają się myśleć racjonalnie. Z drugiej – grupę osób, oderwanych niemalże siłą od Ziemi i posłanych w kosmos nie wiadomo po co, a którzy – nie rozumiejąc implikacji tego, co się z nimi dzieje – zachowują się całkowicie nieracjonalnie. Bo faktycznie, ludzie jako gatunek postępują irracjonalnie i bez sensu, często nawet kierowani dobrymi intencjami, ale wiadomo, czym jest piekło wybrukowane. Obserwowanie tej fascynującej dynamiki, nawet zmyślonej, bo przecież cały czas mówimy o książce beletrystycznej, było równie interesujące, co niepokojące.

Z jakiegoś powodu wizja Arki w Chmurze była dla mnie bardzo przerażająca. Wychowany na sci-fi, nie postrzegałem nigdy kosmosu jako strasznego, bo oswoiłem się z jego wyobrażeniem. A jednak koncepcja Arki sprawiała, że zimny dreszcz przebiegał mi po plecach. Mówimy tu przecież o młodych osobach, które zamknięto w całkowicie pozbawionej jakiejkolwiek prywatności puszce, z której nijak nie da się uciec i w której nikt nie pilnuje porządku, ponieważ zanegowano jedyny istniejący plan utrzymania jakiejś praworządności. Nieustannie grozi im śmierć wskutek trafienia kawałkiem skały albo promieniowania z koronalnego wyrzutu masy i co chwila taką śmierć oglądają. Brakuje im podstawowych zasobów, a sposoby ich pozyskiwania są wadliwe i awaryjne, więc cierpią z powodu głodu i pragnienia. Najgorsze jednak jest chyba to, że nie ma ucieczki; na Ziemi zawsze istnieje jakaś fizyczna przestrzeń poza miejscem, w którym się znajdujesz. W przygotowanym przez Stephensona scenariuszu jedyną ucieczką jest śmierć, której przecież dopiero co cudem uniknąłeś. Taka sytuacja nie trwa paru tygodni, tylko TRZY LATA. Dziewięćset dni. Bezmiar cierpienia, który rozgrywa się w Arce w tym czasie, to przykład niesłychanego pisarskiego okrucieństwa.

Gdy popatrzymy na to z tej strony, radykalna nieracjonalność mieszkańców Arki przestaje dziwić. Społeczności ludzkie z trudem dają sobie radę w optymalnych warunkach, a co dopiero w tak ekstremalnych? W obliczu tej refleksji wszystkie dalsze wydarzenia, zaczynając od powolnego rozpadu roju, przez dziwaczny mistycyzm wytworzony wśród Arkan, aż do kanibalizmu, wydają się zrozumiałe.

Finalny epizod ISS, przemianowanej już na Endurance, czyli manewr zadokowania wśród resztek księżyca, jest karkołomnym przedsięwzięciem o znikomych szansach powodzenia i udaje się właściwie tylko dlatego, że ktoś trzy lata wcześniej dobrze obliczył parametry orbitalne kilku elementów układu Ziemia-Księżyc. Innymi słowy, to, że bohaterom udaje się pomyślnie przezwyciężyć wszystkie trudności, włącznie z atakiem oszalałych mieszkańców Arki, było czystym fartem i to właśnie uratowało ludzkość: fart. Oraz odrobina determinacji. Z całą pewnością nie był to skonstruowany naprędce plan ewakuacyjny. Do księżyca dociera 16, a przeżywa 8 osób z ponad tysiąca wysłanych na orbitę. Umówmy się, tak absurdalnie wąski margines bezpieczeństwa nie jest świadectwem dobrego planowania. Stephenson zdaje się ukazywać przewagi technokracji, ale... no właśnie – ale. Nadchodzi ostatnia część książki.

Kobiety, które przetrwały katastrofę, czyli tytułowe siedem Ew (w tym dwie zbrodniarki wojenne), starają się poddać tę sytuację refleksji. Skoro i tak zmuszone są do grzebania w ludzkich genach w celu rozrodu, usiłują wprowadzić u swojego potomstwa pewne ulepszenia. Kiedy zaliczamy słynny przeskok o pięć tysięcy lat do przodu, nie mamy już do czynienia ze „zwykłymi" ludźmi, a ich genetycznie poprawionymi wersjami.

I okazuje się, że nic się nie zmieniło.

Niczego się ludzie przez te pięć tysięcy lat nie nauczyli. Potrafią budować orbitalne pierścienie i windy kosmiczne, terraformować planety, ciskać kometami jak pociskami, hakować układy nerwowe, a kiedy przychodzi co do czego, i tak rzucają się sobie do gardeł i piorą się po gębach. Z tym, że teraz już nie chodzi o przetrwanie. Chodzi o... właściwie nie wiadomo, o co chodzi. Konflikty w tej trzeciej części są w gruncie rzeczy całkiem abstrakcyjne i sprowadzają się do tego, kto będzie miał fajniejsze orbitalne urządzenia. W pewnym sensie jest więc jeszcze gorzej.

A ponieważ w ostatniej ćwierci książki poznajemy też ludzi zakonserwowanych w puszce oraz takich, co ewoluowali w delfiny, i ani jedni, ani drudzy wcale nie są mądrzejsi od mutantów z orbity, to mamy przestrzeń do porównania, a zarazem refleksji: nie ma doświadczenia tak krytycznego, żeby zmienić ludzką naturę.

Idę szukać „Cryptonomiconu" na Vinted.

PRZEDE WSZYSTKIM LEM BYŁ PIERWSZY

WYWIAD Z MARKIEM ORAMUSEM

MATEUSZ SZŁAPKA

Trzeba sobie zdać sprawę z faktu, że pisarze dzisiaj uznawani za klasyków literatury fantastycznej powoli znikają w mrokach dziejów. Zacierają się w ludzkiej pamięci ich powieści, słowa i historie. Jako redakcja uważamy, że trzeba te relacje i wspomnienia zachować. Dlatego o swojej znajomości ze Stanisławem Lemem, fantastyce socjologicznej i rodzącym się środowisku pisarzy w latach 70. i 80. oraz czasopiśmie „Fantastyka" z Markiem Oramusem rozmawia Mateusz Szłapka.



Czy pisanie science fiction to jest łatwa sztuka? Z jednej strony wszystko można wymyślić, ale z drugiej to karkołomne zadanie, żeby nie narazić się na śmieszność.

Pisanie science fiction to nigdy nie była łatwa sztuka. Trzeba wymyślić cały świat i to jest stosunkowo najprostsza sprawa, ale on musi być po pierwsze spójny, po drugie musi być ciekawy. Musi się różnić od naszego świata i jednocześnie jakoś być do niego podobny. Gdybyś napisał coś, co się nijak nie ma do naszego życia, to nikt by tego nie czytał z ciekawością, bo by nie rozumiał, o co ci chodzi. Więc trzeba wymyślić całe wyposażenie takiego świata, typy ludzkie, stosunki społeczne, wynalazki czy maszyny, którymi się ludzie w opowiadaniu czy w powieści posługują. No i to nie może być głupie, bo głupia technika nie zadziała. Nawet Lemowi się zdarzały grube wpadki techniczne, np. w najnowszym wydaniu „Głosu Pana" stoi jak byk Ev, czyli elektronowolty, które w fizyce oznacza się eV. Jak poszedł błąd w pierwszym wydaniu, tak go powielają do tej pory.

Czy Lem jest najlepszym pisarzem fantastyki w Polsce?

Przykro mi powiedzieć, ale tak.

Lepszego nie będzie?

Długo nie będzie. To, co się u Lema starzeje, to scenografia. Natomiast nie starzeją się tematy i problemy.

Scenografia też się nie starzeje.

Starzeje się. Już jest stara. Była stara w momencie, jak Lem żył. W „Niezwyciężonym" po podłodze walają się atlasy gwiezdne. Nie będzie żadnych atlasów gwiezdnych. Teraz nikt nie wozi żadnych na przykład map Księżyca, jak Amerykanie wybierają się oblecieć Księżyc. Cały Księżyc mieści się im po prostu w komputerach. Elektroniczna rejestracja danych szwankuje u Lema bardzo dotkliwie.

A tematy, które podejmował Lem – wszystkie są aktualne?

Ciężko by mi było znaleźć taki, który nie jest aktualny.

Czy Stanisław Lem był poza całym środowiskiem fantastyki? W sensie poza wami tak naprawdę? Czy to wynikało z jego podejścia, że jest lepszy niż inni pisarze fantastyki?

Przede wszystkim Lem był pierwszy. Był na placu boju od połowy XX wieku, grubo zanim nastaliśmy my. Był też megalomanem, ale miał do tego solidne podstawy. Natomiast jego co innego interesowało, utożsamiał fantastów, ruch fanowski ze średnim i niskim poziomem fantastyki. Ot, leci rakieta, atakują Obcy, toczy się wojna w kosmosie. Jego bardziej interesowały filozoficzne rozważania. Ponadto Lem nie lubił ludzi. Nawet w pewnym momencie oświadczył, że gdyby mu ktoś dał do wyboru, co zrobić z ludzkością, to on by z radością zamienił ją na inną. A nie lubił ludzi jako zbiorowości z powodu tego, co ona wyprawia. Miał też awersję do poszczególnych osób. Dopiero trzeba było się wkupić w jego łaski, przekonać go do siebie, żeby zmiękczył swoje stanowisko. Więc skoro nie lubił ludzi, nie lubił ludzkości, to był mizantropem i nic się na to nie poradzi.

Jaka była twoja relacja z Lemem?

Z Lemem spotkałem się po raz pierwszy w 1988 roku, jak wrócił z Austrii do Polski. Wydałem wtedy książkę krytyczną „Wyposażenie osobiste", zebrałem w niej recenzje, a właściwie felietony, które były prekursorami Piątego Piwa, ukazującego się później w „Fenixie". Zbiór ten składał się głównie z tekstów, które pisałem do „Przeglądu Technicznego": artykuły, publicystyka. Zdobyłem adres Lema i wysłałem mu to do Wiednia. Dostałem odpowiedź, że niedługo wraca do Polski i zaprasza mnie do swojego domu w dzielnicy Kliny w Krakowie na konkretny dzień. Z wielkim poczuciem wyróżnienia zabrałem się do przygotowań. Wybrałem trochę książek, do których Lem mógł w Austrii nie mieć dostępu, kupiłem piwo, z czym były wtedy ogromne trudności, i zorganizowałem kiełbasę wiejską, bo był okres przedwielkanocny. Przyjął mnie przy czarnym, zawalonym papierzyskami biurku wielkości lotniska. Ja siedziałem naprzeciwko i mówię: tu są książki, a tu są piwa, bo nie wiedziałem, co pan pije. On złapał te piwa, mówi: ja nie piję, ale syn bardzo lubi, i przestawił na drugą stronę biurka, tak że nawet gdybym się rzucił w ich stronę, to bym nie dosięgnął. O kiełbasę spytał: co to jest? Mówię: kiełbasa wiejska. Wtedy zrobił zamach tym pętem i ono przeleciało w powietrzu jak jakieś UFO, po czym wylądowało na skraju sofy, która tam dalej stała. Byłem oczarowany: żeby tak rzucić sobie wesoło i tak trafić? Ćwiczył przed moim przyjazdem, czy co? Zresztą potem opowiadał na spotkaniach o tej kiełbasie. Potem kontakt z Lemem utrzymał się, przyjeżdżałem do niego. Na przykład dzięki tej znajomości załatwiłem dla NOWEJ wydanie „Człowieka z Marsa".

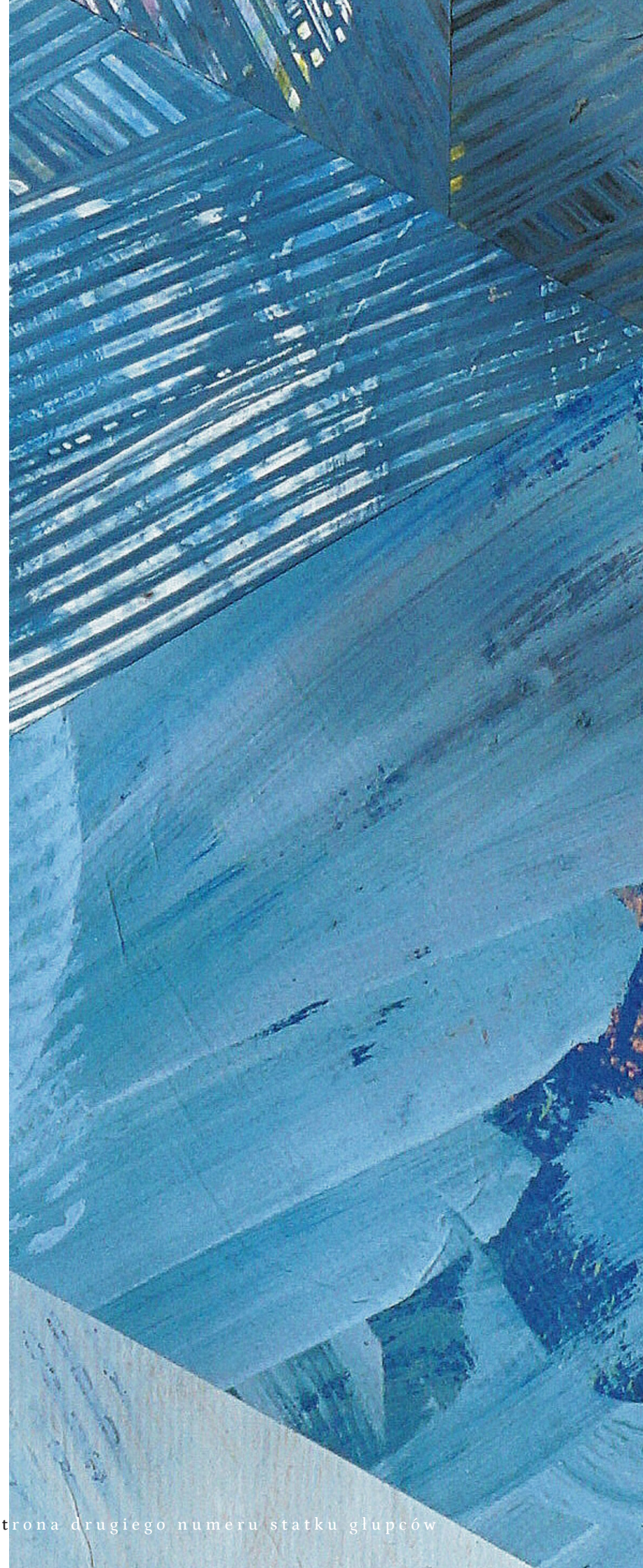

Próbowałeś też zrobić z nim wywiad-rzekę.

W pewnym momencie zrobiłem niezły wywiad z Lemem do „Playboya"; spodobał mu się, więc zaproponował mi wywiad-rzekę. Szukał wtedy kogoś, z kim by mógł porozmawiać na temat, co udało mu się przewidzieć w „Summa technologiae". Szybko jednak przekonałem się, że Lem jest strasznie trudny do prowadzenia. Mimo że ustaliliśmy temat przed wywiadem, to on nieustannie odjeżdżał w dygresje, które były smaczne, ale nie posuwały nas do przodu. I w końcu stwierdziłem, że w ten sposób się nie da pracować, zwłaszcza jak to ma być książka. Napisałem do niego list, że musimy narzucić sobie więcej dyscypliny. To go chyba zdenerwowało. Na następnym spotkaniu powiedział, że zamykamy ten projekt, że on mnie przeprasza, musiał być w słabej formie. Nie będziemy tego robić. No i żeśmy nie zrobili.

Ostatecznie miałeś jeszcze jeden dość ostry konflikt z Lemem.

Tak, napisałem opowiadanie dyskutujące z „Powrotem z gwiazd" pt. „Miejsce na Ziemi", które opiewa dalsze losy Hala Bregga i jego nieuchronny konflikt z zarządcami tego interesu. Lem był zbulwersowany, że ja się go nie zapytałem, czy mi pozwala na takie zabiegi. Oczywiste było, że by mi nie pozwolił. Gdy zaczynałem, nie miałem pewności co mi z tego wyjdzie, ale jak Maciej Parowski je przeczytał, natychmiast zdecydował, że idzie z marszu do numeru. Opublikowane zostało w ósmym numerze „Nowej Fantastyki" z 1999 r. Jak to się ukazało, zapakowałem numer do koperty i wysłałem Lemowi z krótkim listem. Lem mi odpowiedział, że jest to nadużycie, nawet nie wiadomo, czy nie plagiat, że wziąłem cudzy pomysł i go rozwinąłem wbrew woli autora i że to powinno być zakazane.

Jak dzisiaj odbierasz tę reakcję?

Z perspektywy czasu uważam, że był to absurd. Chcąc dyskutować na przykład na temat „Powrotu z gwiazd", musimy użyć tamtych bohaterów i odnieść rozważania do tej powieści, bo inaczej się nie da. Albo zrobisz to, albo nie. Więc zapanowała między nami taka trochę cisza. Po jakimś czasie spotkałem go na konferencji na UJ. Kiedy mu się kłaniałem z daleka, on w pewnym momencie wystartował do mnie z wyciągniętą ręką. Zapytałem, czy jednak postanowił się na mnie nie obrażać, na co odpowiedział, że nie takie rzeczy mu ludzie robili.

Lata 70. i 80. to tworzenie się pewnego środowiska pisarzy fantastyki. Czy to było faktycznie zebrane środowisko, czy jednak każdy z was funkcjonował osobno?

Tak, uważam, że to było środowisko. Jak żeśmy się spotykali, to nie udawaliśmy, że się nie znamy, chociaż nie było też tak, że spędzaliśmy ze sobą każdy wolny moment. Często wpadaliśmy na siebie u wydawcy albo na konwencie. Pamiętam, jak Zajdel wydał już chyba „Paradyzję" i spotkaliśmy go przypadkiem w Iskrach, jak odbierał egzemplarze. I Zajdel nam podpisywał te książki naprzeciwko Komitetu Centralnego. Wszyscy się znaliśmy, chociaż były różne sytuacje. Pamiętam, że z dużym zdziwieniem odkryłem, że Wnuk-Lipiński ma tak na nazwisko, a nie jest wnukiem prof. Edwarda Lipińskiego.

No więc wszyscyśmy się znali i wszyscy sobie kibicowaliśmy, bo rozumieliśmy, że robimy właściwie to samo. Każdy inaczej, ale z grubsza to samo. Ja osobiście miałem kilka uwag co do niektórych. Na przykład do Konrada Fiałkowskiego, który był naukowcem, zajmował się komputerami, sieciami, ale miał przychylne nastawienie do komunizmu, co dla mnie było nie do zniesienia. Nie przepadałem też za Andrzejem Trepką. Dobrym dla nich określeniem jest „pisarze koncesjonowani". Natomiast młodsze pokolenie, to które debiutowało na przełomie lat 70. i 80., było już inne. Naradzaliśmy się, dawaliśmy sobie teksty do przeczytania, do redagowania.

Niewątpliwie jednym z najbardziej charakterystycznych nurtów lat 80. jest fantastyka socjologiczna. Skąd się to wzięło?

To wyszło spontanicznie. Każdy po prostu leciał swoim programem i pisał to, co mu w duszy grało, a na końcu zawodów złożyło się to w taki właśnie w taki obraz, że nazwali to fantastyką socjologiczną. Lem także robił fantastykę socjologiczną, i to wcześniej od nas. Czymże jest na przykład „Eden"? Fantastyka socjologiczna, jak się patrzy. Powieść o społeczeństwie zniewolonym, sterowanym, eksterminowanym biologicznie, modyfikowanym w imię dogmatów natury ideologicznej. To przecież było napisane po 1956 roku, po wypadkach węgierskich, i tak to trzeba odnosić. Sowieci ingerowali po prostu na Węgrzech, trochę tam mordowali, jak to oni, a „Eden" jest właśnie opowieścią o nieingerencji. Sowieci byli zdania, że trzeba wjechać czołgami, bo Węgry próbują się wyłamać z układu komunistycznego. Lem odpowiadał na to: nie wolno ingerować, nie mamy prawa. Co to jest, jak nie fantastyka socjologiczna? Fantastyka socjologiczna składała się z dwóch komponentów, to znaczy próbowała jakoś metaforyzować sytuację w Polsce czy szerzej w komunizmie. I druga sprawa: próbowała też aluzyjnie odnosić się do sytuacji bieżącej.

Czy fantastyka socjologiczna to nasza, polska odpowiedź na historie alternatywne?

Nie. Wtedy nikt takiej kategorii nie wyróżniał nawet. Ona oczywiście istniała już wcześniej; czymże jest „Wojna światów" Wellsa jak nie fantastyką socjologiczną? Wizją społeczeństwa pod-

danego wpływowi potężnego a niepojętego czynnika demolującego rzeczywistość? Wszystkich zawsze interesuje historia alternatywna, która pokazuje inny przebieg dziejów, ja bardzo lubiłem takie rozważania. Czołowym jej przykładem jest Dick z „Człowiekiem z Wysokiego Zamku". My jako przedstawiciele fantastyki socjologicznej staraliśmy się po prostu napisać więcej prawdy. W wywiadzie, którego mi Zajdel udzielił w 1981 roku, on to sformułował tak: w naszym społeczeństwie nie liczy się znaczenie słów, tylko ich brzmienie. I pewne prawdy wyrażone inaczej, zamaskowane, da się przeforsować. Używając słów, formuł, modeli, do których cenzor nie jest przyzwyczajony, czy nadzorca, który na nas patrzy. Zajdel zrobił z tego nawet swój program i z niesamowitą precyzją wprowadzał go w swoich powieściach. Zajdel był z naszego grona najbardziej konsekwentny i dokładny w robocie. Wymyślił swój model, bazujący na kontakcie obcych ras kosmicznych, dzięki niemu metaforyzował stosunki polsko-sowieckie i wypełniał go coraz to innymi fabułami. Najlepiej mu się to udało w „Wyjściu z cienia".

Skoro rozmawiamy o Zajdlu, jak wpadł na pomysł, żeby Adam Wiśniewski-Snerg został bohaterem „Limes inferior"?

Janusz znał się z Adamem. Oni się przyjaźnili, dużo ze sobą rozmawiali. Zajdel jako fizyk chyba nawet trochę podziwiał Snerga, który był przecież samoukiem. A Snerg był jednocześnie człowiekiem dość próżnym i upartym. Jemu się podobało, że Janusz zrobił z niego bohatera książki, bo on Zajdlowi zazdrościł wykształcenia, którego sam nie miał przez oblaną maturę z polskiego i postanowienie, że już nigdy więcej nie będzie jej poprawiał. Czuli do siebie jakieś powinowactwo, chętnie ze sobą konferowali.

Co było największym problemem Snerga według Ciebie?

Upartość. Jak wymyślił teorię Nadistot, to nie chciał jej odpuścić. Kiedyś skontaktowałem Snerga z naukowcem z Krakowa, specjalistą od teorii naukowych, nie pamiętam nazwiska, i wysłałem mu „Jednolitą teorię czasoprzestrzeni". Ja, czytając ją, niewiele rozumiałem, natomiast ten facet przeczytał to ze zrozumieniem i orzekł, że chcąc to ocenić, trzeba by pewne rzeczy obliczyć. A do tego Snergowi zabrakło wykształcenia.

Z czego wynika brak wznowień książek Snerga? „Robot" wydany przez ArtRage to pierwsze wydanie jego książki od bodaj 25 lat.

To wynika głównie z praw spadkobierców. Snerg by inaczej zarządził tym wszystkim. Jego brat Stanisław miał nastawienie merkantylne. Sprzedać dorobek brata za jak największe pieniądze, w jak największej liczbie miejsc, i to miało wystarczyć, bo właściwie tyle dla niego brat znaczył. Jego twórczości ani nie znał, ani jej nie rozumiał, bo to były dwa różne typy osobowościowe. Przypuszczam, że prawa do Snerga są w tej chwili w rękach rodziny, ponieważ Stanisław też już nie żyje od dawna.

Jak przyjęliście powstanie „Fantastyki"? Nie był to najłatwiejszy czas dla pisarzy, którzy nie godzili się na stan wojenny i komunizm generała Jaruzelskiego.

„Fantastyka" była przede wszystkim ratunkiem dla Macieja Parowskiego. On był przerażony całą sytuacją. Maciejka chciał iść do szkoły jako nauczyciel fizyki, choć oczywiście wiedział, że to jest niemożliwe, bo fizyki na tym poziomie nie znał, chyba żeby poszedł do szkoły podstawowej. Podpisał z przerażenia lojalkę i był z tego powodu strasznie na siebie zły. Ale przyznał się do tego w którymś felietonie. Ja byłem skasowany w komisjach weryfikacyjnych. Przed stanem wojennym pracowałem w ITD, które zostało zawieszone. Potem je odwiesili i redaktorem naczelnym ustanowili Aleksandra Kwaśniewskiego, późniejszego prezydenta, ale w „odnowionym" ITD nie widziałem dla siebie miejsca.

Jak wyglądała Twoja sytuacja po wprowadzeniu stanu wojennego?

Nie bardzo wiedziałem, co mam robić, bo byłem zweryfikowany negatywnie w dwóch miejscach. W tym drugim, w Tygodniku Studenckim „Politechnik", dostałem zakaz zatrudnienia w gazetach Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej. Byłem przekonany, że muszę wyjść z dziennikarstwa, ale nie miałem dokąd pójść. Kursowałem między Warszawą, Rybnikiem a Myślenicami, bo ojciec podupadł na zdrowiu i musiałem pomagać matce. Plotka głosiła, że zaproponują mi kierowanie działem fantastyki, który miał powstać w MAW-ie, czyli Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, wydawcy ITD. Do tego nie doszło, bo w międzyczasie okazało się, że KC PZPR dało zezwolenie na pismo science fiction z dziesięcioma etatami – i to była właśnie „Fantastyka". Dowiedziałem się o tym, jak to już właściwie ruszyło i tam głównymi macherami byli Andrzej Wójcik, jak się okazało TW bezpieki, i Tadeusz Markowski, któremu kiedyś umożliwiłem debiut krótkim opowiadaniem. Wprowadziłem do „Politechnika" comiesięczny kącik science fiction, tam się drukowało opowiadanie, a na sąsiedniej kolumnie jakiś kawałek krytyczny. Markowski po stanie wojennym zachował się w stosunku do mnie bardzo paskudnie. Podczas narady w „Fantastyce", kogo przyjąć i jaki zespół zbudować, to wiem od Parowskiego, Markowski wstał i powiedział, że Oramusa trzeba pominąć, bo to element niepewny. Więc nie odezwali się do mnie w ogóle.

Z czego wynikała ta awersja do Ciebie? Z Twojego zaangażowania w Solidarność?

Chyba się obawiał, że zagrożę jego pozycji. Do Solidarności się nie pchałem, bo uważałem, że Solidarność w redakcjach nie ma sensu. Do Związku zapisały mnie koleżanki. Solidarność miała sens w zakładach pracy, w fabrykach, tam, gdzie związek zawodowy stanowi siłę. Ja natomiast, w okresie karnawału Solidarności, upominałem się o różne ustępstwa ze strony cenzury, zwłaszcza dotyczące ingerencji w teksty. W stanie wojennym zostałem więc z tym wszystkim sam - siedziałem i dumałem: do „Fantastyki" nie, tu nie. Miałem dojście do „Przeglądu Technicznego", gdzie prowadziłem dział recenzji i tłumaczeń. „Przegląd Techniczny" to wtedy było znakomite pismo, trzecie na rynku po „Polityce" i „Kulturze". To był normalny tygodnik, w którym się debatowało o sprawach politycznych, roli inżynierów w zmienianiu kraju. W „Fantastyce" nie było dla mnie miejsca dopóki przewodzili tam Wójcik i Markowski. Potem naczelnym został Adam Hollanek, ale jego ani nie znałem ani nie ceniłem. Hollanek wcześniej mieszkał w Krakowie, publikował w „Dzienniku Polskim" i u Władysława Machejka w „Życiu Literackim", w którym w 1968 roku zaznaczył się tekstami antysemickimi. Jak pracowałem w „Czasie Krakowskim", powiedzieli mi ludzie, że Hollanek zapisał piękną kartę antysemicką. No i w nagrodę za te zasługi został mianowany naczelnym. Wtedy był już w Warszawie i prowadził dział naukowy w „Trybunie Ludu".





„Fantastyka" staje się pewnym ewenementem – bo z jednej strony w redakcji jest wielu pisarzy związanych z PZPR, z drugiej strony mamy wielu ludzi zaangażowanych w rodzący się ruch fanowski. Jak w tym wszystkim odnajdywał się Maciej Parowski?

Nikt go nie znał i Parowski tam chyba nie znał nikogo. Musiał tam pójść i powiedzieć, że on się zna na robocie. Tam było dużo ludzi, którzy „wszystko umieli", ale przede wszystkim „reprezentowali" i dobrze się „wypowiadali". Natomiast nie było nikogo do zwykłej roboty redaktorskiej, więc postanowili jednego takiego, który to potrafi, wziąć do redakcji, bo trzeba będzie wydawać gazetę. Tym kimś był właśnie Parowski. Jeżeli ci ktoś przetłumaczy nawet Asimova, to wszystko jest czasami tak pokręcone, że czarno się robi przed oczami, jak spojrzysz na taki tekst. Maciej lubił się po prostu z ołówkiem nad takimi tekstami znęcać i je prostować. Ja się uczyłem adiustacji i redagowania tekstów właśnie pod okiem Parowskiego. On im się tam bardzo przydał, no i okazało się przy okazji, że się zna na fantastyce, bo wtedy się już znał. Kilka lat wcześniej był zdumiony, że takie zjawisko powstało i on o nim nie ma zielonego pojęcia. Zwrócił się wówczas do Mirka Kowalskiego i do mnie o kilka książek, które przeczytał, i w krótkim czasie zdobył takie kompetencje jak my. A potem żeśmy się wszyscy razem uczyli na książkach, które wychodziły, na filmach, które się pokazywały w kinach.

Twój debiut w „Fantastyce" to dopiero 1984 r. Późno. Czemu Parowski nie przepchnął Cię wcześniej?

Powiedziałem sobie, że nie pójdę do „Fantastyki" i nic im nie dam, dopóki tam rządzą Wójcik z Markowskim. W pewnym momencie postanowili wysadzić z siodła Hollanka, ale w rezultacie sami wyskoczyli na aut. Ja publikowałem w innych miejscach: w „Przeglądzie Technicznym", w „Problemach" na przykład. Pod koniec „Pieśni rąbanego lasu" piszę, że kończę opowiadanie „Kwadrofoniczne delirium tremens", które Fiałkowski wydrukował potem w „Problemach". Sporo opowiadań wydrukowałem w tych „Problemach", w tym takie, których Hollanek nie puścił w „Fantastyce". „Problemy" to było prestiżowe miejsce, chociaż słabo płacące, ale wszyscy je śledzili jako miesięcznik, w którym można przeczytać o nauce, a przy okazji trochę fantastyki.

Jak udało ci się przemycić w „Arsenale" Tenenbauma? Jak ta „Modlitwa o wschodzie słońca" przeszła przez cenzurę?

Oni mogli nie wiedzieć nawet, że Tenenbaum pisał dla Kaczmarskiego. Ja znałem się z Kaczmarskim, Gintrowskim, Łapińskim. Oni występowali w Riwierze, gdzie myśmy mieli redakcję „Politechnika". Rozmawialiśmy ze sobą, od samego początku chodziłem na wszystkie ich występy. Co do cenzorów: jestem ostatnim, który by uznał ich za głupców, bo współpracowałem z nimi – chociaż ciągnęliśmy wózek w przeciwne strony. Odziedziczyłem takiego cenzora po Parowskim i dzięki temu on mi puszczał więcej. Parowski mówił: „Dyskutuj z nim do upadłego! Zmęczysz go!" Po kilku takich utarczkach cenzor powiedział: „Widzę, że Parowski nieźle pana wyszkolił." Jeżeli chodzi o Tenenbauma, to nie było żadnych uwag. W „Arsenale" ingerowano w rozdział, który się zaczyna „W Utyce obywatele nie chcą się bronić". Jest to pierwszy wers znanego wiersza Herberta. I dalej pisałem, że pewien mały kraj został najechany przez potężnego sąsiada. To wszystko wtedy wyleciało. Jak to powinno wyglądać, pokazują następne wydania.

Czytając „Pieśń rąbanego lasu" zwraca uwagę to, że „Arsenał" wychodził z Ciebie w dużych bólach. Piszesz, że cały czas z tym walczysz, to był dla Ciebie bardzo trudny proces?

Na czym polega pisanie książki? Ty wiesz co masz napisać, a ręce i głowa nie piszą tego. Nie piszą ci tego, nie jesteś w stanie wyprodukować czegoś, co by ci sprawiało satysfakcję. Ja byłem wtedy takim autorem. Samo zadowolenie bardzo jest ulotne, poczułem to, odbierając „Sennych zwycięzców" po czterech i pół roku od złożenia w wydawnictwie. Wiktor Żwikiewicz mówił, że taka praca kompletnie nie ma sensu, bo coś co napisałeś cztery lata temu brzmi jak archeologia. Ja pamiętam, że pisałem „Sennych zwycięzców" w takim trochę uniesieniu. Potem ekscytacja wygasła, przyszły nowe doświadczenia, trudno się podniecać czymś, co było pół dekady wcześniej. Ale byłem zadowolony, że to się w końcu ukazało, bo w końcu debiut, a pieniądze mi się wtedy bardzo przydały, miałem za co wyżywić i ubrać rodzinę.

Wróćmy jeszcze do cenzury: jak to jest, że wiele z tych powieści, które wówczas wydawaliście, przeszły przez to sito, nawet jeżeli musiały swoje odczekać? Przecież niektóre wątki są tam oczywiste.

Fantastyka socjologiczna to były powieści, moim zdaniem, antysystemowe. Ale oni uważali, że te powieści są już na takim stopniu wtajemniczenia, że zwykły robol ich nie zrozumie. Nie zrozumie tego przesłania, nie przekoduje. Tu się, moim zdaniem, bardzo mylili. Co innego było w przypadku druków nielegalnych. Tam była akcja bezpośrednia, action directe, natomiast myśmy dawali pewną metaforę. Na metaforze się jednak trzeba wyznać, ale w Polsce to nie było trudne. Poza tym oni nie byli tacy mądrzy... choć nie byli też idiotami, to trzeba sobie powiedzieć. Nikt, kto jest przy władzy, nawet taki Łukaszenka, nie jest idiotą, bo on się z czasem wyedukował. On jest człowiekiem od świń, który z czasem przeszedł do pracy z ludźmi. Natomiast nasi komuniści działali z pewną inercją, byli przyzwyczajeni do takich, wiesz, interwencji. Coś odbiegało od normy, ich

normy, no to szturchnie się z boku kijem i to wróci na swoje miejsce. Ale po pewnym czasie przestało wracać. A myśmy żerowali na tym wynalazku Zajdla, który się okazał genialny, że jak przylatują Obcy i rozpoczynają kontakt od represji, to już wiadomo o co chodzi. Oczywiście, do tego dorabia się teorię po latach, a wtedy o tym żeśmy nie wiedzieli, to się robiło jakoś samo. Może Zajdel więcej kumał na ten temat.

Czy czytasz nową literaturę fantastyczną?

To, co wychodzi w Polsce, staram się kontrolować. Natomiast nie do wszystkiego mam dostęp. Jak słyszę, że jakaś książka jest warta uwagi, to staram się sprowadzić ją do domu. Tak było z Istvanem Vizvarym, którego potem spotkałem osobiście. Wiedziałem, że jest matematykiem i że zajmuje się zawodowo oprogramowaniem, a człowiek o takim wykształceniu musi się na czymś znać. Bo wielu autorów nie zna się na niczym, a mimo to piszą.

---

kwiecień 2026





RECENZJA

INSEKCJE – A CÓŻ TO ZA PASKUDA?

WOJCIECH MOSKA

Wojtek to trochę nasz redakcyjny karaluch. Podlega wielkiej presji, ale wciąż żyje. Co chwilę ktoś krzyczy na jego widok, a ten i tak wlezie, gdzie go nie proszą. I za każdym jednym razem wyrazi swoją opinię. Nie inaczej jest i w tym wypadku: przeczytał „Insekcje", wypuszczone ostatnio na rynek przez Wydawnictwo IX, i napastował nas swoimi przemyśleniami. Dopóki nie dostał rubryki w magazynie, wciąż tylko słyszałem o chrząszczach, robaczywych dziewczynach, ćmach i pływach. Zresztą, sprawdźcie sami:

Mamy 10 listopada 2025 roku, Wydawnictwo IX ogłasza antologię fantastyczną pod tajemniczym tytułem „Insekcje". Rzucam okiem na nazwiska i mam ochotę krzyczeć: „Tak! Biorę w ciemno!". Możliwe nawet, że pod wpływem ekscytacji klecę taki właśnie komentarz pod postem wydawnictwa. Mija jednak chwila, wczytuję się w opis zbioru i ekscytacja ustępuje miejsca wątpliwościom. Robale... Właściwie nigdy nie lubiłem robali – ani w życiu codziennym, ani w prozie. Przypominam sobie opowiadania z insektami w roli głównej: jedne wychodziły z oczodołów, doprowadzając nieszczęśnika do obłędu, drugie szczelnie go oplatały, odbierając mu możliwość ruchu. Czy naprawdę mam ochotę czytać zbiór pełen podobnych historii?

Niekoniecznie. „Dziewiątka" ma przecież tyle świetnych pozycji, mogę wybrać coś innego: nowe „Sny umarłych", „Alchemię Światła" Kaczmarka albo „Kroniki Zotique" Smitha. Odpuszczam.

Mamy marzec 2026 roku, Mateusz, załogant „Statku Głupców", umawia się z pisarką Martą Sobiecką na rozmowę w podcaście „Zwyciężony". W ramach przygotowania zapoznaje się z twórczością Marty, co w oczywisty sposób prowadzi go do jednego z jej najnowszych dzieł – zbioru opowiadań, do którego powstania przyczyniła się nie tylko jako pomysłodawczyni, ale także redaktorka. Mowa oczywiście o „Insekcjach". Mateusz pyta na forum Statku, kto chciałby zrecenzować ten zbiór, a ja – o zgrozo! – jako pierwszy podnoszę wirtualną rękę. Co mną kieruje? Czy już zapomniałem o wątpliwościach? Czuję jednak pod skórą delikatne mrowienie, jakby tysiące małych insektów usilnie próbowało przyciągnąć moja uwagę: „Przeczytaj nas! Przeczytaj!".

Mamy koniec kwietnia, otwieram książkę z dużym, różowym napisem „Insekcje".

Zaczynam czytać.

Antologię rozpoczyna krótki tekst Dawida Kaina o intrygującym tytule „O długofalowych konsekwencjach przyspieszonej ewolucji insektów słowonaśladowczych, zwanych mimikami". Aleksandra Klęczar we wstępie przedstawia Kaina jako „(...) mistrza polskiej literatury grozy, sięgającego jednak w swej twórczości także po konwencje takie jak bizarro czy groteska". Nie sposób nie zgodzić się z tym stwierdzeniem – inaugurujące zbiór opowiadanie wymyka się jednoznacznej klasyfikacji. Z każdym zdaniem odkrywałem kolejne pokłady zawartego w nim żartu, lecz autor nie poprzestaje tylko na komediowym wydźwięku, bardzo szybko wzbudzając w czytelniku niepokój. Już po pierwszej stronie naszło mnie skojarzenie z Jorge Luisem Borgesem, szczególnie jego krótką formą ze zbioru „Fikcje". Kain bawi się słowem i nie mam tu na myśli fantazyjnych metafor, lecz stopniowe przenikanie do literatury "insektów słowonaśladowczych", zwanych potocznie mimikami. Z każdym zdaniem robactwo wnika głębiej i głębiej, aż w końcu dociera również do nas, niejako przekraczając granice opowieści. Kain pokazuje, że nawet tak zwięzła historia może zachwycić i zostać w głowie na dłużej.

„Chłopiec, który lubił chrząszcze" Agnieszki Hałas to opowieść o zupełnie innym charakterze, w której podążamy tropem przygód pewnej wędrownej trupy teatralnej. A właściwie powinienem powiedzieć: razem z nią robimy postój w miasteczku Lys-Mithe i doświadczamy otaczającej nas przyrody – pól, łąk, lasów i, rzecz jasna, rozmaitych owadów. Jeden z nich staje się zarzewiem specyficznego uczucia pomiędzy bohaterką opowiadania, Fin, a miejscowym chłopakiem, Zellertem. Niestety, opowiadanie ani nie wzbudziło we mnie większych emocji, ani nie skłoniło do głębszej refleksji, nie mogę jednak odmówić mu nastrojowości. Pozwoliło mi odetchnąć w pięknie opisanej przyrodzie, wsłuchać się w dźwięki fruwających owadów i przy-

gotować mentalnie na kolejne historie, już nie tak relaksujące.

Z prozą Pawła Matuszka zetknąłem się parę lat temu przy okazji powieści „Zejście49". Wiedziałem więc, że należy spodziewać się historii nietypowej, igrającej z czytelnikiem i mającej za nic klasyczne podejście do pisania. Takie też jest opowiadanie „Bóg, Anioł Zagłady i Robaczywa Dziewczyna", które z początku wydaje się być obyczajówką o dorastaniu, poszukiwaniu odpowiedzi i sensu życia, lecz prędko przepoczwarza się w coś zupełnie innego. Nie chciałbym jednak odbierać czytelnikom elementu zaskoczenia, więc postaram się trzymać ogólników. Im dalej w opowieść, tym większy czujemy niepokój. Parokrotnie autor zwraca uwagę na dobiegające skądś „buczenie na granicy słyszalności"; my również doświadczamy czegoś podobnego, próbując zrozumieć, do czego zmierza historia i co takiego chce nam przekazać Matuszek. Nie zamierzam udawać, że wszystko było dla mnie jasne, ale tym często charakteryzują się dobre opowieści: zachęcają nas do tego, by myśleć, by szukać możliwych interpretacji. W przypadku „Boga, Anioła Zagłady i Robaczywej Dziewczyny" czułem coś, co nieczęsto mi się zdarza, obcując z prozą; czułem szacunek względem autora, zarówno za umiejętne granie niesamowitością, jak i za podjęcie się tak trudnej tematyki. Jakiej tematyki? Tego musicie dowiedzieć się sami.

Następnym opowiadaniem w zbiorze jest „Obcość" Mateusza Wyszyńskiego. Tak jak tekst Kaina przypomina mi nieco Borgesa, tak "Obcość" z początku przywodzi na myśl „Eden" Lema (składająca się z różnych specjalistów załoga ma zbadać obcy im ląd) oraz „Ślepowidzenie" Wattsa (jeden z głównych bohaterów, Ozyrys, pełni rolę podobną do wampira Sarastiego). Zarówno tytuł, jak i wstęp sugerują, że bohaterowie mają zmierzyć się z obcością planety Ladon, a już w szczególności zamieszkujących ją insektów. Dodajmy: insektów, które nie chcą się od nich odczepić. Szybko jednak okazuje się, że to nie jedyna obcość, którą powinna się martwić załoga. Jak bowiem współpracować z kimś, kto pochodzi z innej planety (albo nawet z innej przestrzeni kosmicznej), kto różni się nie tylko na poziomie anatomicznym, ale również mentalnym? A może miejsce zamieszkania nie ma tu nic do rzeczy? I najważniejsze z pytań: co czyni drugą istotę obcą? A skoro już wspomniałem Lema i Wattsa, dodam jeszcze, że zabrakło mi trochę w „Obcości" literackiej brawury, którą cechują się dzieła wspomnianych twórców. Niemniej tekst Wyszyńskiego trzymał mnie w napięciu od początku do końca i zostawił z masą refleksji na temat ludzkiej natury i tego, jakiego rodzaju dylematy mogą nam towarzyszyć w dalekiej przyszłości.

Agnieszka Fulińska – jak wspomina we wstępie Klęczar – kojarzona jest głównie z fantastyką historyczną. Chociaż w „Psychocydzie" historia również ma znaczenie, bliżej temu tekstowi do weird fiction czy nawet oniryzmu. Tekst jest wyzwaniem, wymaga bowiem wiedzy kulturowej i mitologicznej, na szczęście Fulińska zostawia w paru miejscach ratunek dla ignorantów takich jak ja: parę słów wyjaśnienia dotyczących roli ciem w mitologii i ludowych wierzeniach. A to właśnie ćmy (choć nie tylko one) stanowią fabularne tło dla tej opowieści – osadzonej na gorącym Cyprze, podczas wykopalisk. I właśnie ten archeologiczny aspekt zrobił na mnie największe wrażenie. Autorka wykorzystuje elementy typowe dla grozy, by pokazać, na czym polega zawód archeologa – jak niepozorne znalezisko pozwala zajrzeć w przeszłość i odnaleźć w niej szereg pytań, których nie można zostawić bez odpowiedzi. Podobnie czułem się jako czytelnik „Psychocydu": nie wszystko zrozumiałem, nie na każde pytanie znalazłem odpowiedź, ale to także część obcowania z literaturą – zmusić czytelnika do poszukiwania wiedzy, nie tylko w czasie lektury, ale też na długo po niej.

Zupełnie innego rodzaju doświadczenie czekało na mnie w opowiadaniu „Uległość" Wojciecha Guni. Wiedziałem, że będzie mocno, wiedziałem, że u tego autora nie należy szukać łatwej, rozrywkowej literatury, lecz i tak „Uległość" położyła mnie na łopatki. Chociaż „położyć na łopatki" to zbyt łagodne określenie – zostałem brutalnie wrzucony w bagno ludzkiego okrucieństwa. Nie mógłbym chyba powiedzieć, że ten tekst mi się podobał, lecz nie sądzę, by Gunia pisał go z myślą o „podobaniu się". Prędzej chciał oddać istotę traumy i jednocześnie wykorzystać w opowieści ludzką, albo ściślej mówiąc, dziecięcą uległość. Historia bowiem przedstawiona jest w formie roz-



mowy specjalisty z młodzieńcem, który doświadczył traumatycznego zdarzenia. Podobnie jak bohaterowie opowiadania próbujemy odkryć, co takiego miało miejsce i jaki związek ma z tym ogromna, nieruchoma głowa rodem z najpaskudniejszych koszmarów. Najgorsze jest jednak to, że gdy opowieść sięga już granic okrucieństwa, autor się nie zatrzymuje – postanawia pójść o krok dalej, zmusić czytelnika, by jeszcze mocniej zmarszczył czoło, by jeszcze głośniej westchnął, a może nawet rzucił książką w kąt i krzyknął: „Pierdol się, Gunia". Mam za sobą dziesiątki opowiadań tego autora, ale to właśnie „Uległość" wydaje mi się najbardziej przesiąknięta ludzką podłością i złem czającym się za zamkniętymi drzwiami. Świetny tekst.

Dalej czeka na nas cyberpunkowy thriller „Efekt synergii" Marka Kolendy, w którym główny bohater (i zarazem narrator) jest operatorem insektów. Zapytacie: co to właściwie znaczy – być operatorem insekta? Mówimy o przyszłości, w dodatku przypominającej wspomniany cyberpunk, więc nie będzie dla nikogo zaskoczeniem, że chodzi o brutalne walki, które dzięki rozwojowi technologii umożliwiają ludziom specyficzne i bardzo dogłębne sprzężenie z insektami. Jak się okazuje w toku fabuły: nie tylko z insektami. Nie mogę jednak zdradzić zbyt wiele, sednem opowieści jest bowiem gnająca na złamanie karku akcja. Tajemnica goni tajemnicę, trup ściele się gęsto, czego oczywiście można było się spodziewać po świecie, w którym ludzie dla zabawy zabijają się morderczymi stworzeniami. Marek Kolenda miał całkiem ciekawy pomysł, widać również solidny research dotyczący anatomii i zachowań opisywanych bezkręgowców, lecz finalnie "Efekt synergii" jawi mi się po prostu jako dobrze napisany akcyjniak. Nie jest to historia, która zostałaby ze mną na dłużej.

Skoro już mowa o emocjach: „Sennowłóctwo w Weltiven" Magdaleny Anny Sakowskiej wpłynęło na mnie znacznie mocniej. Swoją drogą „wpłynęło" to chyba odpowiednie w tym wypadku słowo, bo Sakowska bierze na warsztat pełnię księżyca i jej wpływ na ludzkie zachowanie. Dodajmy: zachowanie bardzo dalekie od tego, które zwykło się uznawać za normalne. Muszę przyznać, że jest to temat szczególnie mi bliski; zdarzają mi się epizody somnambuliczne, o których – w większości przypadków – nie mam pojęcia, dopóki żona nie postanowi poinformować mnie o moich nocnych rozbojach. Wróćmy jednak do opowiadania: autorka kreuje świat przedstawiony, który zaintrygował mnie od pierwszych akapitów. Tytułowe Weltiven jest przesiąknięte nie do końca sprecyzowaną grozą, objawiającą się głównie podczas ekspozycji na światło księżyca. Z jednej strony można mieć skojarzenia z lovecraftowskimi mieścinami, z drugiej zaś przybycie głównych bohaterek, Światełka i Ćmy, do Weltiven miało w sobie coś z wiedźmińskich opowieści. Gdzie w tym insekty? Tego nie mogę powiedzieć, nie odbierając jednocześnie przyjemności z lektury.

Po Sakowskiej przyszedł czas na Szymona Majcherowicza i najdłuższe opowiadanie w zbiorze pod tytułem „Karaczan". Nie będę owijał w bawełnę: nie przepadam za stylem autora. Uwielbiam grozę, w której ludzka podłość przykryta jest warstwą metafory i nie do końca rzeczywistego świata przedstawionego. Tymczasem Majcherowicz pisze historie, które bez problemu mogłyby mieć miejsce za ścianami naszych mieszkań. Opowiada o skrzywdzonych ludziach, a potem przeprowadza swoistą wiwisekcję ich zachowań i traumatycznej przeszłości. Podobnie wygląda fabuła „Karaczana". Były metalowiec Mikołaj spotyka kumpla Damiana i towarzyszącą mu dziewczynę. Nie wchodząc w szczegóły: ich związek zdaje się być daleki od normalności – nie wiemy jednak, czy to rodzaj fetyszu seksualnego, czy zwykła przemoc. Jak to zwykle bywa u tego autora, im dalej w opowieść, tym brutalniej, obrzydliwiej i okrutniej. I na tym mógłbym poprzestać, mówiąc, że to nie dla mnie, niech sobie inni czytają Majcherowicza, proszę bardzo, ja wychodzę... lecz to nie tak. Zupełnie nie tak. Ostatnie dwie-trzy strony zmieniają bowiem wydźwięk całej historii. Pokazują, że droga do spełnienia zazwyczaj nie jest usłana różami, czasem trzeba się upodlić, wziąć ciemność w objęcia i dopiero wtedy można ruszyć dalej. Czasem też trzeba doczytać tekst do końca, by go docenić i uznać za jeden z lepszych w zbiorze.

„Tydzień przed tym, jak skoczył z wieżowca, śniło mu się, że jest modliszką" – tak brzmi pierwsze zdanie opowiadania „Gra w zielone" Aleksandry Bednarskiej. Zdanie, które momentalnie wrzuciło mnie w wir opowieści. Znajdziemy tu Daleki Wschód, ironiczną narratorkę i enigmatyczną grę terenową, która z jednej strony przypomina nieco popularne niegdyś



„Pokémon Go”, z drugiej kojarzyć się może z równie znanym „Squid Game”, znowu ktoś inny powiedziałby, że to następna z rozgrywek w „Alice in Borderland”. Niezależnie jednak, co było inspiracją dla autorki, „Gra w zielone” to świetny, trzymający w napięciu tekst, pełen niesamowitości, ciętego humoru i wartkiej akcji. Czytając tekst Bednarskiej, miałem poczucie obcowania z czymś, co balansuje na krawędzi grozy i komizmu – a tak się składa, że to moje ulubione połączenie konwencji (zetknąłem się z nim między innymi u Dawida Kaina we „Wszystkich grzechach korporacji Somnium”).

Przedostatnim tekstem w zbiorze jest „Tryptych Insektorum” Wojciecha Szydy. Muszę przyznać, że do lektury siadałem z pewnym niepokojem; Aleksandra Klęczar we wstępie zaznacza, że to opowiadanie, w którym odniesienia kulturowe są równie ważne, a może i ważniejsze od fabuły, na podobne wnioski natknąłem się też w znalezionych w internecie recenzjach. Jak się okazuje, tytuł nie jest przypadkowy. Szyda dzieli opowieść na trzy części, każdą traktującą o insektach w nieco inny sposób, lecz to ostatnia, zatytułowana „III Księga Liczb”, zawiera w sobie najwięcej treści i – na całe szczęście – łatwe do rozszyfrowania odniesienia do pewnego kultowego autora fantastyki naukowej. Przyznam, że – koniec końców – nie zdołałem pojąć, co takiego chciał przekazać „Tryptychem...” Wojciech Szyda, muszę jednak docenić wykreowane przez niego sceny. Autor przedstawia bowiem alternatywną rzeczywistość nierozerwalnie związaną z insektami i duchowością, trudno stwierdzić, czy będącą sennym marzeniem, czy może wizją sprowokowaną narkotycznym upojeniem.

Ostatnie z opowiadań to już klasyczny przykład fantastyki naukowej skupiającej się na badaniu i eksploatacji odległych planet oraz kontakcie z pozaziemską istotą – w tym wypadku zastygłym w marmurze owadem. „Ikadel” Karola Ligeckiego to najbardziej rozrywkowa z zebranych w „Insekcjach” opowieści. Autor umiejętnie gra motywem tajemnicy, regularnie dokładając kolejne jej warstwy. Mamy więc grozę wynikającą z pojawienia się obcego bytu, ale również korporacyjne intrygi, przez które – jak to zwykle bywa w świecie wielkich inwestycji i jeszcze większych fortun – cierpią zwykłe szaraki. Ligecki zaintrygował mnie światem przedstawionym (szczególnie wykorzystywaną wszechobecnie neurotechnologią), zabrakło mi jednak w końcówce jakiegoś mocniejszego uderzenia – albo fabularnego twistu, albo pogłębienia niepokoju udzielającego się czytelnikowi.

Mamy maj, zamykam „Insekcje” z satysfakcją i żalem, że to już koniec. Co prawda, antologii fantastycznych jest na rynku od groma, ale te naprawdę dobre – jak choćby ta robaczywa antologia – niełatwo znaleźć. W zasadzie każde z owadzich opowiadań zasługuje na uniesienie kciuka w górę (albo chociaż na godzinę drugą), a przynajmniej cztery mógłbym opisać słowami: „Świetne, sprawdźcie koniecznie”. Chciałbym więc pogratulować Marcie Sobieckiej nosa do autorów i autorek, twórcom zaś angażujących tekstów. Udało się wam stworzyć zbiór oryginalnych opowiadań, przesiąkniętych niesamowitością, grozą i humorem, obfitujących w nawiązania kulturowe i – co najistotniejsze – w przeróżny sposób wykorzystujących jedną z najciekawszych zwierzęcych gromad. Odkładam „Insekcje” na półkę, lecz – jak sądzę – nie zostaną tam na długo...

Komuś przecież musiałbym sprezentować tę owadzią niesamowitość, nie?

Egzemplarz „Insekcji” otrzymaliśmy w ramach współpracy barterowej z Wydawnictwem IX.

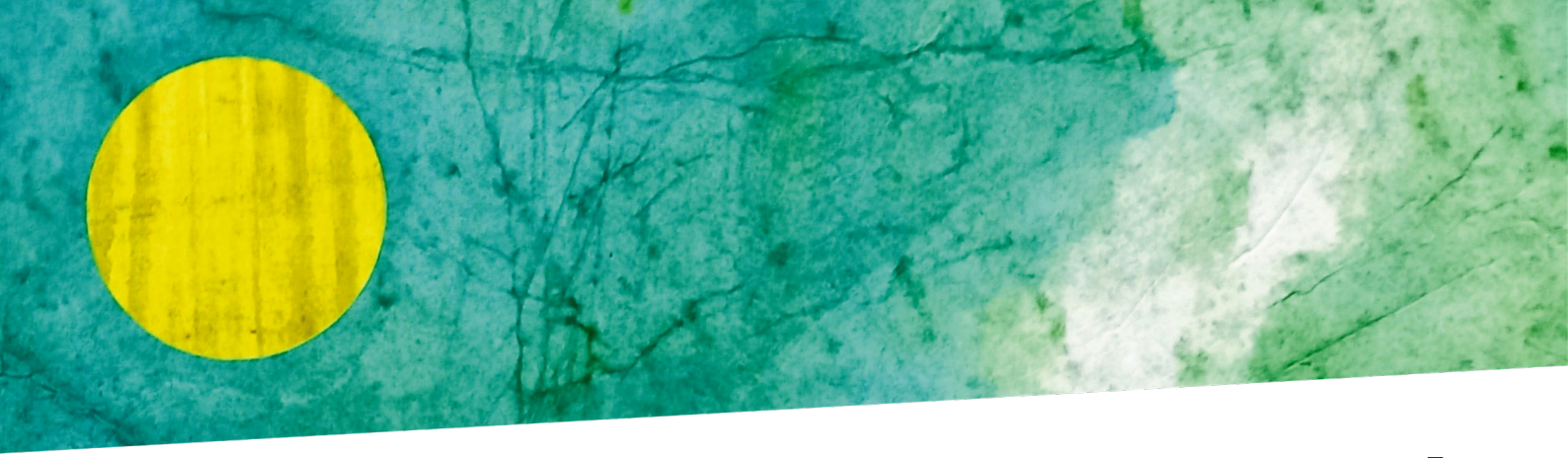

PUBLICYSTYKA

MIĘTOLIĆ SIĘ NALEŻY

ADAM SOŁTYS

Adam nie może się zdecydować, czy więcej jest w nim filozofa, czy prawnika. Dlatego zdecydował się na intratny zawód pisarza grimdark fantasy. Co prawda, książka wciąż jest w fazie redakcyjnej, ale autor już dziś odcina od niej kupony, publikując felietony w znanym i poczytnym magazynie. Niewiele w poniższym felietonie grim, ale za to jest fantasy i jest dark, po prostu dark humor. I wiele perspektyw.

„Nie lubię fantastyki, w której jest wiele perspektyw." Czoło mi się zmarszczyło, wyciągnąłem szyję, coś tam pochrząkałem pod nosem. Internet niewątpliwie jest źródłem informacji. Pozłacane myśli tryskające wprost z krynic mądrości walczą o przetrwanie, wśród innych niebagatelnie przenikliwych spostrzeżeń. Z jednej strony jest im łatwo, pewne rzeczy zawsze wypłyną na wierzch (ku zgrozie czujnego obserwatora), z drugiej, „niestety", muszą konkurować z innymi podobnie sytuowanymi uwagami. Uwadze czujnego i być może już ździebko znużonego czytelnika z pewnością nie umknęło, że każdy wpadł na coś głupiego w sieci, nie jestem jedyny, a choć płatki śniegu bywają ładne, to są takie do czasu, aż nie wsiąkną w błoto.

Tym sposobem odsialiśmy tych, którzy pewnych żartów nie trawią, od tych których dieta jest bogata w błonnik intelektualny. Nigdy nie uwolnię się z kajdan przynależności, więc dla porządku pragnę rozjaśnić być może już jasne kwestie. Teoretycznie perspektywa w literaturze jako zabieg narracyjny nie jest tym samym, co punkt widzenia (POV), ale na potrzeby tego tekstu i nie męcząc dalej czytelnika, perspektywą nazywam zindywidualizowany i stylizowany sposób prowadzenia narracji. Innymi słowy, nie idzie tylko o oczy bohatera, przez które widzimy świat, ale też o jego myśli, przeświadczenia, doświadczenia i wszystko to, co czyni z niego tę, a nie inną jednostkę. Co to co ma do fantastyki?

Chcielibyście być smoczycą? A może wampirem, wilkołakiem, fae albo ogrem? Jak to jest być elfką, która spędziła ostatnie trzy tysiąclecia grając na lutni, zajadając się niskokalorycznym pieczywem i oddając się coraz bardziej wyuzdanym rozrywkom cielesnym bez bardzo oczywistych obaw? Z pewnością nie tak, jak to jest być nietoperzem. Fantastyka posiada tę niesamowitą własność, że chociaż w pozornie egzotycznych światach wszystko wolno i wszystko jest możliwe (z przymrużeniem oka), to zawsze czytamy o nas, o nudnych ludziach. Jeśli słyszeliście tę złotą myśl już tysiąc razy, przepraszam, ale niektóre truizmy mimo wszystko należy powtarzać, a w tym wypadku jest to dodatkowo uzasadnione.

Nicią porozumienia pomiędzy nadmiernie owłosionym, jowialnym krasnalem, o zamiłowaniu do napojów wyskokowych, który co czwartek pałaszuje steka z człowieka-krowy (koniecznie krwistego), a tobą, w pierwszej linii jest język. Autor przedstawia świat krasnala w taki sposób, żeby był dostatecznie zrozumiały. Nawet jeśli krasnal zamiast „cholera" mówi „ch'olybka", mieszka w dziurze w ziemi, zamiast w dziurze w betonowym prostopadłościanie i grzebiąc w nosie okazuje sympatię. Czytając o naszym krasnalu, nazwijmy go „Yebek", oglądamy jego świat i staramy się go zrozumieć. W ramach króciutkiego interludium napomykam, że z szacunku do nauk zajmujących się językiem smyram go jedynie, jak wszyscy, którzy są zainteresowani głównie myśleniem, a nie samym językiem, i zaznaczam uniżenie, że w smyraniu jestem umiarkowanie kompetentny.

Poznajemy Yebka, przyglądając się temu, co robi. Patrzymy jego oczami o kolorze gulaszu, słuchamy uszami w kształcie torpedy i wąchamy nosem niepokojąco podobnym do kalafiora, który wygrał ostatnie mistrzostwa powiatowe na największe warzywo. To jest absolutnie kluczowe. Jesteśmy niejako umieszczeni w umyśle jowialnego krasnala, ale z wyraźnymi barierami. Przeszkody, sprawny Miętus (od miętolenia słów, klawiatury i papieru, nie mięty, panie G.), będzie starał się rozmyć na tyle, byśmy możliwie jak najbardziej zbliżyli się do Yebka. Zrozumiemy z kontekstu (bez słowniczka), że w świecie krasnala „om" oznacza „polędwicę", a uśmiech to wyraz najwyższej pogardy. Być może „słyszymy" myśli Yebka, ale to nie ma większego znaczenia. Istotne jest to, że przyglądamy się

mu, jak obcemu gatunkowi, i bardzo szybko dociera do nas, że w naszym życiu jest kilku ludzi do niego podobnych i być może (o zgrozo!) i w nas samych jest coś z Yebka.

Nic strasznego. Historia pędzi, krasnal wpada w romans z lokalnym hodowcą ludzi-krów, Włodzimierzem, i stopniowo odkrywa mroczną stronę całego przedsięwzięcia. Nie dość, że ludzie-krowy mają coś do powiedzenia, choć początkowo Yebek sądził, że wydają jedynie nieartykułowane dźwięki, to jeszcze myślą. Fakt, pierwotnie bulwersujący, sieje ziarno niepokoju w niepofałdowanej glebie. Krasnal musi wybierać między zalotnikiem o pokaźnej sakwie, a stadem niebezpiecznie upodmiotowionych zwierząt. Sumienie jest bezwzględne, nie ma miejsca na półśrodki. Yebek nie jest w stanie zaangażować się w poważny związek z człowiekiem, który robi biznes z zabijania czujących i myślących istot. Kłóci się o to z Włodzimierzem, który stara się przedstawić pewną argumentację. Ten mówi:

– Nie zrozumiesz, drogi Yebku, co czuje krowiek, bo nim nie jesteś i nigdy się nie staniesz. Bierzesz za agonalne muczenie ekstatyczne wrzaski istoty, która raduje się, że wreszcie może zajadać się kłosami rozkoszy pośród wiecznych pastwisk niebiańskiej łąki.

Yebek obgryza paznokcie, czuje na nich smak potu Włodzimierza. Czerwieni się (razem z czytelnikiem) na tę podniecającą możliwość. Wygodnie byłoby tak upchać to niesforne sumienie, spić się wspólnie sfermentowanym mlekiem i zjeść krwistego steka.

Czytelnik Maciuś nie chce czytać o manifestach, a na pewno nie o takich. Polityka i etyka nie obchodzą go zbytnio, szczególnie nie infantylna i fikcyjna. Kibicuje Yebkowi, ale w określonym wymiarze. Wspomina, jak krasnal wspólnie z Włodzimierzem zajmowali się bakłażanami. Maciuś jest zaangażowany w dynamikę ich związku, przyszłe plany rozbudowy gospodarstwa, konkurencję z farmerką o pięknym imieniu 321. Zastanawia się, czy wyszedłby z tego jakiś trójkąt. 321, Włodzimierz i Yebek, to byłoby coś. Maciuś otwiera okno w pokoju, zrobiło się zbyt duszno.

"Nie", mówi czytelniczka Juleczka. Yebek powinien odnaleźć samego siebie, na bakłażana przyjdzie jeszcze pora. Kartkuje wściekle historię, „gdzie tu odpłata, gdzie tu konsekwencje?". „Jak można mordować myślące istoty, jak ty, Yebku, mogłeś to zrobić?". Dystansuje się, staje ponad krasnalem. Wciąż docenia Yebka za jego humor, interesują ją jego zmagania z trunkami, widzi tam siebie. Zastanawia się, czy mogłaby napisać na studia pracę zaliczeniową o porównaniu Yebka z innym, znanym w pewnych kręgach, krasnalem. Jest pewna, że to byłby strzał w dziesiątkę.

Zatrzymajmy się tu na chwilę. O pożytkach z fikcji dużo napisano. O tym, jak przez opowieści możemy poznać siebie i innych, zmienić punkt widzenia, spojrzeć na coś oczami nieznajomego, jednocześnie zachowując bezpieczny dystans. Cóż jest szczególnego w fantastyce? Fantastyka pozwala na przyjęcie ekstremalnej perspektywy eksponującej konkretny problem w skrajnie egzotycznych warunkach z jednoczesnym zachowaniem spójności fabularnej. Możemy się trochę dziwić i uśmiechać, gdy Lem pisze o diamentowych istotach leżących w piasku, bo osiągnęły stan idealnego szczęścia, ale szybko to akceptujemy. Gdy dochodzi do konfrontacji między Trurlem i Klapacjuszem, a wspomnianymi istotami, widzimy jednak tylko jedną perspektywę. Lem nie pokazuje drugiej strony, co rozumiemy i co można z powodzeniem uzasadnić.

Pamiętając jednak, że zawsze czytamy o człowieku, można pokusić się o przedstawienie perspektywy pozornie odbiegającej od ludzkiej, a hiperbolizującej powszednie problemy. Można wyśmiać taką próbę, jak wyśmiewane są próby opisania kontaktu z obcymi i opisu nieopisywalnego. Warto jednak mieć na uwadze, że każda kreacja innego nie będzie pełna. Każdy przedstawiony przez autora człowiek będzie „obcym", choć ma w założeniu przynależeć do tego samego gatunku. Nigdy w pełni się nie dowiemy, jak to jest być Yebkiem, Włodzimierzem, czy 321, ale czy o to chodzi?

Po wytwornej kolacji krasnal wraz z właścicielem gospodarstwa udają się do snu i nagle znajdujemy się w zagrodzie. Jesteśmy w głowie Muujacka Cowmana, który jednym uchem słucha jak jego siostra, Barczysta, opowiada innym swoją teorię kosmogoniczną sprzeczną z teorią jej kumpla: tym razem świat nie powstał z trójkątów i kwadratów, tylko z „drewna" i „kamienia", bo rzekomo z tego są zbudowane jego granice. Muujack Cowman widział dokładnie granice i raczej skłania się do projektu geometrycznego. Świat zewnętrzny jest wyraźnie uformowany na kształt trójkąta prostokątnego, kumpel Muujacka nawet to obliczył i narysował wzór kopytem, zanim deszcz go zmył. Muujack Cowman uważa, że forma jest ważniejsza od tej podejrzanej „substancji", ale nużą go rozważania. Wszystko wydaje się jałowe wobec wyroków wysokiego diabła, który wskazuje kościstym palcem, kto z nich odejdzie na niebiańskie pastwiska. Ostatnio wysoki diabeł pojawił się w towarzystwie niskiego, który uporczywie grzebie w nosie uśmiechając się tajemniczo. Muujack Cowman zastanawia się, czy udałoby mu(u) się zyskać posłuch i większą porcję (wśród ludzi jedzenie jest rozdysponowane na podstawie umiejętności komunikacyjnych), gdyby przedstawił przekonującą argumentację na rzecz hipotezy, że wysoki diabeł rodzi się cyklicznie i aktualny okres jest okresem przejściowym, gdy można oglądać dwójkę diabłów jednocześnie.

Juleczkę zachwyciła zmiana, wyalienowany w perspektywie Muujacka Yebek idealnie wpisuje się w pomysł jej pracy zaliczeniowej, jest pewna, że zostanie wielką badaczką. Maciuś przerywa czytanie i wystawia 2/10 na Lubimy Czytać z komentarzem „Nie lubię fantastyki, w której jest wiele perspektyw".

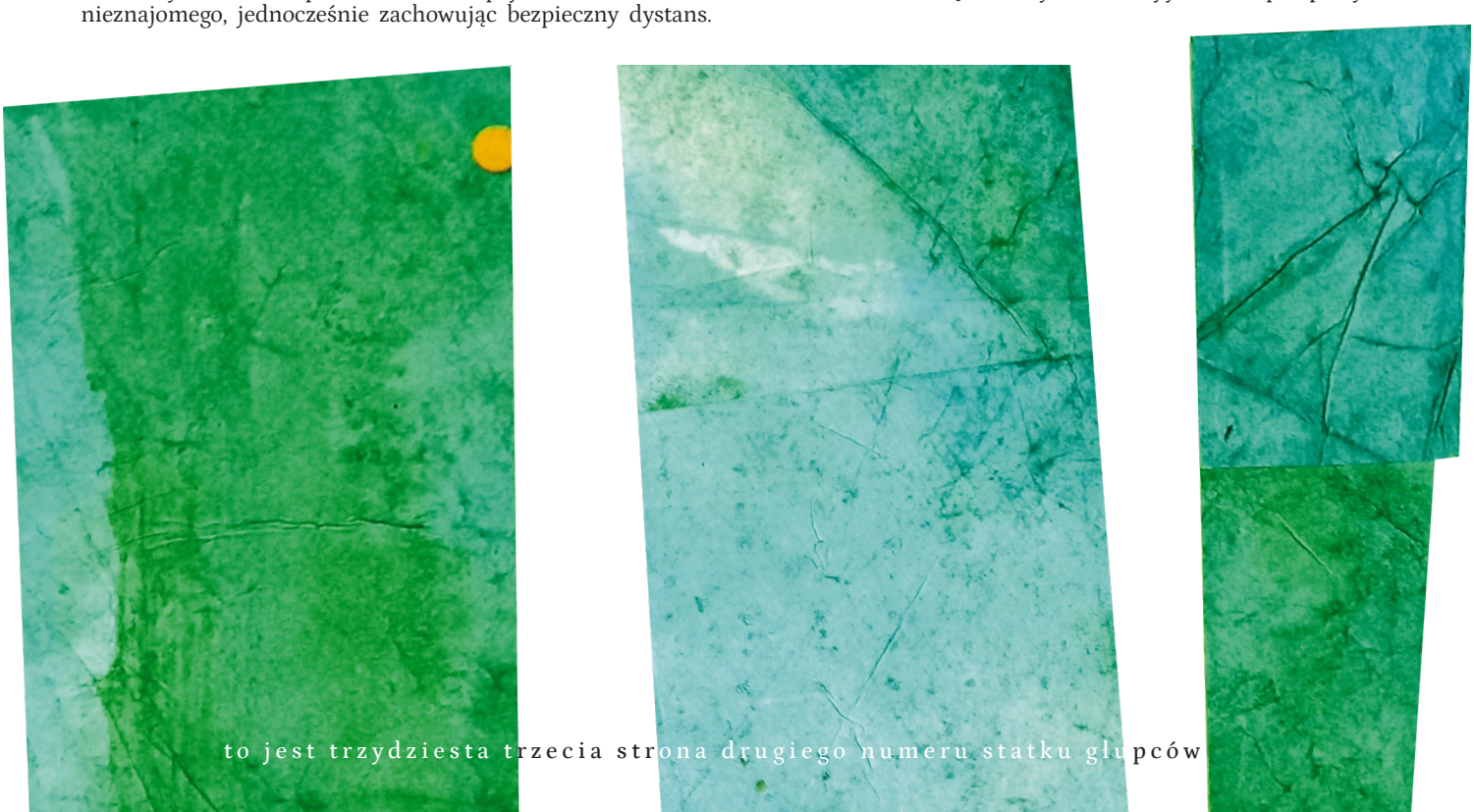

RECENZJA NA CZTERY RĘCE: „HASI" BEATY SKRZYPCZAK

WOJCIECH MOSKA i MATEUSZ SZŁAPKA

Zderzenie dwóch światów, a Wy jesteście świadkami! Wy i Śląsk, ten górny, o który się toczy batalia. Mateusz, Wielkopolanin, próbuje powiedzieć, jak widzi świat kopalń, górników i przemysłowego serca naszego kraju, opisany przez Beatę Skrzypczak, nie-Ślązaczkę, podczas gdy Wojciech, Ślązak z krwi i kości, próbuje mu odpowiedzieć. Niestety, nikt w redakcji nie zrozumiał, o co mu chodziło. Przekonajcie się zresztą sami:



Śląsk to ciekawa i specyficzna część naszego kraju. Przesiąknięta lokalną historią i podaniami, jest miejscem, w którym żyją twardzi ludzie o silnych osobowościach. Kobiety i mężczyźni od lat wykuwali w tej ziemi swoje charaktery i kulturę. Ja sam na Śląsku bywam, przynajmniej raz do roku. Moja mama wychowała się w trójkącie Będzin-Bytom-Pyrzowice (nie wiem, gdzie w tym trójkącie zaczyna się Zagłębie, a gdzie kończy Śląsk – może Wojtek mi pomoże), bywałem za dzieciaka często u dziadków w okolicach Pyrzowic, tam zresztą są pochowani. Ale nie jestem Ślązakiem. Jednak przez fakt, że tam bywałem (i bywam) oraz mam znajomych z tamtych terenów, uważam, że namiastkę, naparstek tej kultury znam. Czy rozumiem? Czy czuję? Zdecydowanie nie. Nie mam prawa, bo nie czuję się z tą ziemią związany, jestem zresztą półkrwi Wielkopolaninem. Ale to, co łączy Ślązaków i Wielkopolan, to na pewno silne charaktery i szacunek do pracy. Łączy też umiłowanie wolności – w końcu powstańcy wielkopolscy wsparli powstańców śląskich w walkach o powrót w granice Rzeczpospolitej po I wojnie światowej.

Śląsk to dla mnie miejsce magiczne. Pełne kopalń, hut, fabryk – chociaż dzisiaj likwidowanych – przypomina w swoim klimacie tereny rodem z fantasy. Inna mentalność, inne podejście do życia i w końcu – inne opowieści. Pełne demonów, przesądów, diabełków, beboków, stanowi niezwykle ciekawy element polskiej kultury. Mam wrażenie, że to ostatnie obszary, w których te legendy żyją dość powszechnie, a nie tylko wśród specjalistów od folkloru i regionalistów. Czy są opowiadane dzieciom, podobnie jak to się ma w prezentowanej książce? Nie wiem. Ale chcę wierzyć, że tak jest.

W ten niejako mityczny, tajemniczy, trochę tolkienowski świat wkracza Beata Skrzypczak ze swoją powieścią „Hasi". Jak sama podkreśla: nie jest rodowitą Ślązaczką, podjęła się więc zadania trudnego. Trzeba naprawdę dużo odwagi, żeby porwać się na taką misję, mając wiedzę wtórną, i wyjść z niej obronną ręką. Można dość szybko narazić się na ostracyzm ze strony lokalsów i popaść w tarapaty. A Ślązacy niełatwo wybaczają i długo pamiętają. Jak więc udało się Beacie poradzić ze śląskością w „Hasi"? Bo nie ma co się oszukiwać, obok elementów grozy Hasi jest głównie gawędą o Śląsku (co zresztą podkreślają Jakub Ćwiek i Wojciech Chmielarz na okładce książki; i co potwierdziła sama autorka).

Wydaje się, że dość dobrze. Czytałem tę książkę z zainteresowaniem. Duszność familoków, obskurność starych katowickich dzielnic – nadal niebezpiecznych (byłem w zeszłym roku w Chorzowie i Katowicach; tak, były takie miejsca, w których się bałem), to wszystko jest tutaj obecne. Lepkość powietrza. Brud węglowych hałd. Da się wyczuć rytm Śląska, jego charakter. Bynajmniej jednak nie został on pokazany w sposób zacofany czy przerysowany. Dzielnica Hasi to miejsce zawieszone między starym a nowym – z jednej strony mamy więc młodych takich jak Piotr, Alicja, Hubert czy Gerda, z drugiej – stare pokolenie Ślązaków jak Wanda, Janka czy Alfred. Wszyscy oni tworzą wewnętrzny folklor. Obraz Śląska i Ślązaków. Dla mnie jak w soczewce oddający to, z czym Śląsk się kojarzy. W Internecie widzę, że opinie są podzielone. Może wynika to z faktu, że krytykuje – mimo wszystko – ktoś z zewnątrz? Mimo tego, że od lat już z tymi miejscami związany. Wiecie, nieważne, jak głęboko w jakąś kulturę wrośniecie, dla „tutejszych" zawsze pozostaniecie „obcymi". Może więc uważa się, że „obcy" nie powinien o Śląsku pisać? Czy to jednak istotne? Dla większości z nas, czytelników, Śląsk jest obcą krainą, miejscem kojarzącym się tylko z kopalniami i węglem. Nie znamy wewnętrznego rytmu tych miejsc, to miejsce dla nas kompletnie obce. Beata, w moim odczuciu, naprawdę nieźle tę specyfikę uchwyciła.



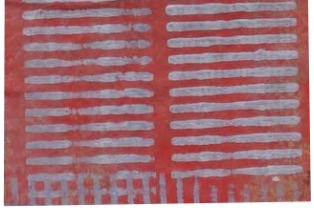

Głównym problemem “Hasi” jest pewne przeciąganie treści – rozwlekanie jej niepotrzebnie. Część wstawek historycznych czy opowieści snutych przez bohaterów można by śmiało opuścić, bez straty dla fabuły i integralności opowieści. Beata broni się tym, że samym Ślązakom taka forma przedstawienia pasuje – bo lubią opowiadać. Problem w tym, że dla czytelnika z zewnątrz te wstawki mogą być nużące. Ale nie da się przecież zadowolić wszystkich, prawda?

Autorka miała bardzo dużo pomysłów, które usilnie próbowała zmieścić w jednej książce; niestety, niektóre z nich wybijały czytelnika z rytmu. Zaskoczyło mnie również nagromadzenie problemów redakcyjnych, w tym powtórzeń, potknięć językowych albo zjedzonych literek, które można było wyeliminować (ale to już nie jest wina autorki, a raczej wydawnictwa).

Co do gwary – bo niektórzy przywiązują do niej dużą wagę – wydaje mi się, że Beata dobrze wybrnęła z tego problemu. Jeżeli jej bohaterowie w ogóle nie posługiwaliby się językiem zbliżonym do gwary, zarzucano by autorce nieautentyczność. Oczywiście, mogła spędzić dziesięć, piętnaście lat na studiowaniu gwary i jej szlifowaniu w książce, ale „Hasi” to przede wszystkim powieść rozrywkowa. Zresztą, jak sama Skrzypczak podkreśla w posłowiu, nie pretenduje do roli znawczyni tego języka. I jeżeli ktoś chce, może przecież „Hasi” na śląski przełożyć. Gdyby całą książkę napisano gwarą, byłaby absolutnie nie do przyjęcia dla czytelnika z Pomorza czy Mazur – najzwyczajniej w świecie by jej nie zrozumieli. A Beata Skrzypczak pisze o Śląsku głównie ludziom, którzy Śląska nie znają. I to trzeba docenić.

Na duży plus zasługuje sam pomysł. Ostatnie sto stron to istny rollercoaster. Co z tego, że od jakiegoś czasu podejrzewamy, kto jest kim, skoro na końcu czeka nas zaskoczenie? Skrzypczak nie ma litości dla swoich bohaterów – i dobrze, bo nie lubię historii z happy endem, w których finalnie wszyscy idą w stronę słońca. Na Śląsku nie wszystkie historie są szczęśliwe. Ba, jestem wręcz skłonny stwierdzić, że większość kończy się – mimo wszystko – źle.

Czy „Hasi” jest więc godne polecenia? Tak. Jeżeli nie znacie kultury śląskiej, możecie się w tej książce miejscami pogubić, to prawda. Możecie niektórych rzeczy nie zrozumieć. Jednak „Hasi” zostało napisana między innymi po to, żeby tę kulturę przybliżyć, żeby tych Ślązaków pokazać.

Może Beata zachęci was do odwiedzenia Katowic czy Bytomia? Ja serdecznie polecam taką wycieczkę. Bo chociaż jesteśmy jednym narodem i jednym krajem, warto pielęgnować odmienności stanowiące o lokalnej tożsamości.

Z ciekawostek: Beata szykuje drugi tom trylogii śląskiej. Ma się ukazać jesienią. Druga: na ostatnich targach książki zdobyła nagrodę na najlepszą książkę w kategorii groza/horror za rok 2025. Pojawiły się głosy: HAŃBA! ŚMIECH NA SALI! CO TO MA BYĆ! Otóż, obywatele, takie są plebiscyty i wybory – każdy ma prawo zagłosować. Beata zdobyła największą liczbę głosów. Czy wynikało to ze zmotywowania swojej bazy, którą ma w socjalach? Może. Czy to coś złego? Nie. W zasadzie każdy tego typu plebiscyt to konkurs popularności. Książka Beaty stała się popularna. Ale co jest niezwykle istotne i wydaje mi się, że wielu osobom umyka – wywołała dyskusję. Beata zrobiła risercz, usiadła, napisała książkę i ta książka żyje teraz niejako w oderwaniu od niej. Jeden z moich ulubionych polskich pisarzy, Łukasz Orbitowski, wspomina, że książka po skończeniu przestaje być własnością twórcy – oddaje ją światu. Tu jest podobnie. Ja Beacie serdecznie gratuluję, bo jeżeli ciężka praca zostaje okupiona późniejszym sukcesem w postaci nagród, jest to najlepsze, co spotyka osoby piszące.

A, jeszcze wracając do samej treści Hasi, bo byłbym zapomniał... pamiętajcie, bracia i siostry, że każdy cykl musi się domknąć. A jak zabijacie demony – nieistotne, czy śląskie, wielkopolskie, czy kaszubskie – upewnijcie się, że drzwi do piekła zostały dobrze zamknięte.

Mateusz Szłapka

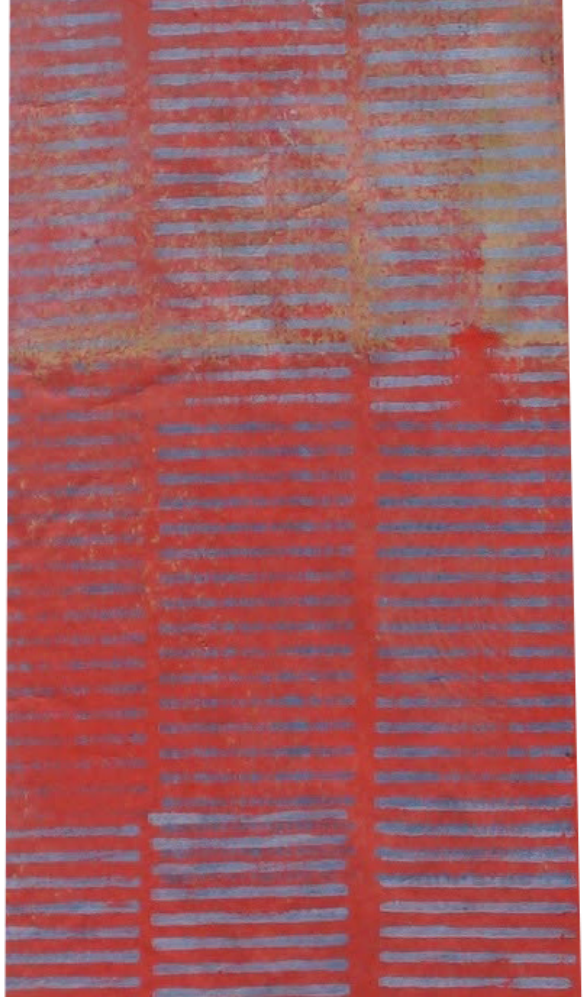

*

Wyboczcie... Niy moga ôstawić tego bes komyntorza. Jakby to wyglōndoło, coby Ślōnzok nic niy pedzioł ô ślōnskij ksiōnżce. Ksiōnżce, kerej sie przidarzyła wygrano w konkursie Lubimy Czytać. Toż i tak żech chcioł ôbadać „Hasi”. Roz: skusiła mie ta gryfno ôkładka. Dwa: autōrka znom ze historyje ôpublikowanyj we zawartym już Magazynie Pulp.

To bōła ino kwestio czasu.

Zapytocie: jak Ata Skrzypczak ôzprawiła sie ze ślōnskōm godkōm? Powiym tak: nojlepij jak mōg ftoś niy stōnd. Niy no... Jo wiym, że ôna teroz je stōnd. Miyszko tukej, ô krok ôde mie, ale niy chowała sie, godajōnc po ślōnsku. Jak sama na kōncu tumaczy, suchała Ślōnzokōw, swojich sōmsiodōw, i postawiyła na fonetyka. Aże „Hasi” to fantastyka, to czymu niy? Som zaczynōm myśleć, że to je nojlepszo decyzyjo, jeźli chcesz pochytać moc czytelnikōw. Swojōm drōgōm, jo je teroz epny gieroj, a za bajtla tyż niy godołech. Sie ze mie lachali, że niy mōm akcyntu – chop ze Świon, a niy wie, co to „majzel” abo „grubiorz”. No, ale ôstowmy to już. Niy ma gańba. Ôde mie kciuk w gōra.

„Hasi”. Teroz bydzie ô fabule.

Niy byda udowōł – na poczōntku niy umiołech wlyź w ta ôpowiyść. Czytało sie dobrze, ale ani mie to ziymbiło, ani grzōło. Szczyńśliwe to było ino piyrsze wrażynie, bo zaroz mie chyciło. Zrobiōło sie ciynżko, mrocznie i ciekawie. Jedyn wyzionōł ducha, drugi kajś sie stracił, a trzeci to sie ôkazało, że... A co wōm byda godać. Ôbsztelujcie „Hasi” ôd Vespera, to sami ôboczycie.

Musza jeszcze pochwolić autōrka za jij wglōnd we ślōnsko historyjo. Niyroz wspomino wydarzynia z dziewiyntnastygo stulecio, kej byli my pod pruskim szczewikym, i to, co sie działo niyskorzij, jak bōła wojna. Ata Skrzypczak wziyna sie za Ślōnsk ze zocōm (inakszyj: szacunkiym) i chwała jij za to.

Tyla chciōłech pedzieć. Jo wiym, ciynżko sie czyto to moje fanzolynie – toć tyż mōm z tym problym... Ale jak żech godoł: mōmy sam fantastyka, a we fantastyce mōgymy wszysko. Mōgymy tyż dziwacko godać.

A, zapomniōłbych... Mateusz medykowōł, kaj kōńczy sie Ślōnsk. Toć ôdpowiym: kōńczy sie tam, kaj zaczyno sie Zagłymbie. Pyrsk!

Wojtek Moska

PUBLICYSTYKA

O ZNAJDOWANIU W KSIĄŻCE TEGO, CO SIĘ W NIEJ CHCĘ ZNALEŹĆ

TOMEK ZIEMBICKI



Już przy okazji pierwszego felietonu Tomka ostrzegałem, że to wąsaty hejter jest. I nic się nie zmieniło, również reakcje odbiorców jego przemyśleń. Większość potrafi zachować zdrowy dystans, zgodzić się lub nie zgodzić, wyrazić kontropinię. Ale czasem taka kontropinia wymaga szerszego komentarza. Więcej poniżej od samego zainteresowanego:

Miałem ostatnio nielichą, choć zdecydowanie zbyt krótko trwającą przyjemność zetrzeć się w komentarzach pod jednym z moich instagramowych postów z pewną damą. Sprawa dotyczyła poczynionej przez mnie uwagi, że nie przepadam za książkami, które mają w sobie „sznyt ideologiczny". Żeby nie było niejasności – dodałem, że nie lubię, gdy autorzy agitują na rzecz własnych przekonań.

Co to znaczy, że nie lubię książek naznaczonych ideologią autora? Czy oznacza to, że odmawiam autorom posiadania własnych poglądów? Albo że nie czytuję książek, w których poruszane są kwestie społeczne lub kulturowe? Lub, nie daj Boże, polityczne? Albo że lubię tylko takie, z których autorem zgadzam się w poruszanym w temacie?

Otóż nie. Autor może sobie mieć dowolne zdanie na dowolny temat, z którym mogę się zgadzać lub nie, bo nawet w przypadku najbardziej biegunowych różnic między naszymi światopoglądami jestem w stanie oddzielić autora od dzieła. To raz.

Z drugiej zaś strony – tematyki socjologiczna i polityczna w fantastyce są jednymi z moich ulubionych. Lubię czytać o ustrojach politycznych, o problemach, z którymi muszą się mierzyć zmyślone społeczeństwa, lubię intrygi i zakulisowe zmagania; zawsze, gdy mam możliwość poznać wykreowane przez autora ludy i ich kultury, podbija to wartość tejże kreacji. Mówiąc krótko: pociąga mnie pisarstwo spekulatywne.

Nie lubię natomiast, gdy książka z założenia fantastyczna staje się tubą propagandową autora.

Ale zatrzymajmy się przy tym na chwilę, bo to, iż nie lubię takich książek, nie oznacza, że uważam, jakoby powinny one zostać zakazane albo spalone. Uważam się za absolutystę w kwestii wolności wypowiedzi i nigdy nikomu nie odmawiałem – i nie zamierzam – prawa do wyrażania swoich opinii.

Więc niech pisze autor manifesty społeczno-polityczne, światopoglądowe czy ekologiczne, ile mu serca starcza, niech się ludzie tym cieszą i za coś więcej niż tylko książkę uważają, ale mnie to nie bawi.

Jak więc wspomniałem, nie lubię książek, z których wychodzi ideologia ich twórcy. W których stara się mnie przekonywać do swoich racji, jednocześnie całkowicie karykaturując stanowiska z nimi niezgodne. Nie lubię być nagabywany, a tym się różni książka od propagandy. Gdybym jednak zechciał poczytać sobie jakieś manifesty, to bym sobie przeczytał manifesty, nie zaś powieść fantastyczną.

Tyle tytułem wstępu.

Jak wspomniałem na samym początku, użyte przeze mnie kwalifikatory, okazane czytelnicze preferencje, spotkały się z ciekawą repliką.

Otóż dowiedziałem się, że każda „dobra” fantastyka ma w sobie sznyt ideologiczny, że każda fantastyka „z wyższej półki” porusza naprawdę poważne tematy, w tym kilka -izmów oraz ze dwa -aty, i jeśli tego nie wiem, to znaczy, że się na fantastyce nie znam.

Przytoczeni przez moją interlokutorkę pisarze rzeczywiście należeli do grona poruszających tematy społeczne i kulturowe, a nawet polityczne, a wymieniła Herberta, Pratchetta, Mievill-le'a, Sapkowskiego, Tolkiena i Stephensona, chociaż nie wiem, czy nazwałbym ich wszystkich pisarzami ze sznytem ideologicznym.

Pozwoliłem więc sobie na odpowiedź, w której zwróciłem uwagę, że nie każda książka, w której autor pisze coś o polityce albo jakimś problemie kulturowym, jest książką zaangażowaną politycznie lub kulturowo. Że każda książka, która ma fabułę, postacie, świat przedstawiony, wewnątrzświatowe problemy, musi – siłą rzeczy – wspominać coś o polityce, o wychowaniu, relacjach międzyludzkich. Nie znaczy to jednak, że jest właśnie o tym.

Bo czy zasadnym jest traktowanie „Władcy pierścieni” jako książki antytotalitarnie ekologicznej? Czy właśnie to jest sensem trylogii Tolkiena?

I tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy. Jest takie ładne powiedzenie: „Jak się chce uderzyć psa, to się kijka zawsze znajdzie”, którego angielski ekwiwalent jest równie ładny i przytoczę go po to tylko, by się pochwalić jego znajomością: „Dajcie komuś młotek, a wszystko będzie dla niego gwoździem”. Sens tych powiedzonek jest ten sam. Więc jeśli się szuka: krytyki aktualnego stanu rzeczy, zabrania głosu w ważkich sprawach, agitowania na rzeczy takich czy innych ideologii, to się je znajdzie. Znaleźć można też wiele więcej; tym więcej, im bardziej chce się poszukiwacz wykazać. I to niezależnie od rodzaju przeszukiwanego dzieła.

I niech tak będzie, niech sobie każdy wyłuskuje z książek, co mu się żywnie podoba, czy to ma sens czy nie, ale niech nie zaczyna prawić mi moralitetów o wyższości jednych książek nad drugimi – i to nie tylko moralnej wyższości, ale też jakościowej.

I niech nie mówi mi, że jego interpretacja, czy też jego rozumienie, jest właściwsze niż moje. Jest to, swoją drogą, dość ciekawa historia, bo to są ci sami ludzie, którzy mówią o śmierci autora, o popremierowej separacji autora i jego tworu, o tym, że każda interpretacja tegoż jest równowartościowa, którzy potem każą mi traktować Sapkowskiego jako pisarza ideologicznie zaangażowanego. Bo jeśli nie, to czytam bezrefleksyjnie.

Więc dla kogoś, kto dzieli fantastykę na dobrą i złą na podstawie jej zaangażowania w aktualne problemy ludzkie, kogoś, kto się czuje lepszy od innych, bo czyta literaturę z wyższej półki, czyli ideologicznie nieobojętną, nieprzedkładanie -izmów nad bohaterstwo, przyjaźń, miłość, poszukiwania siebie, albo – z drugiej strony – spekulacje na tematy naukowe i filozoficzne, jest przykładem i wynikiem niezrozumienia. Czyli mówiąc krótko: bycia zbyt głupim na poznanie się na „prawdziwym” przekazie.

Ja natomiast... mam takich ludzi w dupie.

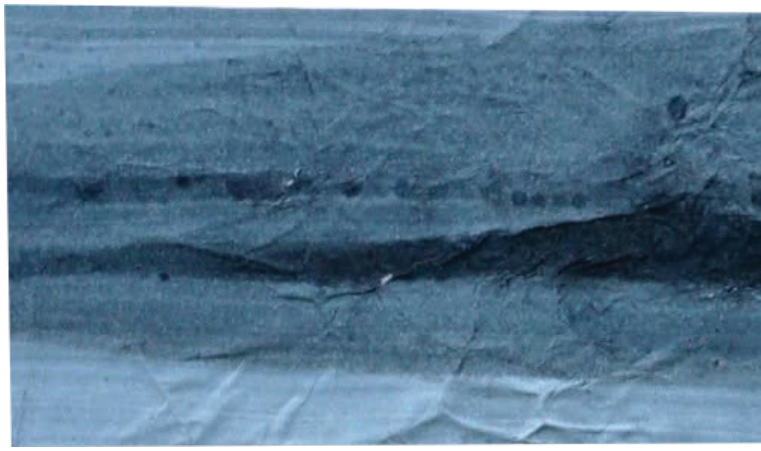

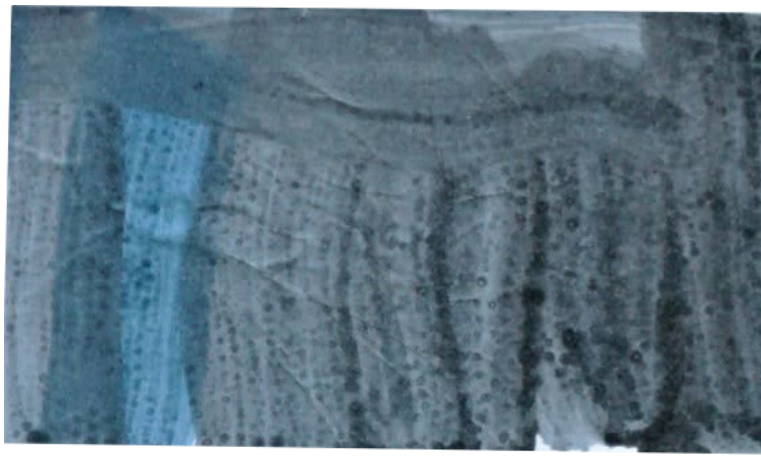

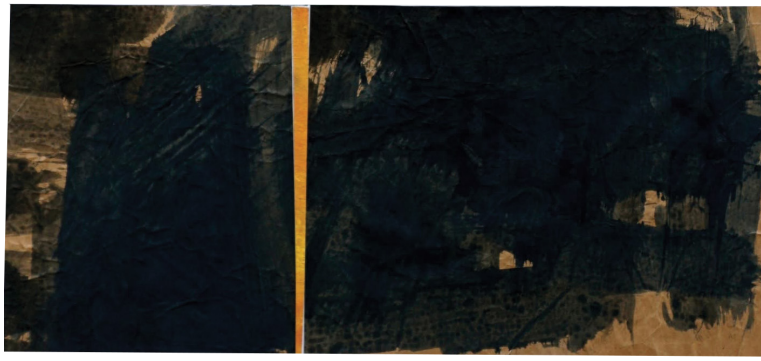



PUBLICYSTYKA NIEBIESKA

KOSMICZNY ODCINEK CYKLICZNY: NOCNE NIEBO

MACIEJ SZMAJDZIŃSKI
PIOTR URBANKIEWICZ

Nasz redakcyjny astronom Maciej (z pomocą Piotrka, którego czujny czytelnik znajdzie w pierwszym numerze, w tekście o zorzy polarnej) wraca w kolejnym odcinku, tym razem uświadamiając nam głębię i bezmiar kosmosu, który, wedle rzekomych słów pewnego fizyka, jest nieskończony, na wzór ludzkiej głupoty. Co do kosmosu – nie mamy pewności, co do tego drugiego – walczmy z tym! Ciekawostka: w drugiej książce Maćka bohaterowie dość intensywnie wpatrują się niebo, doszukując się w nim sensu. Pewne rzeczy najwyraźniej się nie zmieniają.

Spoglądanie w nocne niebo – bezchmurne, z możliwie niskim zanieczyszczeniem świetlnym – jest czymś niezwykłym. Człowiek w jednej chwili jest gotów podążyć za myślą Carla Sagana, opisującego w „Błękitnej kropce" zdjęcie wykonane przez sondę Voyager 1, na którym widać Ziemię oddaloną o 6,4 miliarda kilometrów. Słynny astronom i popularyzator nauki ujął to w te słowa:



https://science.nasa.gov/mission/voyager/voyager-1s-pale-blue-dot/

„Spójrz ponownie na tę kropkę. To Nasz dom. To my. Na niej wszyscy, których kochasz, których znasz. O których kiedykolwiek słyszałeś. Każdy człowiek, który kiedykolwiek istniał, przeżył tam swoje życie. To suma Naszych radości i smutków. To tysiące pewnych swego religii, ideologii i doktryn ekonomicznych. To każdy myśliwy i zbieracz. Każdy bohater i tchórz. Każdy twórca i niszczyciel cywilizacji. Każdy król i chłop. Każda zakochana para. Każda matka, ojciec i każde pełne nadziei dziecko. Każdy wynalazca i odkrywca. Każdy moralista. Każdy skorumpowany polityk. Każdy wielki przywódca i wielka gwiazda. Każdy święty i każdy grzesznik w historii Naszego gatunku, żył tam. Na drobinie kurzu zawieszonej w promieniach Słońca. Pomyśl o rzekach krwi przelewanych przez tych wszystkich imperatorów, którzy w chwale i zwycięstwie mogli stać się chwilowymi władcami fragmentu tej kropki. Naszym pozom. Naszemu urojonemu poczuciu własnej ważności, naszej iluzji posiadania jakiejś uprzywilejowanej pozycji we wszechświecie, rzuca wyzwanie ta oto kropka bladego światła. Nasza planeta to samotny pyłek w bezmiarze wielkiego, otulającego nas kosmicznego mroku. W naszej nikłości, w tej rozległości wszechświata, brak jest nawet cienia nadziei, że pomoc nadejdzie skądinąd, by nas ocalić od nas samych.[1]"

Powróćmy jednak na tę Błękitną kropkę... Co widzimy, stojąc na jej powierzchni i spoglądając, na przykład, ku sondzie Voyager 1? Światło miriadów gwiazd, które wpada do naszych oczu, płynąc przez pustkę kosmiczną czasami setki, kiedy indziej – miliony lat, pozwalając „zajrzeć" w przeszłość. Część z tych ciał niebieskich zapewne zakończyła już żywot, zmieniając się, w zależności od masy – w białe karły, gwiazdy neutronowe lub czarne dziury, jednak informacja ta, niesiona przez fotony, wciąż do nas nie dotarła. Lecz my czekamy, wpatrujemy się w niebo, wykorzystując do tego coraz nowocześniejszą technologię.

Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba praktycznie każdego dnia zadziwia przełomowymi odkryciami, a Ekstremalnie Wielki Teleskop (ELT) określa się mianem istnego game changera w dziedzinie badania kosmosu – budowany jest w Chile. ELT ma posiadać zwierciadło główne o średnicy 39 metrów, stając się aż czterokrotnie większym naziemnym teleskopem od najpokaźniejszych poprzedników (uruchomienie zaplanowano pod koniec 2030 roku).

Postęp ten sprawia, że również amatorzy mają szersze możliwości śledzenia nocnego nieba ze wsparciem optycznym. Teleskopy dostępne dla pasjonatów i hobbystów dają wgląd w świat, który zaledwie przed kilkoma dekadami dostępny był wyłącznie dla wybranych – naukowców. Poniżej przedstawiamy takie właśnie zdjęcia – będące poza zasięgiem ludzkiego oka, które nie jest w stanie kumulować fotonów...



Mgławica Koński Łeb (Barnard 33)

To jeden z popularniejszych obiektów na nocnym niebie. Koński Łeb oddalony jest od Ziemi o około 1500 lat świetlnych, co w skali kosmicznej można nazwać bliskim sąsiedztwem.

Barnard 33 należy do mgławic ciemnych, które zazwyczaj nie wyglądają efektownie – to niemal czarne plamy gazu i pyłu, widoczne wyłącznie dzięki temu, że odcinają obserwatora od źródła światła za nimi.

Mgławica Koński Łeb zawdzięcza swoje piękno innej mgławicy – emisyjnej (czyli jasnej) IC 434, na której tle się znajduje. Bez niej efekt wizualny byłby nieporównywalnie uboższy.

Koński Łeb, mimo że wygląda niepozornie, jest obiektem sporych rozmiarów – jego średnica wynosi około 3,5 roku świetlnego, czyli przeszło 220 000 au² (jednostek astronomicznych).

Barnard 33 zlokalizowany jest w arcyciekawej konstelacji Oriona (w jego pasie). Zdecydowanie najlepiej obserwować ją zimą, lecz widoczna jest od jesieni do wczesnej wiosny.





Mgławica Bańka/Bąbel (NGC 7635)

Bańka jest młodą mgławicą emisyjną o średnicy 10 lat świetlnych, oddaloną o przeszło 11 tysięcy lat świetlnych od Ziemi. Rozświetla ją pobliska gwiazda (BD+60°2522), która to odpowiada także za kształt bąbla (lekko zdeformowanego przez nierównomierne środowisko).

Gwiazda ta „wypycha" otaczający ją gaz (z prędkością kilku tysięcy kilometrów na sekundę!), który na swojej drodze napotyka opór materii międzygwiazdowej. Po zderzeniu powstaje wyraźna bańka, będąca w rzeczywistości falą uderzeniową.

Charakterystyczny czerwony kolor mgławicy to skutek intensywnego promieniowania ultrafioletowego, powodującego jonizację wodoru. Co ciekawe, w Bąblu obecne są również inne pierwiastki, w tym tlen. Podczas ich jonizacji powstaje światło o różnej długości fal, przekładające się na dodatkowe barwy w astrofotografii, np. odcienie niebieskiego (drugie zdjęcie).

Bańki szukajmy w konstelacji Kasjopei.



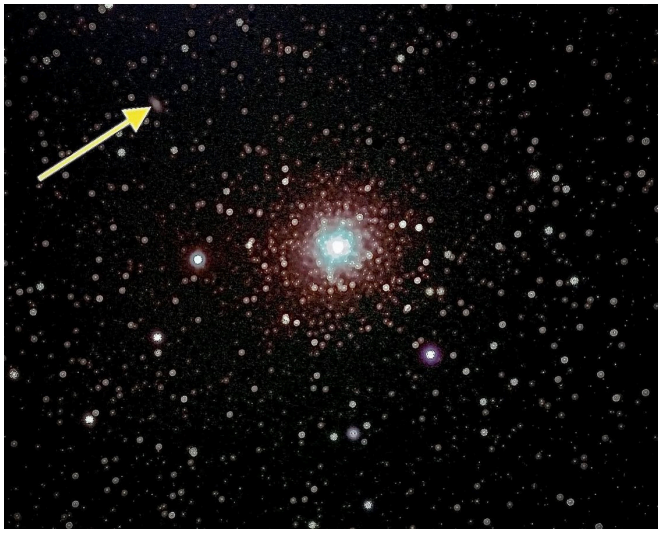

Wielka Gromada Kulista Herkulesa (M 13)

Jedna z najjaśniejszych i najbardziej efektownych gromad kulistych widocznych z naszej szerokości geograficznej. To ponad 100 tysięcy gwiazd rozproszonych w kuli o średnicy 84 lat świetlnych.

Odległość od Ziemi – 22 tysiące lat świetlnych. Mało?

Na końcu strzałki (drugie zdjęcie) złapała się galaktyka NGC 6207, która jest od nas oddalona o 64 miliony lat świetlnych. Gdyby tak naraz przenieść się do niej i spojrzeć na Ziemię, zobaczy się, jak wyglądała „świeżo" po uderzeniu meteorytu z Chicxulub, który zmiótł m.in. dinozaury.

Zaraz po tym resetowym evencie wyewoluowały za to jeżyki, które w praktycznie niezmienionej formie żyją do dzisiaj.

Jak wskazuje nazwa, M 13 zlokalizujemy w gwiazdozbiorze Herkulesa.

(Piotr Urbankiewicz)

Mur Łabędzia (Cygnus Wall)

Jest to niewielki i zarazem jeden z najjaśniejszych fragmentów olbrzymiej Mgławicy Ameryka Północna (NGC 7000) – nazwa pochodzi od jej kształtu.

To niezwykle gęsty obłok gazu i pyłu, podświetlany przez promieniowanie młodych, gorących gwiazd. W jego wnętrzu zachodzą intensywne procesy gwiazdotwórcze, często ukryte za zasłoną materii.

Mgławica znajduje się około 2 tysięcy lat świetlnych od Ziemi w gwiazdozbiorze Łabędzia.

(Łączny czas naświetlania matrycy – 1 godzina 15 minut.)



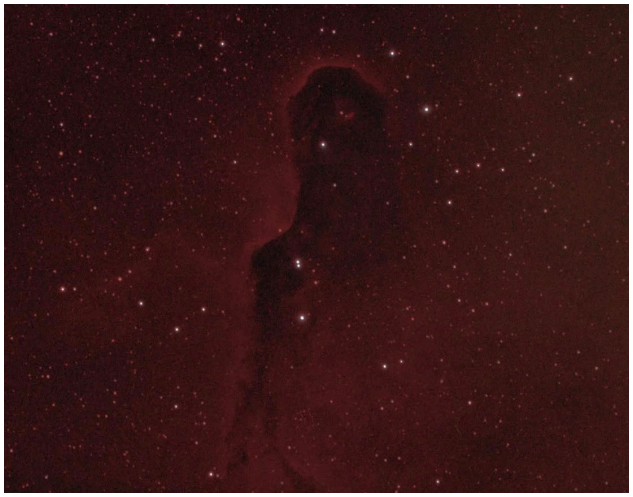

Mgławica Trąba Słonia (IC 1396)
Trąba Słonia to gęsta struktura gazu i pyłu – tzw. globula – znajdująca się w obrębie rozległej mgławicy emisyjnej IC 1396 (konstelacja Cefeusza).

Za jej charakterystyczny, wydłużony kształt odpowiada oddziaływanie promieniowania ultrafioletowego i wiatru gwiazdowego, pochodzącego od masywnej gwiazdy HD 206267 – stopniowo „rzeźbią" one otaczającą materię. Jednocześnie promieniowanie to jonizuje wodór w mgławicy, powodując jego świecenie.

Mimo sporych rozmiarów (około 20-30 lat świetlnych długości), Trąba Słonia pozostaje obiektem trudnym do obserwacji – jako mgławica ciemna widoczna jest głównie dzięki temu, że zasłania światło znajdującego się za nią gazu.

Odległość od Ziemi – około 3 tysiące lat świetlnych.

(Łączny czas naświetlania matrycy – 5 godzin i 27 minut.)

Mgławica Płonąca Gwiazda (IC 405)
Znajdująca się „niedaleko" Ziemi (około 1500 lat świetlnych) w konstelacji Woźnicy, Mgławica Płonąca Gwiazda zaliczana jest do mgławic emisyjnych i refleksyjnych. Pył oraz gaz w jej wnętrzu przyjmują specyficzne kształty, nadające całości głębi, przywodząc na myśl „żywy" ogień.

Za podświetlenie mgławicy odpowiada tzw. gwiazda uciekająca – AE Aurigae (typ widmowy O, czyli bardzo duża i gorąca). Co ciekawe i stosunkowo rzadko spotykane, narodziła się ona w zupełnie innym miejscu (gwiazdy rozświetlające mgławice zazwyczaj formują się właśnie w ich wnętrzu) – stąd nazwa „uciekająca".

Około 2,5 miliona lat temu AE Aurigae została „wyrzucona" ze swojej rodzimej gromady, na skutek zawirowań grawitacyjnych podczas zbliżenia się do siebie masywnych ciał niebieskich.

Napotykając na drodze mgławicę, rozświetliła ją na naszym niebie.

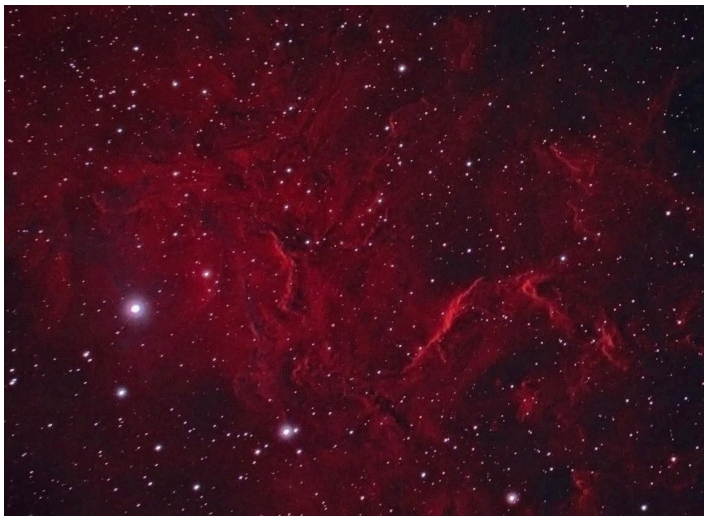



Galaktyka Bodego (M 81)
Wielka galaktyka spiralna, oddalona od Ziemi o 12 milionów lat świetlnych. W jej wnętrzu znajduje się supermasywna czarna dziura o masie 70 milionów mas Słońca, która jest zarazem źródłem światła galaktyki (a w zasadzie materia na jej dysku akrecyjnym).

W pobliżu M 81 (około 150 tysięcy lat świetlnych) rozciąga się inna znana galaktyka – Cygaro (M 82). Na przestrzeni kilkudziesięciu milionów lat zbliżyły się one do siebie, nasilając procesy gwiazdotwórcze oraz powodując wyraźne zniekształcenia grawitacyjne (zwłaszcza w galaktyce Cygaro).

Jest to jeden z łatwiejszych obiektów do obserwacji na nocnym niebie (do odnalezienia w Wielkiej Niedźwiedzicy), możliwy do dostrzeżenia nawet przez małe teleskopy i lornetki (niekoniecznie astronomiczne) jako niewyraźna mgiełka.

(Zdjęcie: 100 klatek – po 30 sekund każda.)

Głęboki kosmos wciąż kryje przed nami wiele zagadek. Ich odkrywanie przybliża do odpowiedzi na pytania o początek Wszechświata i Układu Słonecznego, a także pozwala snuć scenariusze naszych dalszych losów.

Choć w skali ludzkiego życia opisywane obiekty (i tysiące innych) wydają się nieruchome, niemal martwe, w rzeczywistości są miejscami nieustannych, gwałtownych procesów fizycznych, operujących niewyobrażalnymi energiami i rozciągniętymi na miliony kilometrów. Wyobrażenie sobie tego wszystkiego wymaga abstrakcyjnego myślenia i pogodzenia się ze wspomnianymi słowami Carla Sagana.

Kiedy już oswoimy się z tą myślą, pozostają pozytywy. To przykładowo szansa, że jeszcze będziemy świadkami jednego z kulminacyjnych momentów wielkich kosmicznych procesów – dajmy na to wybuchu supernowej, która rozbłyśnie na niebie jako nowy, wyraźny punkt. A takie wydarzenia obserwowano już w przeszłości, jak choćby SN 1054, opisaną w 1054 roku przez astronomów chińskich i arabskich. Widoczna była całą dobę (nawet w pełnym słońcu) przez 23 dni, a w nocy – niespełna 2 lata...

Takiego widoku życzę więc sobie i wam.

Podczas pisania korzystałem z:
https://weglowka.pl/obserwatorium/ [dostęp: kwiecień 2026]
https://astrofotografia.pl/ [dostęp: kwiecień 2026]
Rudź Przemysław, Atlas gwiazd, Wydawnictwo SBM, Warszawa 2017
Zdjęcia (o ile nie wskazano inaczej): Piotr Urbankiewicz.
Sprzęt: Celestron EDGE HD XLT 9,25" + Reduktor 0,7x Flat field + filtr optolong L-enhance (dla mgławic). Aparat to Nikon D90. Śledzenie iOptron CEM70. Parametry optyczne po redukcji – ogniskowa 1645mm i światło F/7.

Tekst (o ile nie wskazano inaczej): Maciej Szmajdziński.

[1] Sagan Carl, Błękitna kropka. Człowiek i jego przyszłość w kosmosie, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2018.
[2] 1 au to około 150 milionów kilometrów, czyli odległość od Ziemi do Słońca.

WAR BOOK



Nie zginęliśmy, zmieniliśmy się

PUBLICYSTYKA

KRAJOBRAZ PO APOKALIPSIE – STAN FANTASTYKI

KLAUDIUSZ KANON KSIĄŻKI KONIECZNEJ

A.D. 2026

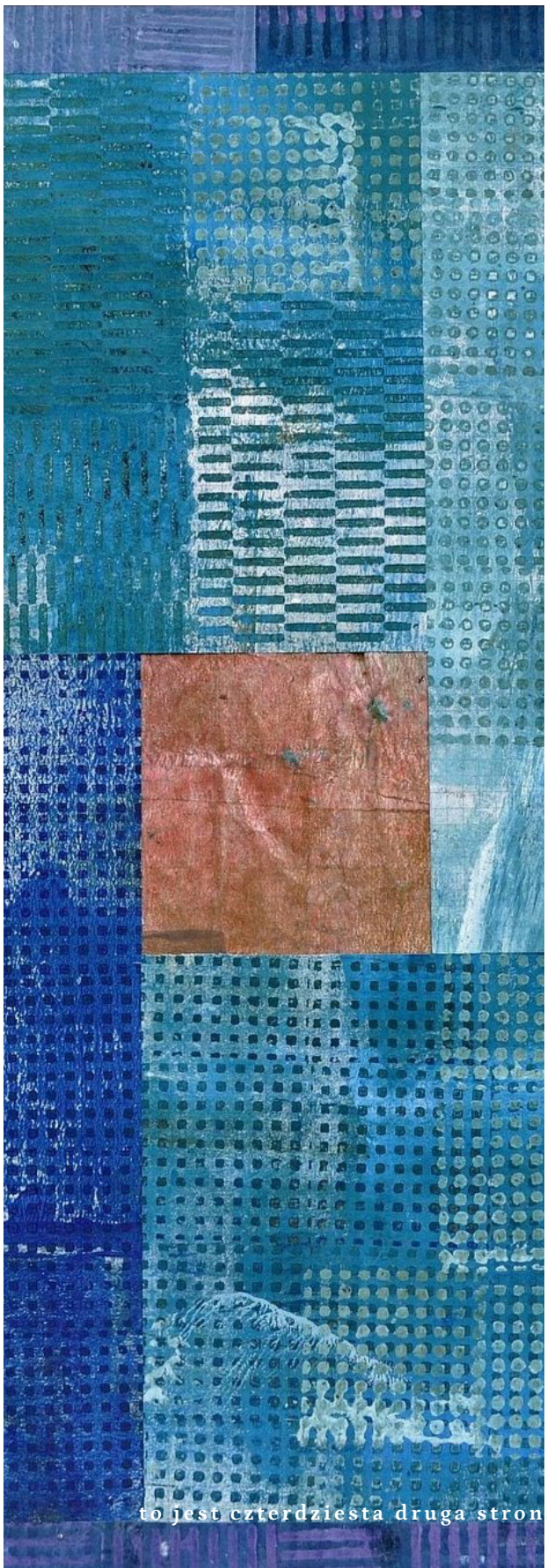

Klaudiusz jeńców nie bierze, a ogień trawiący mosty, które za sobą pali, oświetla mu jedyną słuszną drogę. Drogę do prawdy, czy się nam ona podoba, czy też nie. Nie trzeba się z nim zgadzać, tak tylko przypomnę, ale warto wczytać się w to, co ma do powiedzenia. Ponieważ w głębi swojego kamiennego serca Klaudiusz pielęgnuje – wciąż czystą i nieskalaną – miłość do fantastyki.

Planowałem ten tekst. Jest to zestawienie i wynik gargantuicznych ilości przelanego jadu w komentarzach na social mediach, krzyków w knajpianych oparach oraz rozpaczliwych wymian poglądów i zdań, gdy wraz z rzeszą pasjonatów patrzyliśmy na zgliszcza tego, co kiedyś było zwycięstwem polskiej fantastyki. Bo po zmianie opisywanej przez Jacka Dukaja nastała, jak to w przyrodzie bywa, kolejna zmiana. Tam, gdzie mówiliśmy o ewolucji, raptem dwadzieścia lat temu, dziś można bez uprzedzeń stwierdzić, że nastąpił rozrost tak gwałtowny, że właściwy raczej zmianom rakotwórczym.

A zatem, cytując Jacka Dukaja, posłużę się inicjałami „J.D.", a wszystkie odniesienia zaznaczone kursywą pochodzą z tekstu „Krajobraz po zwycięstwie, czyli polska fantastyka AD 2006", dostępnego w tym miejscu[1]. Uprzedzając spodziewane oburzenie, dodam, że tekst ten nie ma być rwaniem koszuli, a raczej pozbawioną skazy ideologiczno-historiozoficznej rewizją prezentowanych danych. Nic bowiem nie wspiera dyskursu tak dobrze jak dane. Zaczniemy więc niemal tak samo:

Pierwszym warunkiem sensownej dysputy jest jasny ogląd faktów. Drugim wszelako – konsekwentna ich ocena.

1. 1. Diagnoza ilościowa, czyli rynek książki, e-booków, audiobooków

J.D. mówił o boomie na polską fantastykę, jakiego nie można było uświadczyć w warunkach komercyjnie działającego rynku książki. Dziś można śmiało stwierdzić, że bomba pozostawiła po sobie zgliszcza, bo rodzimy rozrost i optymizm przemienił się w falę uderzeniową, która, choć pozwoliła wybić się paru autorom, to zdmuchnęła płomienie pozostałej – znacznej – części, która, choć zapowiadając się całkiem nieźle, nie odniosła znaczącego sukcesu **zagranicznego**.

Zaczniemy od rdzenia wybuchu, czyli popularności Niezależnej Oficyny Wydawniczej „Nowa" Sp. z o.o., (a właściwie to SuperNowa), nagrodzonej na Euroconie jako najlepszy wydawca (2000 i 2003). Dziś oficyna „aktywna" wyłącznie w spisie KRS-u, a degradacja wydawnictwa nastąpiła po śmierci Mirosława „Kowala" Kowalskiego w 2022 r. Strona internetowa nie istnieje, a z działań wydawniczych można zaobserwować wyłącznie odgrzewane wznowienia Sapkowskiego i Zajdla.

Działania chwalebnej pracy u podstaw wydaje się podtrzymywać w stanie wegetatywnym Wojciech Sedeńko. Słynie on z zacnego wydawania większości dzieł klasycznej SF i wypuszczania na rynek protoplastów gatunku w – i tu nieco mniej chwalebnie – oprawie graficznej rodem z lat transformacji ustrojowej.

Wśród największych obecnie graczy należy wymienić:

1. Rebis, w serii równie koszmarnych okładek „Wehikułu Czasu", skupiający się wyłącznie na tekstach zagranicznych z amerykańskiego złotego wieku SF. Trzeba oddać Poznaniakom to, że w porównaniu do poprzedniego działacza nie oszczędzają na korekcie i potrafili przekonać się do nowych sposobów istnienia książki, czyli wersji czytnikowej i audio.

2. Wydawnictwo Literackie, które w ostatnich latach zabawia się w nekromancję, wznawiając Lema w nowej oprawie. Zabieg bardziej marketingowy, niż faktyczna chęć krzewienia podstaw fantastyki. Patrząc po ich drugim dużym nazwisku, czyli nomen omen autorze oryginalnego eseju, Literackie pozostaje odpowiednikiem bunkra atomowego, który, niezależnie od rozmiarów zagłady, przetrzyma wszystkie zawirowania, wychodząc zwycięsko z kataklizmu.

3. Fabryka Słów (w tej samej lidze grała też Runa, która dziś już nie istnieje) – rzetelny i dobrze ograny marketing daje rezultaty. Jednak od paru ostatnich lat wydają się pogrążeni w stagnacji. Odeszli w którymś momencie od wydawania swoich „starych" autorów na rzecz nowych, raczej zachodnich, celując w młodszego odbiorcę. Zdają się obecnie ten błąd naprawiać.

4. MAG, założony w 1993 roku przez Jacka Rodka, współzałożyciela i wicenaczelnego „Fantastyki". Na początku wydawali się zainteresowani wyłącznie RPG, dziś dominują na rynku, opierając się niemal wyłącznie na anglosaskich perełkach. Są też twórcą być może najbardziej irytującego systemu wydawniczego, opartego na niedoborze i malutkich nakładach. Ich kluczowe serie, które pozostają w strefie klasyki fantastyki to: „Uczta Wyobraźni" i „Artefakty".

5. SQN – kontynuujący jakość spod egidy Fabryki Słów. W większości literatura nienachalna pod względem jakości, za to okraszona sporą dawką żartu i młodzieżowego ducha dla nastolatków, albo tych, którzy wciąż próbują nimi być.

6. Vesper – wydający się być pewnym silnikiem. Wydaje obecnie najładniejszą (a w XXI wieku jest to wyznacznik) serię „Wymiary". Seria aspiruje górnolotnie do „wyselekcjonowanego zbioru najważniejszych dzieł w historii gatunku science fiction"[2].

7. Powergraph. Tutaj goszczą nazwiska kiedyś bliżej utożsamiane z fantastyką, dziś operujące często w głównym nurcie. Jest to też jedno z niewielu wydawnictw aktywnie sprzedających gadżety powiązane z książkami. To kolejny nowy zabieg, jakim próbuje się przyciągać nowych, a przede wszystkim młodych czytelników.

8. Mięta idzie podobną drogą. Jednak, mimo wciąż wyraźnych powiązań z fantastyką, oficyna wydaje się orbitować w kierunku kryminału i młodzieżówek. Warto zauważyć, że to właśnie powieść młodzieżowa wydaje się w całości absorbować umysły i portfele młodych ludzi.

Z sieci i środowiska fanfików do głównego obiegu przedarły się również wyspecjalizowane konsorcja, które traktują fantastykę jak kolejny poligon komercjalizacji rodem z reality show, bo to tylko setting, gdzie liczy się kto z kim sypia i kogo zdradza - czyli NieZwykłe. Jest to ewenement na tyle duży, że należy się mu osobna wzmianka. Inne wytwory funkcjonują raczej w roli imprintów, stawiając na anglojęzyczne nazwy z połączeniem w nazwie gatunku, co wcześniej było cechą wyłącznie wydawców fandomowych.

Do ostatnich obrońców jakości warto zaliczyć osobną, a też – nie ukrywam – personalną wzmiankę, czyli Wydawnic-

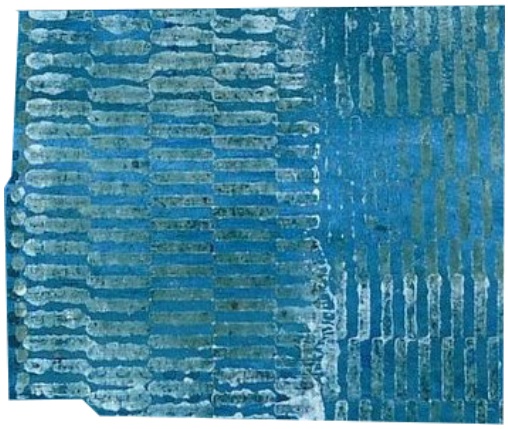

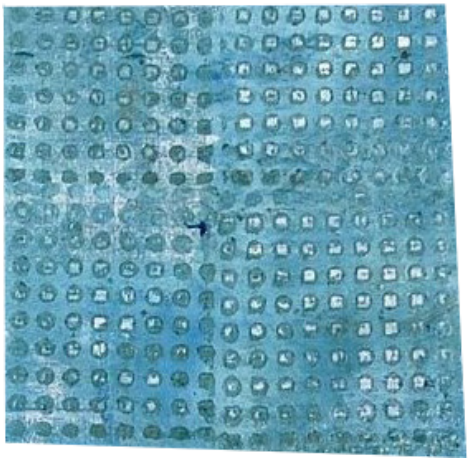

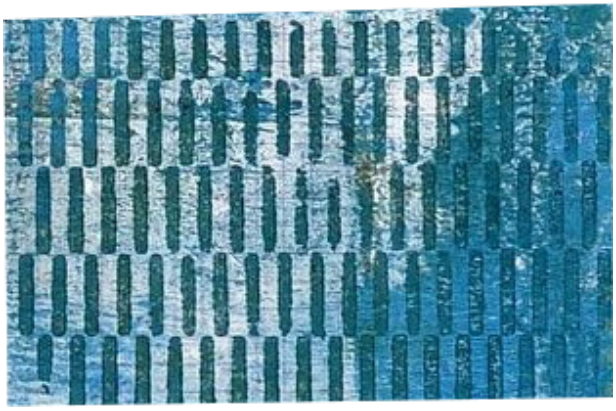

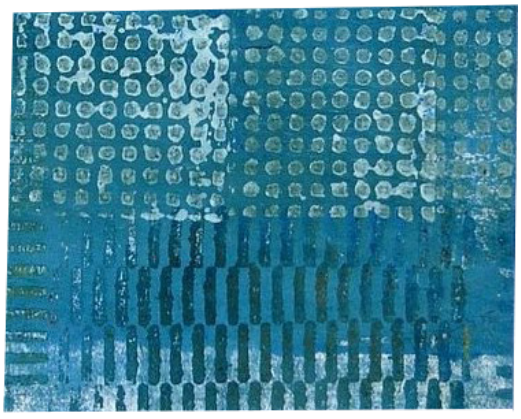





two IX. „Dziewiątka" wydaje właściwie SF i szeroko rozumianą grozę, utrzymując wysoki poziom redakcyjny i korektorski. Czy jednak uda mu się wygryźć kawałek rynku w tym środowisku, pozostaje mocno niepewne.

Opisywane przez Dukaja Solaris nie istnieje, zastąpiło je Stalker Books. WAB dalej ma parę tytułów w portfolio, ale z racji przynależności do Foksala raczej wycofuje się z rynku fantastyki. Świat Książki ogranicza swoją działalność do klasyki w barwionych brzegach (Wilde, Grabiński, Shelley, Stoker) i romansu w lekkiej otoczce fantasy – czyli „Outlandera". Videograf w całości poszedł w romantasy, a jedynymi tekstami mocniej zahaczającymi o fantastykę są wznowienia Troisi. Copernicus w całości porzucił fantastykę, idąc w teksty popularnonaukowe. 2005 rok musiał być rokiem szczególnym, bo Fundacja sztuki na rzecz Integracji tylko wtedy wydała fantastykę.

Pozostają wydawcy trzymający autora w ramach symbolicznego udziału w rynku – Wielka Litera wydaje Atwood, Media Rodzina trzyma publikacje J.K. Rowling, Suzanne Collins i C.S. Lewisa. Nagrobek można wystawić wydawnictwu Runa, które utrzymało się niepełną dekadę, Red Horse porzucił chyba na stałe myśli o fantastyce, idąc za przykładem Copernicusa, podobnie Bellona, Dolnośląskie i Galeria Książki.

Jednak boom objawił również inny aspekt rynku, bo tam, gdzie pojawia się okazja do zarobienia, znajdują się też spekulanci. Mowa o dwóch bardzo popularnych systemach – vanity i self. O ile ten drugi coraz częściej zatrudnia prawdziwych redaktorów i korektorów, to wciąż pozostają to raczej inicjatywy o niezbyt sprawdzonej jakości, za to nadrabiające mnogością.

Nadzieje budzą nowi gracze. Czyli wydawcy lat mocno sprofilowani, albo dopiero rozpoczynają swoją przygodę na rynku. Wychodzi różnie, jednak warto z ostrożnością ich śledzić. Warto tu może wspomnieć Pulp Books, który stawia kroki zarówno w książkach jak i czasopismach (tu zaliczyli falstart, ale zdążyli zrobić szum).

Boom Dukaja zakładał również, że stosunkowo łatwo jest zadebiutować książką. Dziś jednak autorzy wydają się bardziej zszokowani tym, że się ich wydało, niż są z tego dumni. Wydawcy, którzy biją się o autorów, nierzadko licytując lepszymi warunkami finansowymi i promocją, występują chyba tylko w bajkach. Najpewniejszą opcją jest teraz posiadania gotowego fanbase'u, oczywiście dla serii, bo wydawcom nie opłaca się już inwestować w jedną powieść. Hierarchizacja Dukaja wydaje się być stale w ascendancji *(małe wydawnictwa promujące debiutantów → średniaki wydające sprawdzoną „fantastykę skonwencjonalizowaną", przeznaczoną głównie dla fanów, o stałej, solidnej sprzedaży, zazwyczaj właśnie filie koncernów → największe domy wydawnicze, publikujące Stephensona, Gibsona, Gaimana czy Kinga)*, chociaż trzeba zaznaczyć, że wszyscy wydawcy wolą raczej operować na autorach z odpowiednią ilością obserwujących w social mediach, to właśnie małe wydawnictwa mają dziś większą dbałość o jakość i dobór autorów, a średniaki wydają się używać wpływów do pozyskiwania nagród i bezpiecznych typów. Cyklizacja wydaje się również nowym powszechnym prawem wydawniczym. Właściwie serie i cykle dominują na rynku fantastyki. Wszystko wydaje się być połączone w jakiegoś rodzaju grupę, bądź zbiór.

Polski rynek wydawniczy przeszedł już poziom pół-chałupnictwa, umowy wydawnicze podpisywane są z rocznym wyprzedzeniem, ale promocja konkretnych tytułów wciąż raczkuje. Z jednej strony mamy tradycyjny model księgarniany, czyli sławetna, suto wyceniana półka w Empikach (uznając Empik za księgarnię), a z drugiej część wydawców w ogóle odrzuca tradycyjny model, w tym i pośredników oferujących sztucznie zawyżone ceny detaliczne (które u producenta są na wieczystej promocji -50%, przebijając tym samym nawet ceny targowe), robiąc przy tym jeszcze współczesny marketing szeptany – czyli influencerów.

Czy to jednak się opłaca? Retencja wydaje się marna, jednak w dobie zaniku reklamy tradycyjnej i innych mediów, że takie zaklinanie rynku i metoda "na czuja" lepsza niż żadna. Wielu tych reklamodawców funkcjonuje wyłącznie komercyjnie, sprzedając pozyskane egzemplarze niemal od razu w dniu premiery. Trudno stwierdzić, czy model się utrzyma.

W niektórych przypadkach teksty mają solidną korektę i redakcję przed wydaniem, jednak wszechobecna moda na cykle i Sandersonoza[3] znacząco spłycają zarówno SF jak i fantasy. Trudno nie odnieść wrażenia, że króluje niepodzielnie grafomania, sztucznie wydłużająca treści, na czym cierpi jakość. Część antologii i książek wciąż gubi się gdzieś, tytuły zostają przełożone na odleglejszą przyszłość. Budżet produkcyjny książki zanotował wzrost, co widać w jakości i cenach promotorów, jednak dalej nie umywa się do budżetu jakiegokolwiek produktu codziennej potrzeby. Ten stan rzeczy wydaje się odpowiadać samym zainteresowanym, bo przecież po co regulować coś, skoro można przyoszczędzić na słupie reklamowym.

1. 2. Czasopisma

Dukaj wieszczył koniec czasopism i trend ten wydaje się utrzymywać. Co jakiś czas podejmowane są próby stworzenia nowego miejsca, jednak mało kiedy pojawia się w nich przestrzeń dla publicystyki. Większość wydaje się egzystować w sieci, budując własne marki, zamiast tworzyć ośrodki. Rolę centrów wymiany jakiejkolwiek myśli przejęły na dobre social media.

Poza „NF" na papierze pojawiają się efemerydy (...) o niewielkiej sprzedaży wydawane głównie z pasji redaktorów.

„Nowa Fantastyka", pomimo dużego nakładu, notuje spadek impaktu czytelniczego. „Science Fiction Fantasy & Horror" zamknął się w 2012 roku. Obfitość oferty fantastyki zagranicznej wydaje się wciąż rosnąć, a nowe wydania zagraniczne coraz częściej zostają przygotowane w formie kolekcjonerskiej (barwione brzegi, twarde oprawy), co wydaje się być symptomatyczne dla fantastyki. Rozwój internetowych społeczności fanów fantastyki wciąż jest obserwowalny, jednak w obrębie tych samych ludzi. Nowi fani w większości wydają się być raczej związani z filmem, serialem, komiksem czy mangą, nie do końca identyfikując się z fandomem książkowym.

J.D. również nie mylił się co do jakości opowiadań – spadek średniej jakości i brak nastawienia na wizytówkowość autora boleśnie sprawia, że dobrych opowiadań nie można szukać w jednym czasopiśmie, a raczej wyciągać je, jak rodzynki, z tego co zostało po cieście. Pojawili się zawodowi pisarze opowiadań, którzy jednak wydają się w zbiorach, a nie wiążą się z jakimś czasopismem. Na rynku królują antologie tematyczne, jednak nie wydaje się, by notowały zyski. Opowiadania przestały być domeną debiutantów, bo serializacja książki fantastycznej powoduje, że nie może być mowy o wyrabianiu nazwiska. Debiutuje się co najmniej trylogią. Nie jest to wyłącznie nasz rodzimy problem. Na zachodzie taki trend jest zdecydowanie bardziej widoczny, a więc i tam poziom tekstów krótkich jest poniżej mediany sprzed kilku lat.

Pozostaje też faktem to, że tak, jak pisał J.D., nie ma co marzyć o powrocie do zdrowia czasopism, raczej nastąpi tu regettyzacja, która sprawi, że poza malejącym gronem fanów nikt więcej nie będzie się jego istnieniem martwił. Nadzieją na wzrost jakości wydają się antologie, przed którymi jeszcze daleka droga, bo chyba żadna nie osiągnęła statusu prestiżowej, a co za tym idzie – nie generuje zainteresowania.

1. 3. Sieć

(...) ośrodki „życia fantastycznego" przeniosły się na dobre do sieci.

I tym właściwie można zamknąć ten rozdział. Warto jednak gwoli ścisłości przytoczyć kilka stwierdzeń, głównie celem unaocznienia tego, jak wiele fenomenów, które nas irytują dziś, były widoczne już wcześniej. Chociaż Dukaj wtedy porównywał sieć do czasopism, to nawet dziś sama sieć spełnia te wymagania wobec siebie niemal tak samo.

Kiedy ukazuje się nowa książka, recenzje w sieci pojawiają się już następnego dnia (albo i przed premierą); w naszych miesięcznikach – po miesiącu-dwóch (...). Tymczasem żywot przeciętnej książki liczony jest w tygodniach (...)

Żywot książki w sieci to 2-3 tygodnie. Właściwie wydaje się, że jeśli dany produkt nie wyskakuje na rolkach, postach, a nawet z lodówki, trudno mówić o znaczącej sprzedaży. Wykształciły się również w socialmediach konta wyspecjalizowane w tzw „promocji" książek.

(...) jakkolwiek mierzone „znaczenie" recenzji książki w prasie fantastycznej jest mniejsze nie tylko od znaczenia byle notki w prasie codziennej, ale już także – od omówień w najpopularniejszych serwisach sieciowych.

To również się zgadza, ale jak dowodzą liczne przypadki, nie liczy się nawet miejsce recenzji, bo te od lat przegrywają z wizualiami autora lub omawiającego. Trzeba być miłym, uśmiechniętym i oczywiście pomagać zwierzętom. Sama umiejętność pisarska – lub nowatorstwo historii – spełza na dalszy plan. Publicystyki już się nie uprawia, chyba, że jest ktoś wersją Don Kichota, który pomimo rzeczywistości usiłuje walczyć z wiatrakami.

Czasopisma papierowe przegrały z siecią pod względem miejsca poświęcanego publicystyce literackiej.

To idealnie opisuje rzeczywistość sieci obecnie. Właściwie chyba najczęściej z publicystyką można spotkać się na konwentach w rozmowie przy piwie.

Czasopisma papierowe przegrywają na ostatnim polu: prestiżu. Ongi recenzja czy artykuł w „NF" miały jakąś wagę. Stał za nimi autorytet pisma i autorytet autora. Teraz często większe zaufanie mam do kompetencji osób piszących w niektórych magazynach sieciowych.

Niestety i tu coraz więcej jest po prostu krótkich podsumowań. Niemniej wciąż znajdują się w sferze sieci konta, które prezentują duży poziom merytoryczny. Co przerażające, często właśnie w sieci, a nie na uczelniach, można odbyć naprawdę rzetelną dyskusję o stanie literatury i konkretnym tytule. Jak bardzo to martwiące, oddaję głos Dukajowi:

Cokolwiek nie jest entuzjastyczne, odbiera się jako złośliwą krytykę (...). W konsekwencji, po pierwsze, każda normalna recenzja, pisana spoza tej mentalności i stosująca (obok gatunkowych) powszechne kryteria literackie, powoduje szok; po drugie – i to jest prawdziwe nieszczęście – zabija to ambicję w autorach, bo po co coś zmieniać, po co doskonalić się, szukać jakiejś oryginalności, skoro jest tak idealnie?

2. 1. Autorzy, czyli Niszowcy gatunkowi i Sequelatorzy

Dukaj pisał o wymianie pokoleniowej. Obecnie nie można już jawnie stwierdzić młodnienia pisarzy, mimo że większość aspirujących do wydania faktycznie zaczyna podchodzić do pisania młodo (18-24). Jednak wiek nie jest już dominantą, debiutują ludzie w każdym przedziale, bez wyraźnego trendu pokoleniowego, a co za tym idzie, ich doświadczenia mogą się diametralnie różnić. Nie ma mowy o fandomowych wspominkach walki z systemem, czy przynależności klubowej; dziś raczej mitem założycielskim staje się nie tyle środowisko, co początki fascynacji czytelniczej.

Nowi autorzy zdają się skupiać bardziej na konkretnych elementach gatunku, takich jak: wyrazistość (a więc i czarno-białość, albo wręcz przeciwnie, moralna szarość) postaci, budowa świata, oryginalność pomysłu przewodniego bądź świata (co jeszcze nie warunkuje oryginalnego tekstu, za to owocuje hybrydyzacją stylizacji, czyniąc wszystkie te zabiegi wtórnymi), dobrze skonstruowane smaczki w serii, do tego stopnia, że są raczej formą świadomie wrzucanych symboli na potem.

Nie brakuje ucieczek z fantastyki lub jednorazowych sukcesów. Fantastyka służy dziś za poligon startowy, z którego wielu twórców ucieka do gatunków bardziej rynkowo stabilnych: do kryminałów, do mainstreamu literackiego, czy literatury dla dzieci i YA. Cześć autorów przeszło do historii i historii alternatywnej. Możemy mówić wręcz o systemowym odpływie twórców. Środowisko wydaje się być niezdolne do utrzymania najlepszych. Czy jest to kwestia ekonomiczna, czy specyfiki fandomu, pozostawiam do rozważenia.

Kolejną kwestią jest sequeloza, która wydaje się, o zgrozo, dobrą strategią przetrwania. Wśród tych twórców, którzy zostają wewnątrz gatunku, dominuje model odcinania kuponów od jednego pomysłu. To nie jest nowa obserwacja, ale skala zjawiska sugeruje, że rynek nie nagradza eksperymentu, a premiuje rozpoznawalność.

Po boomie autorzy podzielili się na dwa typy: Niszowców gatunkowych ze stabilną formułą, bez ambicji przebicia się, i Aktywnych Sequelatorów, piszących regularnie, ale nie generujących nowych fenomenów kulturowych.

Konkludując: polskie środowisko fantastyczne po boomie lat 2000. wytworzyło wielu twórców, ale nie wytworzyło warunków do ich zatrzymania. Fantastyka działa jak inkubator kompetencji narracyjnych, które są następnie transferowane do bardziej komercyjnie stabilnych gatunków.

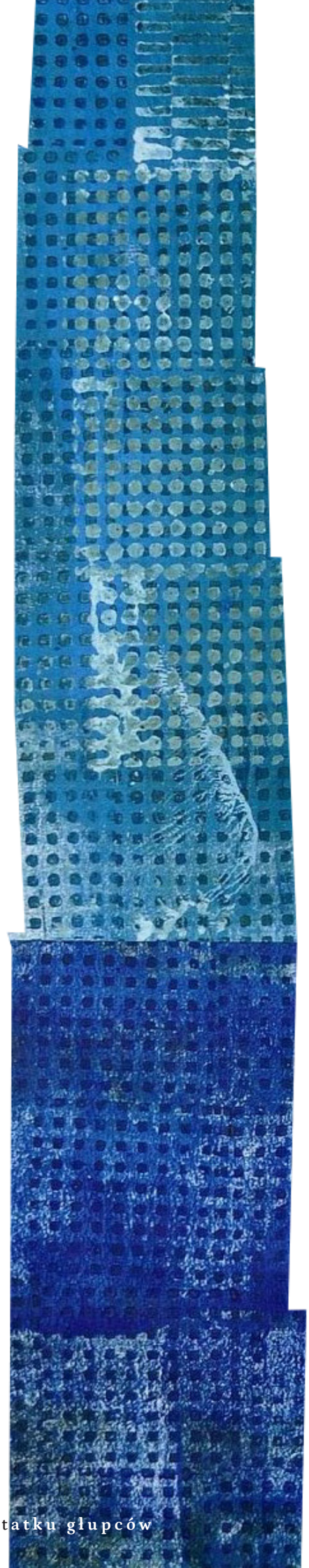

Warto jeszcze przytoczyć słowa Dukaja: *(...) czasopisma nie pełnią już swej dawnej roli, autorzy nie przechodzą okresu „formowania", nie są „prowadzeni" przez redaktora. Rzuca się ich od razu na głębokie wody wolnego rynku i gustów czytelniczych. To bardzo silna presja(...). Jej kosztem będzie kilka oryginalnych talentów wtłoczonych w koleiny oczekiwań Przeciętnego Czytelnika (...).*

2. 2. Język

Ideałem polskich autorów fantastyki stała się pozbawiona wszelkich cech charakterystycznych, sztywna poprawność językowa.

Tu właściwie nic się nie zmieniło. Teorie językoznawcze jawnie wskazują, że nie tak prosto zmienić modę językową oraz zachodzące przemiany.

Dukaj zaznaczał, że *(...) niepostrzeżenie, na przestrzeni kilkunastu lat, gdy 90% literatury w ogóle to (...) przekłady z angielskiego – zamrożono język polski.* Dziś jednak ta opisywana wtedy klockowość, składniowa poprawność, nie tyle zamraża, co wręcz anglicyzuje język. Właściwie w większości tekstów można odnieść wrażenie, że autor chciałby pisać z wtrąceniami angielskimi.

Pomimo dużego skoku, czyli zagoszczenia fantastyki na uczelniach, w sylabusach brakuje w ogóle zajęć z językoznawstwa. Świadomość autorów, szczególnie najmłodszych, co do samej potrzeby precyzji, utrzymania rytmu i umiejętności operowania językiem, wydaje się utrzymywać na drastycznie niskim poziomie. Ale chyba najbardziej uderzający są ci, którzy usiłują stylizować swój język na Sienkiewiczowski. Wtedy dopiero maestria przeradza się w horror braku jakości, ale i sensu.

2. 3. Gatunek

Chociaż już nie można mówić o zaniku SF, dalej pozostaje ona w tyle za fantasy. Twardej fantastyki naukowej próżno szukać. Ale do tego grona dołącza teraz epic fantasy, po tym jak Amerykanie zajęli ten rynek. I najciekawsza konkluzja: nawet oba te gatunki razem nie są w stanie pokonać romantasy albo YA.

Dominuje hybrydyzacja gatunków, dużo hołdów się składa mistrzom i mocno do nich przepija. Jednak mało co osiąga poziom głębi na tyle dużej, że może liczyć na choćby intertekstualną grę. Właściwie świadomość gatunkowa zanika już zupełnie.

Nadprodukcję przeżywa horror fantastyczny, który w czasach Dukajowego pierwowzoru niemal zniknął. Jednak częstotliwość oraz ilość burzy w szklance wody w tym środowisku przypominać zaczyna telenowele. Co sprawniejsi pisarze odchodzą w inne gatunki, nawet jeśli powiązane. Inni porzucają twórczość na dobre. Na rynku więc dominują najgłośniejsi, co nie znaczy, że najzdolniejsi. O tym zresztą świetnie pisze Badloopus w tekście *„Pięć grzechów głównych polskiego horroru"*[4].

Dominuje romantasy. Samo fantasy wciąż jest nieortodoksyjne. O ile we wspomnianych przez Dukaja konwencjach niewiele się zmieniło, to jednak można odnotować przesunięcia ciężaru w podgatunkach.

Najsilniejsza jest chyba właśnie fantasy postmodernistyczna, dziś oko do czytelnika puszczają wszyscy znani autorzy. Swoisty mariaż, a przynajmniej ja tak to widzę, generuje podgatunek SF – cyberpunk, który jednak odchodzi od jawnie pesymistycznego, podbierając bohatera walczącego i wygrywającego ze złem – w tym wypadku korporacją. Wolę myśleć tu o mariażu cybera z fantasy, bo jednak nie jest on pisany z dyscypliną naukową, a raczej ze wskazaniem na ilości gadżetów i blichtr.

Fantasy historyczna spadła trochę, bo chociaż wielu pretenduje do tego miana, to niewielu się udaje. Urban fantasy również znajduje się w odwrocie, dominują darki i grimdarki z wstawkami z kryminałów. Comic trzyma się mocno, chociaż poziom żartu wydaje się być znacząco niższy i skierowany raczej do odbiorców filmowo-serialowych. Akcyjniaków wydaje się wciąż sporo, czasem wchodzą w relację z fantastyką militarną, głównie w wydawnictwie Warbook.

2. 4. Sztuka

(...) koniunktura na polską fantastykę wytwarza ciśnienie przyciągające nowych autorów i ci nowi autorzy niemal bez wyjątku piszą pod owego mitycznego Przeciętnego Czytelnika Fantastyki.

Co się zmieniło? Może wyłącznie to, że koniunktura wymaga już nie tyle samego autora, a samoświadomego autora influencera. Kogoś, kto już ma ugruntowaną pozycję w świadomości

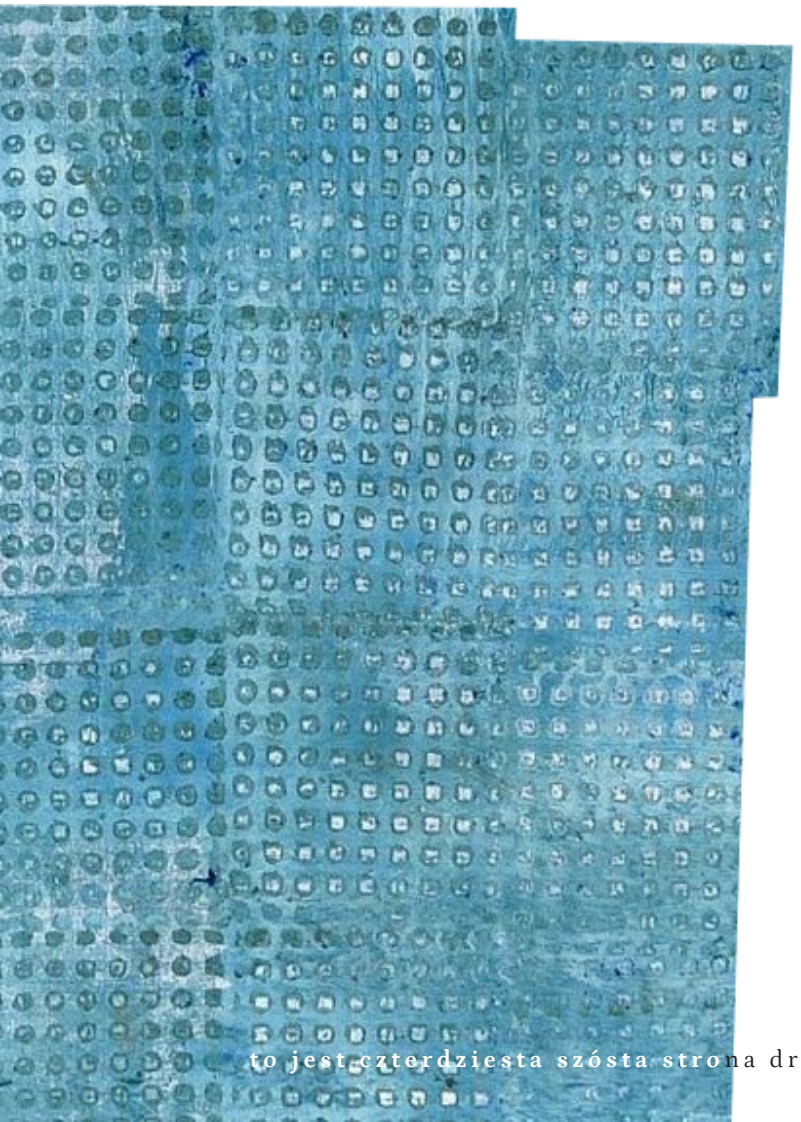

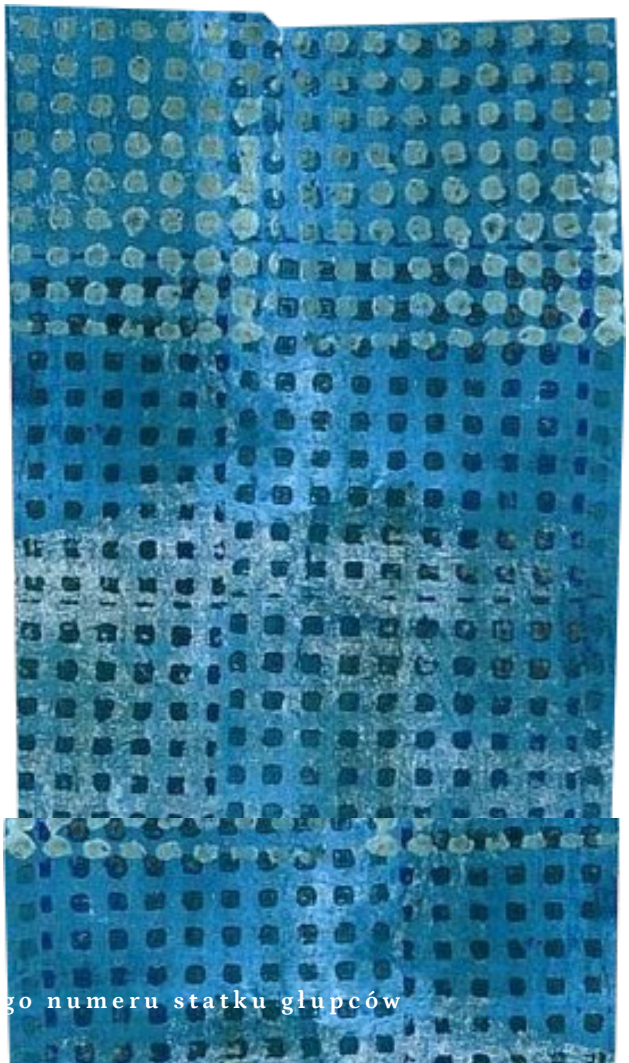

setek dusz. Ten nowoczesny Konrad nie tylko ma za zadanie być, ale również ogrzewać nimbem wielkości wszystkich potencjalnych kupców, tak, by nie tylko chcieli kupić, ale jeszcze wiralowo puścić selfiaczka. To już nie autor, a performer jest potrzebny i przyciągany. Sama jakość tekstów spada na znacznie dalsze pola, więc i czytelnik znajduje się w matni mierności.

(...) polska fantastyka staje się literaturą bez charakteru. (...) a przede wszystkim: wtórną myślowo. (...) przekleństwem fantastyki (podobnie jak kryminału, romansu, thrillera) jest (...) „zapętlenie" autorów, radosne ich dreptanie w miejscu: żadnej ewolucji, żadnego rozwoju, ambicji – tylko ente tomy cykli (...) Autor nie ściga się z sobą, nie próbuje przekroczyć swojej wyobraźni, popchnąć gatunek i w ogóle literaturę do przodu, dać czytelnikom coś, czego się nie spodziewali (...). Celem jest zadowolenie konsumentów literatury takich, jacy są.

3. Spojrzenie w przyszłość, czyli co robić

Dukaj w tym miejscu usiłował pokazać trendy i przewidzieć ich rozwój, czy wyszło? Oceńcie sami, ale warto to również przeanalizować, bo jest to dokument czasów minionych i świadectwo spojrzenia na przyszłość.

(...) sprzedaż literatury pięknej rośnie po kilka procent. Tworzy się nowa infrastruktura (...), rośnie też sprzedaż przez Internet. Książka jako towar przebija się do mass-mediów.

I jak na złość mamy ponownie spadek czytelnictwa. Księgarnie upadają albo stają się zakamuflowanymi sieciówkami. Co nie byłoby złe, gdyby nie tworzony przez to monopol, a ten nigdy nie był zdrowy dla rynku. Podniesienie vatu na książki nie pomogło nikomu, książka pojawia się w mediach, ale w większości w radiu, a i tam wyłącznie główny nurt. Jeśli mamy do czynienia z fantastyką, to tylko przez pryzmat wyśmiania, albo odejścia od tejże autora, gdzie wita się go jak syna marnotrawnego.

Geniusz zawsze się przebije, ale wydawnictwa nie będą już czuły tego zgoła przymusu, by szukać nowych, młodych polskich pisarzy (...).

Trudno powiedzieć, czy geniusz ma szansę się przebić. Na rynku mamy zalew taniej pulpy, która nie aspiruje do wielkości, ale skutecznie nakrywa falą innych. Przymusu nie ma wśród wydawców żadnego. Właściwie autorzy niemal piszą już wyłącznie dla samych autorów.

Musi powstać platforma dla rzetelnej krytyki literackiej polskiej fantastyki. (...) Publicystyka internetowa (fanowska) stanowi (...) antytezę takiej krytyki.

Platforma taka nie powstała, Internet nieco unormował sprawę, bo stał się medium dla małego grona specjalistów, ale wszelkie platformy zaczęły operować na kanwie „znajomi królika", co nie poprawiło jakości tekstów. Nagrody straciły prestiż, czasopisma niemal nie istnieją, a dziś zamiast krytyki liczą się rozmiary mięśni bądź dobre wyeksponowanie pary tkanki tłuszczowej. Próżnię zastąpiono gwiazdkami i zabawnymi filmikami, a przez brak edukacji nie można już mówić o potrzebie krytyki.

Żaden demoniczny mainstream nie wykrada nam wartościowych dzieł – fantastyka sama je wypiera. (...) W naszym najlepiej pojętym interesie jest więc skończyć ze zwyczajem wzajemnego poklepywania po plecach i pochwałami dla czytadeł do poduszki, byle nie nudnych i poprawnie napisanych. Co jest ważniejsze: dobro literatury czy dobre samopoczucie środowiska?

Nie zrobiliśmy tego wtedy, pewnie i dziś nam to nie wyjdzie. Właściwie wszyscy uciekli z powrotem do getta. Ruchy oddolne nie istnieją. Dopiero zorganizowana akcja i jasne ustalenie priorytetów i współpracy może tu pomóc, inaczej pochłonie nas YA, a my będziemy wszyscy gadać ze sobą przy jednym stoliku w kącie przy toaletach.

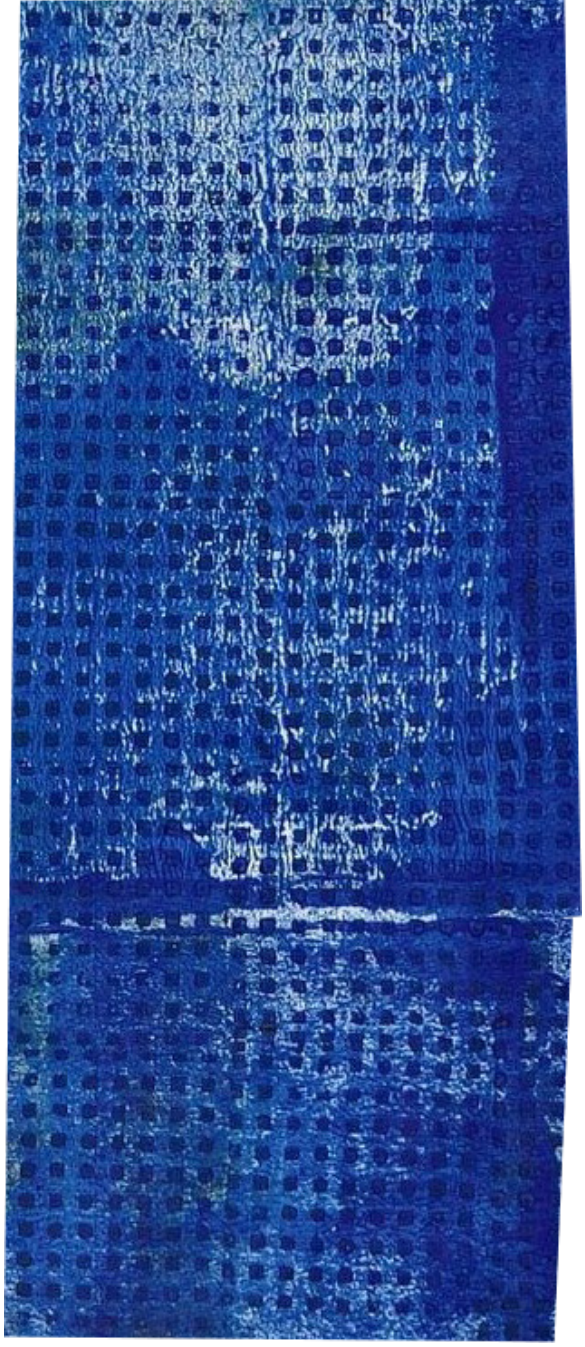

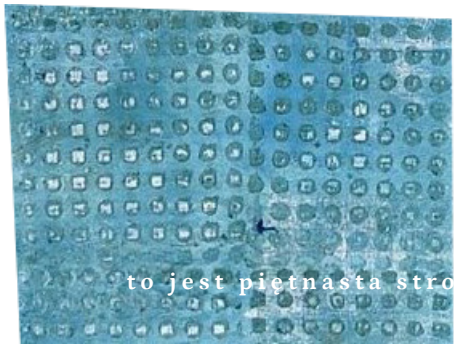

[1] *J. Dukaj, Krajobraz po zwycięstwie, czyli polska fantastyka AD 2006, „Nowa Fantastyka" nr 292 (2007-1), https://archive.ph/GQCDw#selection-327.0-327.57, dostęp: 29.04.2026 r.*

[2] *Seria Wymiary: prestiżowa kolekcja klasyki i współczesnej science fiction, ksiazki-fantasy.pl, https://ksiazki-fantasy.pl/seria-wymiary-prestizowa-kolekcja-klasyki-i-wspolczesnej-science-fiction/*

[3] *Czyli poświęcenie jakości fabuły na rzecz kolosalnie rozbudowanego światotwórstwa, które może ma rację bytu w grach, gdzie jest storytellingiem środowiskowym, zaś w książce podpadają pod rpgizację literatury.*

[4] *https://badloopus.pl/piec-grzechow-glownych-polskiego-horroru/*

NIEDOKOŃCZONE OPOWIEŚCI 2 – „MY OWN WORST ENEMY” („MÓJ ŚMIERTELNY WRÓG”)

PUBLICYSTYKA

SIRMINFO

Marcin uwielbia mówić „nie czytaj/nie oglądaj, nie spodoba ci się”. To już taki redakcyjny znak jakości. Oczywiście nam się podoba i oczywiście namawiamy go do opowiadania o kolejnych projektach, o których nie słyszał nikt, poza nim, twórcami i bandą ukrytych w piwnicach fanów. A Marcin ma nosa do ciekawych rzeczy. Zresztą, nie musicie mi wierzyć, możecie przeczytać poniższy tekst. Albo nie czytajcie, nie spodoba się Wam.

Oto Henry Spivey: ma domek na przedmieściach, kochającą żonę, dwójkę dzieci, przyjaciela Toma. Powoli zbliża się do czterdziestki. Zatrudniony w międzynarodowej korporacji, pracuje jako doradca finansowy i z racji swoich obowiązków często musi wyjeżdżać w delegacje. Jego nudne i uporządkowane życie nagle staje na głowie, gdy podczas jednej z takich podróży trafia w sam środek afery szpiegowskiej i zostaje wzięty za Edwarda Albrighta, agenta, który miał wykonać śmiertelnie niebezpieczną misję.

Edward to całkowite przeciwieństwo Henry’ego. Doskonale wyszkolony tajny agent, śmiertelnie niebezpieczny, ponadprzeciętnie inteligentny, wyrachowany i niesamowicie skuteczny. Psychopata i chodzący testosteron. Jego pełne akcji życie nieoczekiwanie komplikuje się jeszcze bardziej, gdy w środku niebezpiecznej misji nagle znika, a na jego miejscu pojawia się Henry.

Misja się sypie, zdezorientowany Henry wpada w ręce bandytów i gdy już ma się pożegnać z tym światem, zostaje uratowany przez innego agenta – Raymonda Cartera, partnera Edwarda. Problem w tym, że Raymond wygląda dokładnie jak Tom, kumpel Henry’ego. A jakby całego zamieszania było mało, informuje, że Henry powinien teraz spać, a nie przejmować kontrolę.

Okazuje się, że dziewiętnaście lat temu Edward przeszedł operację, która rozdzieliła jego świadomość na dwie niezależne osoby. Gdy nie musi ratować świata, wszczepiony w mózg specjalny mikrochip usypia go i przełącza na nieświadomego niczego Henry’ego. Przykrywka idealna! Do czasu niespodziewanej awarii...

Korporacja AJ Sun, dla której pracują Henry i Tom, to fasada mająca przykryć tajną rządową agencję szpiegowską JANUS, dla której z kolei pracują Edward i Raymond. Agenci JANUSa, gdy nie są potrzebni, prowadzą zwykłe nudne życie i nieświadomi swoich prawdziwych zadań, odwalają robotę papierkową w AJ Sun. Gdy dowództwo wysyła ich na misję, zostają wezwani do znajdującej się w podziemiach budynku kwatery głównej, gdzie technik zdalnie aktywuje chip, budząc znów agentów. Po skończonej akcji nieświadomej przykrywce wgrywa się fałszywe wspomnienia i wysyła do domu.

Przynajmniej w teorii, gdyż nieoczekiwana awaria zaczyna przełączać świadomość obu person w losowych momentach, przeważnie niestety w najgorszych możliwych.

Edward jest zbyt cennym agentem, aby mimo wszystko wyłączyć go z akcji, dlatego zapada decyzja, żeby w spisek wtajemniczyć także Henry’ego. Aby przeżyć, obaj muszą nauczyć się komunikować i współpracować, ale różnica charakterów i fakt, że mają swoje własne, wykluczające się cele, sprawia, że coraz częściej walczą ze sobą, próbując narzucić wolę jeden drugiemu.

W miarę jak na wierzch zaczynają wychodzić kolejne tajemnice, sprawa coraz bardziej się komplikuje i zatacza szersze kręgi. Walka Henry’ego z Edwardem nabiera brutalności, wypływają nieoczekiwane brudy, giną ludzie, nie wiadomo, kto kłamie, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Gdy w pewnym momencie pojawia się możliwość poznania kilku odpowiedzi, następuje nieoczekiwany cliffhanger – i koniec.

A później... Dobra, i tak za dużo zaspoilerowałem.

Pod koniec lat 80. i na początku 90. ubiegłego wieku, Chri-



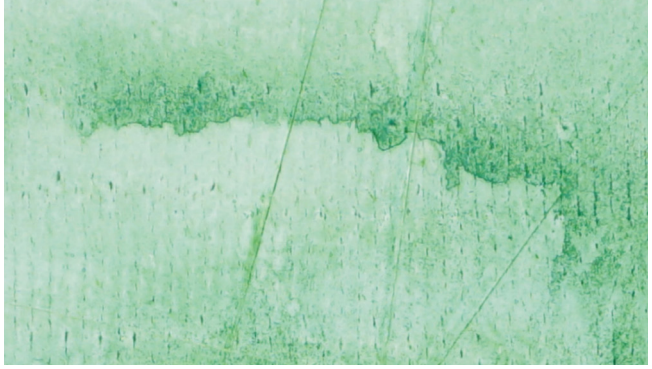

stian Slater był jednym z bardziej obiecujących młodych aktorów w Hollywood. Bożyszcze nastolatek, znany z takich przebojów jak „Więcej czadu", „Imię róży", „Wywiad z wampirem", „Prawdziwy romans" czy „Robin Hood: książę złodziei". Miał przed sobą świetlaną przyszłość. Niestety... sława, luksusowe życie, imprezy i trudny charakter to mieszanka wybuchowa. Prochy, problemy z prawem i napady agresji sprawiły, że jego kariera zaliczyła bolesny zjazd. Na szczęście po latach dał radę wyrwać się z uzależnienia i starał się odpokutować złe decyzje, powoli odbudowując wcześniejszą popularność. Jednym z przystanków, jakie zaliczył, zanim zgarnął Złotego Globa za „Mr Robot", była właśnie rola w „My own worst enemy". Był to zresztą pierwszy serial telewizyjny, w którym zagrał główną rolę. Jego występ kreujący podwójną postać pokazał, że ciągle jest naprawdę dobrym aktorem, chociaż biorąc pod uwagę reputację bad boya, można czasami się zastanowić, czy wcielając się w Edwarda, grał, czy po prostu był sobą z dawnych lat.

Mike O'Malley, który grał Toma/Raymonda, wcześniej znany raczej z ról komediowych i obyczajowych, był dla niektórych dziwnym wyborem do roli tajnego agenta, ale jak sam wspomina w wywiadzie, został wybrany właśnie dlatego, że kojarzył się ze zwykłym facetem z przedmieścia. Zresztą po anulowaniu serialu wrócił do podobnej roli w Glee, za którą dostał nominację do nagrody Emmy. U niego jeszcze mocniej widać ten kontrast, gdy zmieniał się w bezwzględnego profesjonalistę.

Jeśli czytając ten tekst, łapałeś się na tym, że motyw ze zmianą tożsamości przypomina książkę Roberta Louisa Stevensona, masz całkowitą rację. Autorzy nigdy się tego nie wypierali, dając nawet głównemu bohaterowi imiona po dr Jekyllu i panu Hyde. Zabawili się jedynie odwróceniem kolejności, bo tu psychopata zmienia się w szanowanego obywatela. Dodatkowo nazwa tajnej agencji, dla której pracuje Edward, nawiązuje do Janusa - rzymskiego boga, z dwiema twarzami, z których każda patrzy w inną stronę. Nazwa korporacji AJ Sun, to zresztą anagram słowa Janus.

Serial wystartował na NBC 13 października 2008 i przetrwał jedynie 9 odcinków. Co poszło nie tak? Kilka rzeczy, z czego największy wpływ miały prawdopodobnie niezrozumiałe decyzje włodarzy stacji. Produkcję zamówiono na podstawie wczesnego scenariusza do odcinka pilotażowego, który dosyć różnił się od tego, co ostatecznie nakręcono. Zlecono cały sezon, składający się z 13 odcinków, jednak po wyemitowaniu pierwszych czterech stacja nagle postanowiła wszystko anulować. W tym momencie było gotowych 9 odcinków, a przygotowywano się do dwóch kolejnych. Te 9 puszczono normalnie, tak jak zaplanowano, po czym nastąpił koniec.

„My own worst enemy" wbrew pozorom jest dosyć poważnym thrillerem szpiegowskim dla dorosłych. Budżet każdego odcinka oscylował w okolicach 3 milionów dolarów i to widać na ekranie. Drogie dekoracje, efektowne sceny akcji i egzotyczne miejsca nie przełożyły się jednak na wystarczają oglądalność. Szczególnie biorąc po uwagę dziwną porę nadawania.

Odcinki pojawiały się raz na tydzień, w poniedziałki o 22. W ten sam dzień na NBC o 20 leciał już inny serial o troszkę podobnej tematyce, bardziej komediowy i popularny „Chuck" – o pracowniku sklepu z elektroniką, który przez przypadek wgrywa sobie do mózgu tajną rządową bazę danych i zostaje zmuszony do zostania szpiegiem. Zaraz po nim o 21 leciał gigantyczny przebój „Heroes". Trzeci w kolejce już po prostu nie umiał wygenerować potrzebnej oglądalności. Dziś straszy jedynie w rzadko uczęszczanych archiwach, gdzie ukrywają się też inne niedokończone opowieści. Okaleczone przez los i pozbawione przyszłości, odchodzą w zapomnienie, porzucone, zanim mogły rozwinąć skrzydła.



RECENZJA **PRÓŻNIA GO SKONAŁA**

CZY KOT W SUPERPOZYCJI JEST SUPER?

NIESŁAWNY PAWEŁ MARCISZEWSKI

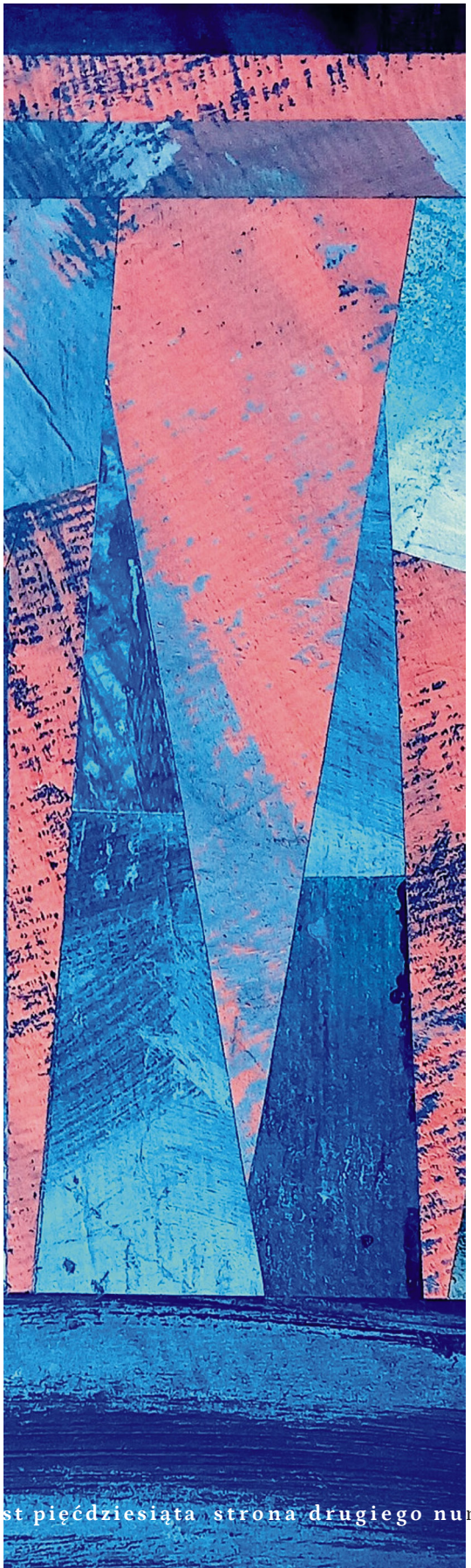

O tym, że chce być fizykiem, Paweł dowiedział się w okolicach trzydziestych urodzin, mniej więcej dwanaście lat po tym, jak porzucił wszelakie zainteresowanie nauką przedmiotów ścisłych i matematyki, co czyni go postacią cokolwiek tragiczną. Krzywdy rekompensuje sobie przez zachowania autoerotyczne oraz lekturę książek z pogranicza fizyki, które jeszcze jest w stanie zrozumieć, albowiem nie ma w nich wzorów i równań.

Tom Blythe, *Kot w superpozycji*, zapowiedź wydawnicza (*The Superpositioned Cat*, Londyn, 2025)

Wielkim jest dobrodziejstwem interdyscyplinarność różnych przejawów twórczej działalności człowieczej. Przenikanie się nauk ścisłych z humanistycznymi, wpływ rozmaitych dziedzin sztuki na nie i odwrócone oddziaływanie nauk na sztukę, rodzą doprawdy niespodziewane połączenia. Coraz popularniejsze i śmielsze sięganie do różnych dziedzin, ciągnięcie kilku srok za ogon, przynosi literackiemu światu wielość i świeżość, o jakich nie śniło się ani filozofom, ani fizykom, ani tym bardziej tym nieborakom, pisarzom. I – zdaje się – żadna książka nie robi tego zuchwalej niż „Kot w superpozycji" Toma Blythe'a, książka robiąca furorę na zachodzie, której polskie wydanie już niebawem trafi do księgarń.

Podobne mieszanki, nawet jeśli okazują się być zupełną plajtą na gruncie literackim, mają jeszcze drugą szansę na zaistnienie, a to za sprawą swej oryginalności, podboju ziem jeszcze niezdobytych. Tak jest też w przypadku omawianego dzisiaj Kota w superpozycji brytyjskiego pisarza-amatora i fizyka-amatora, który może i nie jest najlepszym fizykiem ani najzręczniejszym pisarzem, może i wykazuje szereg braków na polu wiedzy i talentu, ale z nawiązką nadrabia te braki zuchwałą, wręcz pionierską wizją. Jestem przekonany, że jego dzieło na stałe zapisze się – jako kuriozum – w dziejach literatury. Nie często przecież spotykamy się z połączeniem powieści, gry paragrafowej i idei czerpanych prosto z mechaniki kwantowej.

Zamysł jest taki: wziąć kota z eksperymentu myślowego Erwina Schrödingera i rozpocząć pisanie od dwóch akapitów. W pierwszym kot żyje, w drugim nie – i oba te stany, jak w rozważaniach austriackiego noblisty, są w narracji równoważne. Zatem dopóki czytelnik nie przeczyta danego akapitu, kot znajduje się w obu tych stanach jednocześnie, trwa w tytułowej superpozycji. Autor zachęca czytelnika, by o tym, który akapit przeczyta, a zatem o stanie kota, zamiast decyzji czytelnika, decydował rzut monetą, mający stanowić namiastkę kolapsu falowego. Trzeba przyznać, że to cokolwiek intrygujące i ciekawe rozwiązanie. Największym plusem i zarazem bolączką książki jest jednak to, że Blythe pozostał wierny tej mechanice na wszystkich, to jest niemal ośmiuset stronach jej długości!

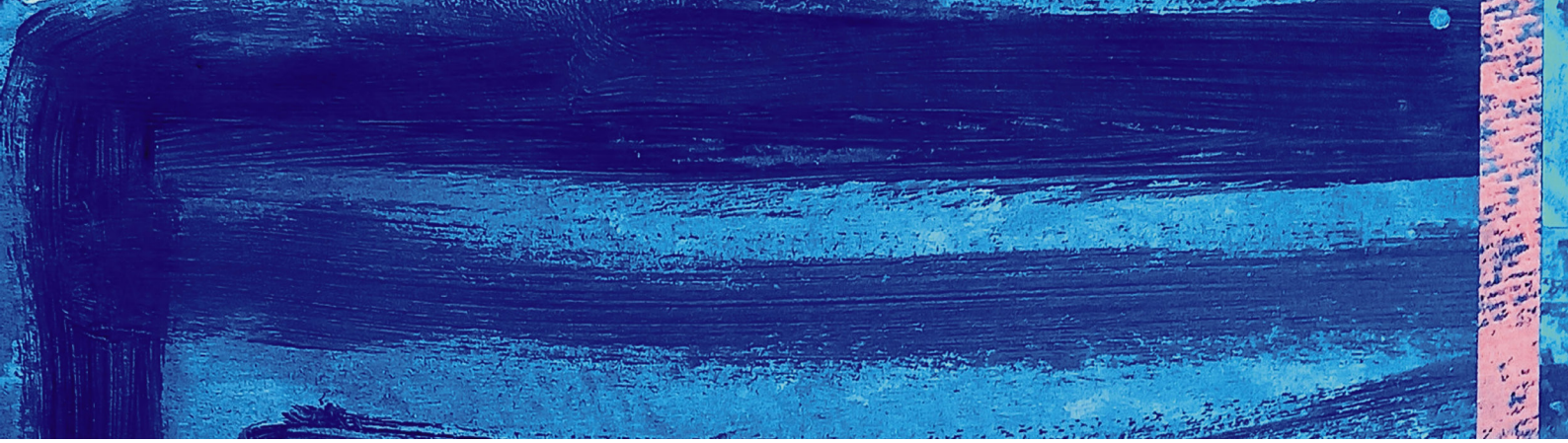

Czytelnik wybiera zatem jeden z dwu akapitów, a na końcu każdego z nich znajduje zapytanie o to, jaką decyzję podejmuje odnośnie akapitu kolejnego. Tak więc pierwszy akapit tej opowieści występuje w dwu wersjach, drugi krok prowadzi do wersji czterech. Na końcu każdej z nich czeka nas kolejna decyzja, zatem z czterech robi się osiem, z ośmiu szesnaście, trzydzieści dwie, sześćdziesiąt cztery, sto dwadzieścia osiem... i tak dalej, i tak dalej.

Ze względów wydawniczych Blythe musiał zatrzymać się już na dziesiątym kroku, ten akapit pojawił się aż w dwa tysiące czterdziestu ośmiu wersjach, tak, że cała historia objętościowo rozrosła się na wspomniane wcześniej osiemset stron. Gdyby autor zdecydował się dopisać do tej historii jeszcze jeden akapit, musiałby stworzyć cztery tysiące dziewięćdziesiąt sześć jego wariantów, co zmusiłoby wydawcę do publikowania książki w trzech lub czterech opasłych tomach!

Dostajemy w ręce książkę jednocześnie imponującą i rozczarowującą. Mimo monstrualnej objętości, zawarta w niej opowieść składa się tak naprawdę z dziesięciu kroków-akapitów, około pięćdziesięciu zdań, których lektura zajmie czytelnikowi nie więcej niż pięć minut (i to z uwzględnieniem czasu poświęconego na wyszukiwanie kolejnych porcji tekstu!). I oczywiście, można cofnąć się do początku i sprawdzić, co by się stało, gdyby kot eksperymentu nie przeżył, tytuł ma zatem wielki potencjał, jeśli chodzi o ponowne czytanie. A raczej miałby, gdyby nie pewne mankamenty.

Po pierwsze zdarza się autorowi gubić błyskotliwość i to już we wczesnych akapitach. Gdy, dla przykładu, łaskawie pozwolimy kotu żyć, będziemy mogli wybrać, gdzie kot udaje się po wyjściu z okrytego niesławą pudła – do kuchni, czy do salonu – i w obu przypadkach dostajemy co prawda dość wyczerpujący opis pomieszczeń (choć o piórze Blythe'a nie da się niestety powiedzieć, że jest finezyjne), ale koniec końców oba prowadzą do wskoczenia na parapet otwartego okna. Czytelnik podejmuje i w jednym, i w drugim przypadku decyzję o tym, czy kot ma wyjść na zewnątrz, czy też przejść się jeszcze po innych pomieszczeniach. Podobne sytuacje, w których swoboda wyboru jest zaledwie złudzeniem, pojawiają się niestety całkiem często.

Po drugie – i jest to chyba mój główny zarzut względem „Kota w superpozycji", zdaje się, że autor niezbyt precyzyjnie rozplanował całe przedsięwzięcie: całość zaczyna się leniwie i nigdzie nie spieszy, pierwsze trzy-cztery kroki-akapity skupiają się na opisie domu i tego, co kot znajduje za oknem, i dopiero w okolicach piątego-szóstego fragmentu, Blythe zdaje sobie sprawę z lawinowo rosnącej objętości swojego dzieła. Prowadzi to do dość smutnej sytuacji, w której refleksyjna część książki, w której autor chciał z pewnością poruszyć nieco głębsze treści wynikające z samego istnienia i nieistnienia, nie ma zwyczajnie miejsca na rozwinięcie skrzydeł, naglona jest bowiem dwoma ostatnimi akapitami, w których Brytyjczyk domyka historię. Z konieczności robi to w pośpiechu i niedbale, zdając sobie chyba sprawę z klęski, którą poniósł na gruncie narracyjnym. Stale powiększająca się ilość kolejnych akapitów sprawia, że książka posiada niebagatelną liczbę ponad dwu tysięcy zakończeń. To po prostu nie mogło skończyć się dobrze. Kolejne warianty powtarzają się w wielu szczegółach, niektóre wydają się być pisane jakby na kolanie, autor musiał się najwyraźniej spieszyć z zakończeniem.

Zatem literacko jest fatalnie, choć trzeba uczciwie przyznać, że sam pomysł był imponujący, a od czasu do czasu zdarzały się Blythe'owi bardzo ciekawe i intrygujące pomysły – na przykład jeśli na początku wybierzemy wariant z martwym kotem, cała książka okaże się bezprecedensowym tytułem otwierającym cały nowy gatunek kociej literatury eschatologicznej! Aż żal łapie za serce, jeśli pomyśleć jak fascynującą opowieść mogliśmy dostać w nasze ręce! Tymczasem jednak nieznośny wymóg objętościowy sprawił, że kocie życie pozagrobowe opowiedziane jest w pośpiechu i bez rozmachu, jakiego spodziewać moglibyśmy się po zaświatowych krainach.

Czy „Kot w superpozycji" to jednoznaczna klęska kwantowej beletrystyki? Głosy są podzielone – choć zachodni krytycy nie zostawiają na tytule suchej nitki, ten, za sprawą swojej oryginalności, sprzedaje się za granicą w wielkich nakładach. W mediach społecznościowych krążą plotki o wykupieniu praw do ekranizacji książki przez jeden ze znanych portali streamingowych. Zdaje się zatem, że o wszystkim koniec końców decydują czytelnicy. Pozostaje nam czekać na zaplanowaną pod koniec sierpnia polską premierę. Książka łączy odbiorców na co dzień cokolwiek odległych – z ciekawością przygląda mu się zarówno środowisko naukowe, jak i fani kotów: na anglojęzycznych forach dla miłośników zwierząt aż wrze! Czy uśmiercanie kota już w pierwszym akapicie jest moralne?, pytają obrońcy praw zwierząt. Ale jakież uśmiercanie, przecież kot żyje i ma się dobrze!, krzyczą oponenci.

Najważniejsze jednak jest to, że autor się nie poddaje – na końcu książki znajduje się bowiem wiele obiecujący (a może raczej: odgrażający się) napis: CIĄG DALSZY NASTĄPI. Nastąpi i wszystko wskazuje na to, że będzie jeszcze bardziej przełomowy. W jednym z angielskich podcastów popularnonaukowych, podczas rozmowy o drugiej części „Kota w superpozycji", zapytany o to, które z zakończeń jest kanoniczne i stanie się punktem wyjścia dla kolejnej książki, Blythe ze śmiechem odpowiada: KAŻDE! Po czym wyjaśnia, że to wcale nie żart i absolutnie poważnie planuje wydanie 2048 różnych wersji drugiej części Kota, tak, że każde zakończenie otrzyma swoją kontynuację. Odpowiada twierdząco także zapytany o to, czy drugi tom będzie trzymał się zasad części pierwszej.

Dochodzimy zatem do absurdalnej sytuacji, w której każda z 2048 książek otrzyma 2048 zakończeń, łącznie daje to absurdalną liczbę niemal czterech milionów i dwustu tysięcy różnych historii opowiedzianych przez Toma Blythe'a w zaledwie dwu tomach swojej powieści o pewnym kocie, żywym i martwym jednocześnie. Autor przebąkuje w dodatku, że chciałby wydać całą trylogię „Kota w superpozycji". Zapytany o to, jak to możliwe, odpowiada, że współpracuje ze sztuczną inteligencją, która na bieżąco wariantuje każde z rozwinięć, nad których ostatecznym kształtem czuwa autor. Współpraca z AI być może wzbudza duże kontrowersje, ale znacznie przyspiesza prace, autor stwierdza, że przy obecnym tempie pracy i uwzględnieniu przerw na sen i higienę, powinien skończyć w późnych latach siedemdziesiątych XXI wieku, będzie wówczas po osiemdziesiątce, wykazuje się jednak niegasnącym entuzjazmem.

Podsumowując – mimo, że „Kot w superpozycji" Toma Blythe'a jest książką fatalną, to paradoksalnie zachęcam do sprawdzenia jej, nabycia, umieszczenia w swoim zbiorze. To jest jedno z najciekawszych, a może i najciekawsze, z pewnością jednak najbardziej kuriozalne wydarzenie w światowej literaturze, z jakim się spotkałem, odkąd żyję! Zwłaszcza jeśli autorowi uda się spełnić swoje karkołomne zapowiedzi! Bez względu na to, czy planujecie tę książkę przeczytać, czy nie, postawcie ją na swojej półce, gdy tylko pojawi się polskie wydanie – tu się dzieje historia – niektórymi rzeczami nie trzeba się cieszyć, niektóre rzeczy trzeba przeżyć, być w odpowiednim miejscu i czasie!

GALERIA POD POKŁADEM

NIESŁAWNY PAWEŁ MARCISZEWSKI PAWEŁ ARMATA

Tutaj jest tekst o Pawle Armacie, moim przyjacielu, Naszym Człowieku na Wschodzie (to oficjalny tytuł nadany przez galerię Operis.Artis). Paweł zgodził się użyczyć swoich prac, dzięki czemu w Wasze rączki oddajemy magazyn nie tylko ciekawy, ale także piękny (piszę te słowa, mając już za sobą większą część składu, wiem zatem, co piszę).

Niesłychanie ważną rzeczą w twórczości Pawła jest pewna wielowarstwowość, która przejawia się w każdym aspekcie jego działań. Kolejne warstwy, drugie, trzecie, czwarte dno. W któreś z minionych wakacji taka scena: siedzimy u Pawła w ogrodzie, wokół zieleń, w oddali słońce zachodzi nad pofałdowanym Podkarpaciem. Siedzimy, wino się leje, psy gonią się wokół, śmiejemy się, śpiewamy i w pewnej chwili zapada cisza. Patrzymy na kolejne warstwy zmiętej w pagórki ziemi i Paweł mówi: no to wiesz już skąd się bierze to moje tworzenie, no nie? No tak, myślę sobie.

Warstwy, warstwy, warstwy – prace, którymi wypełniłem drugi numer Statku pochodzą z kolejnych cyklów FASTRYG – papierowej odnogi Panaarmatnich działań. A Fastrygi to przede wszystkim przetrawiony, przemielony i przeżyty podkarpacki krajobraz. Ile takich zachodów trzeba było zobaczyć, ile razy wejść na górę, ile razy zejść na dół, ile razy zliczyć drzewa po drodze, kto to wie? Gdy człowiek żyje, to gdziekolwiek by nie żył, nasiąka otaczającymi go rytmami, świat wokół niego odkłada się w nim jak słoje w drzewie. I jeśli taki człowiek potem tworzy, to ręka mu w rytm tych rytów chodzi i nawet jeśli sam chce opowiadać o czymś innym, to te rytmy mówią same, mieszkają między słowami.

A co mieszka między wszystkimi tymi kreskami, kropkami, plamami? Jest tu jakaś prawda o tym, że to, co jest, już kiedyś było i znowu kiedyś będzie. Warstwa odłoży się na warstwie i wróci prędzej czy później – ta obsesja rytmów i powrotów

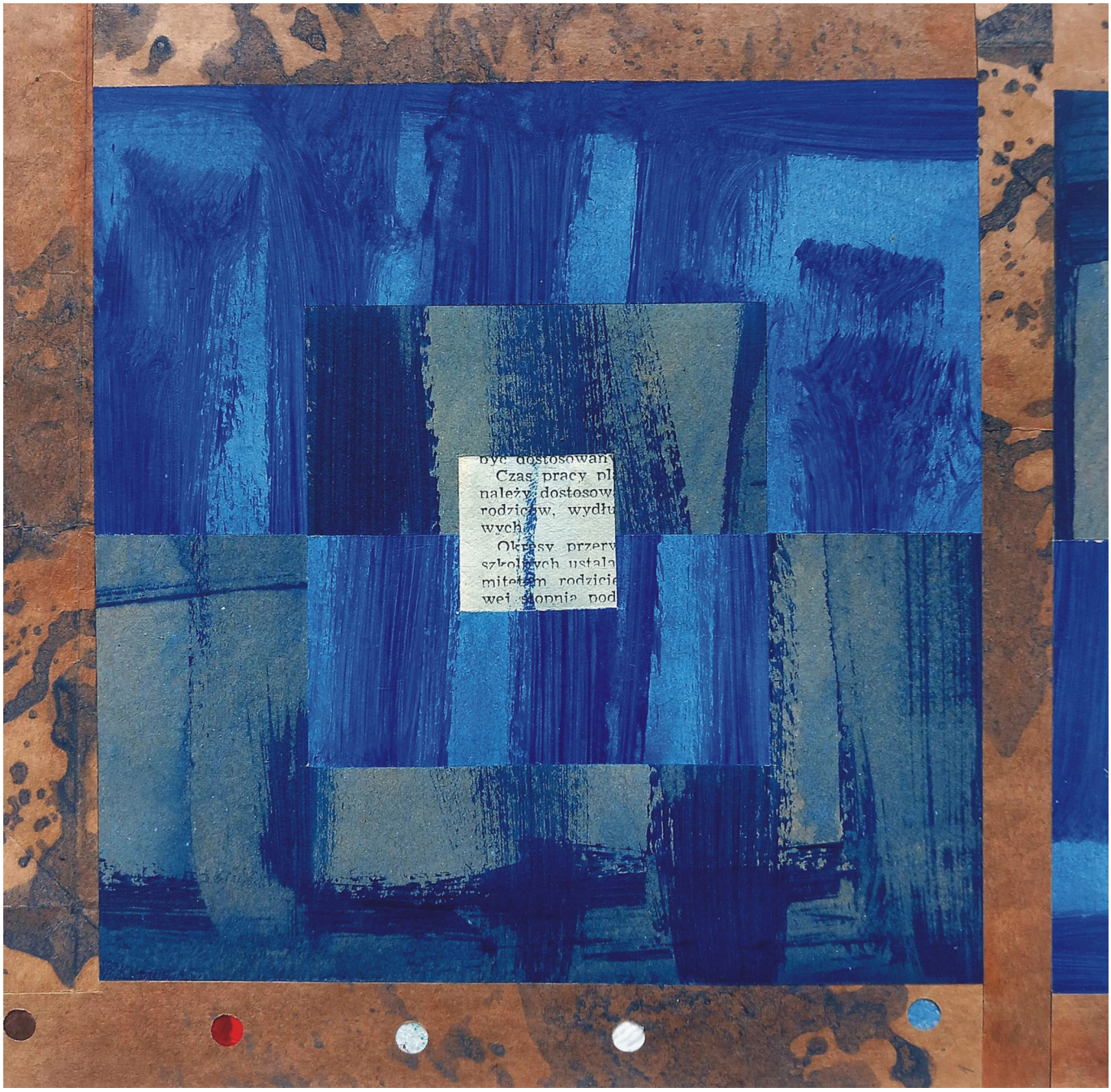

dźwięczy tutaj niesłychanie – tym głośniej, że wybrzmiewa w samej formie. Paweł używa papieru mającego już historię, stare notatniki, podręczniki, papier używany w życiu codziennym. Barwiony, składany w całość, plamiony, naznaczany szeregiem pieczęci, potem cięty i składany w nową całość, nowe opowieści. Starsze prace Paweł zwykł oprawiać w szkło znalezione w rowach z wyrzucanych okien, a drewno (bo i w drewnie tworzy) odzyskiwać ze starych płotów, z rozbieranych chałup, tak żeby to, co żyło, znów mogło żyć i dźwięczeć!

Kolejna warstwa – Paweł na co dzień jest nauczycielem, uczy w szkole specjalnej i wiele technik twórczych, które wykorzystuje w działalności artystycznej, znajduje właśnie tam. Powtarzające się jak nieskończone zwrotki i refreny jakiejś pozbawionej słów pieśni kropki i kreski, setki, jeśli nie tysiące odbijanych stempli i plam mają swoje korzenie właśnie w tej codziennej pracy pedagogicznej, tam, na którychś zajęciach FASTRYGI, po prostu do Pawła przyszły, wyobrażam sobie to jako nagłe olśnienie, nagłe wybrzmienie wszystkich tych zbierających się od lat rytmów, zachodzących słońc, słojów kładących się wokół pni drzew.

Jest w tym jakaś misja, jakaś próba ocalania, powrotów do tego, co było i sobie poszło. Jakaś czułość nad prostą materią, na której świat pozostawia kolejne warstwy, może gdzieś tam, pod spodem rodzą się perły, kto je tam wie. Stare kawałki drewna, stare skrawki papieru, pocięte, zabarwione i poskładane na nowo w nowy kształt, znów mówią, jeśli będziemy tylko uważnie patrzeć, może okazać się, że był tu ktoś przed nami, że ktoś zostawił na nich ślady, jak te plamy w jaskiniach, odciśnięte dłonie, woły biegnące po niebie, czarne kreski oszczepów, te same historie, które opowiadamy do dziś, podmieniamy jedynie rekwizyty. Słońce idzie do góry, słońce idzie na dół, nie masz niczego nowego na świecie.

Ale jednocześnie wszystko jest nowe i wciąż inne, niespodziewane, pełne zdziwienia, zachwytu i radości. I te rzeczy też są w tych pracach. Gdy drzewo rośnie, wcale nie zastanawia się nad wszystkimi drzewami, które rosły przed nim, ono robi to po raz pierwszy, po raz pierwszy wydarzają się wszystkie sprawy wróbli i wiewiórek mieszkających w jego gałęziach, po raz pierwszy czuje rytmy, które czuły już wszystkie drzewa przed nim.

Może i nas czeka jakie dobro, kto to może wiedzieć.

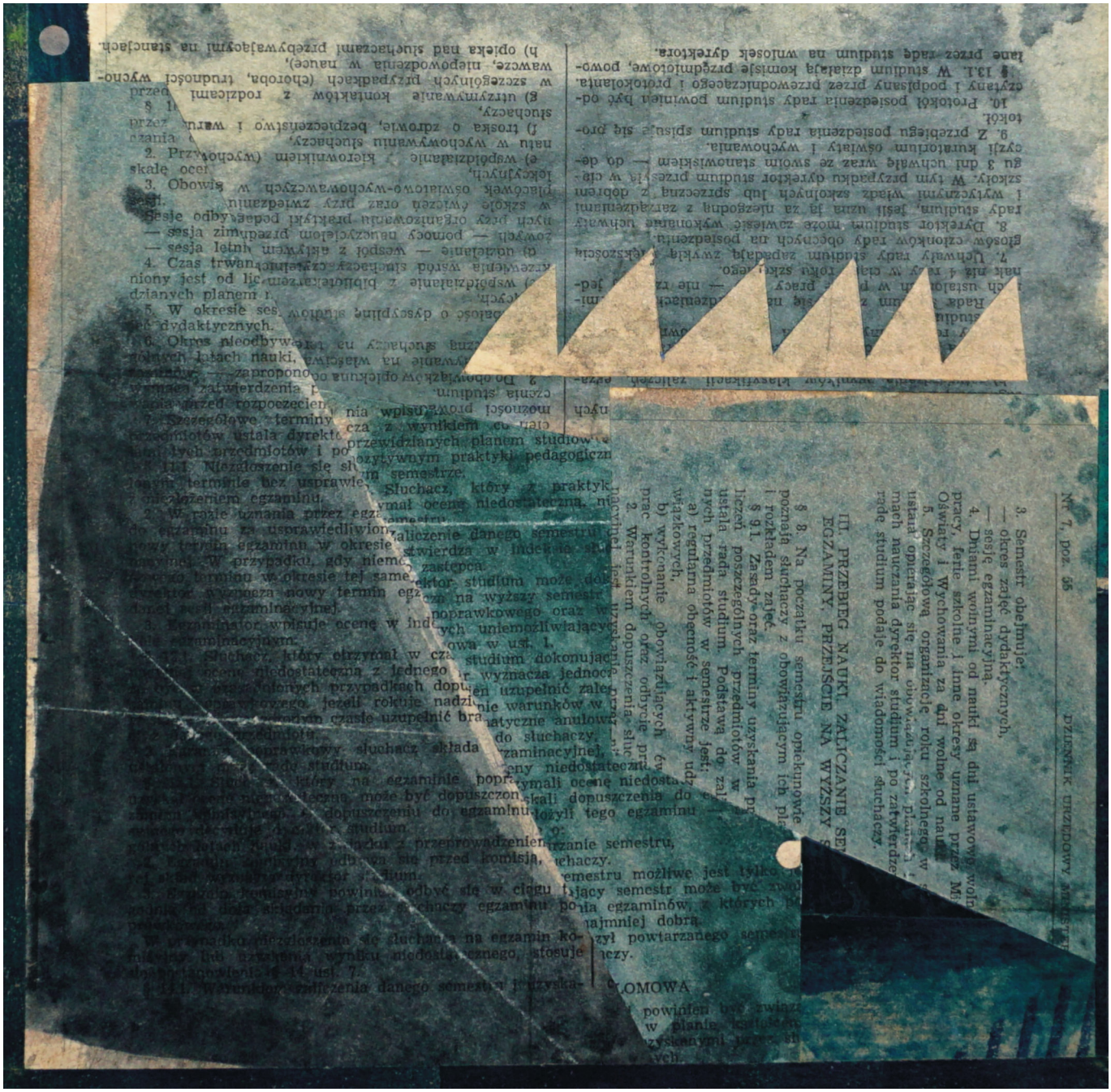

to jest pięćdziesiąta trzecia strona drugiego numeru statku głupców

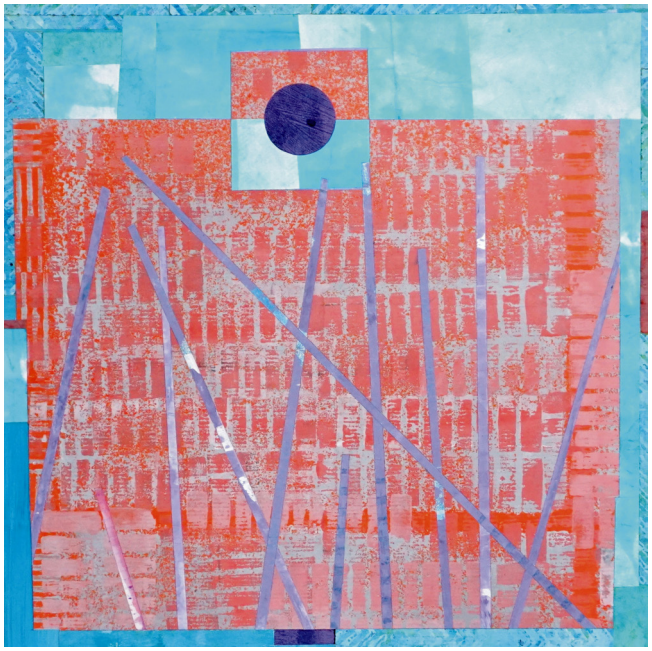

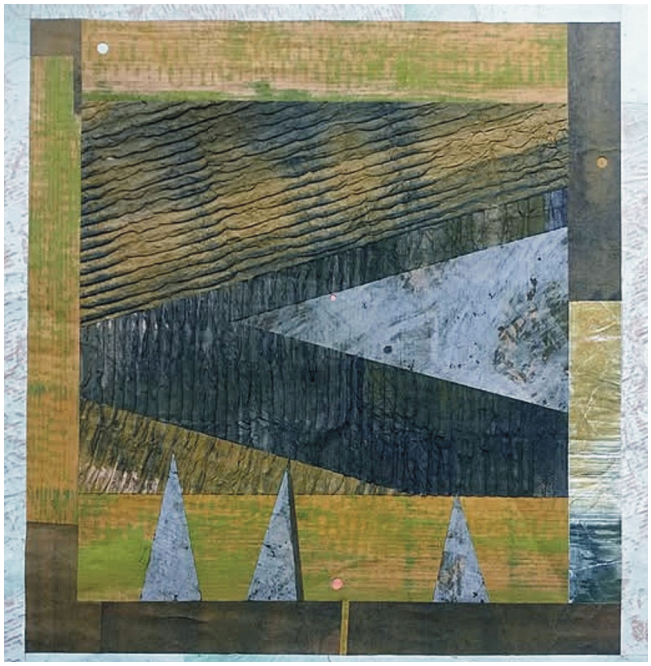

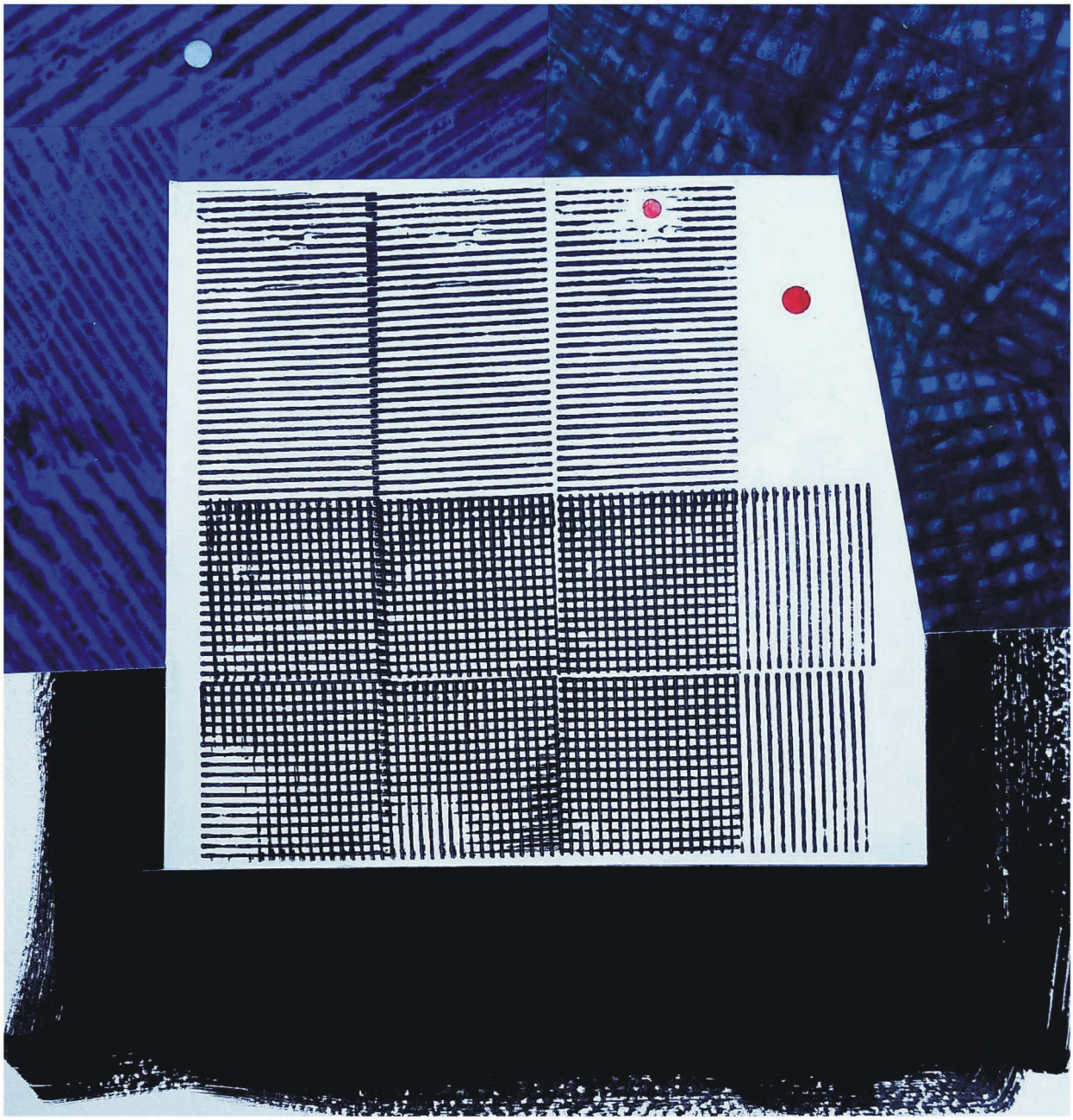

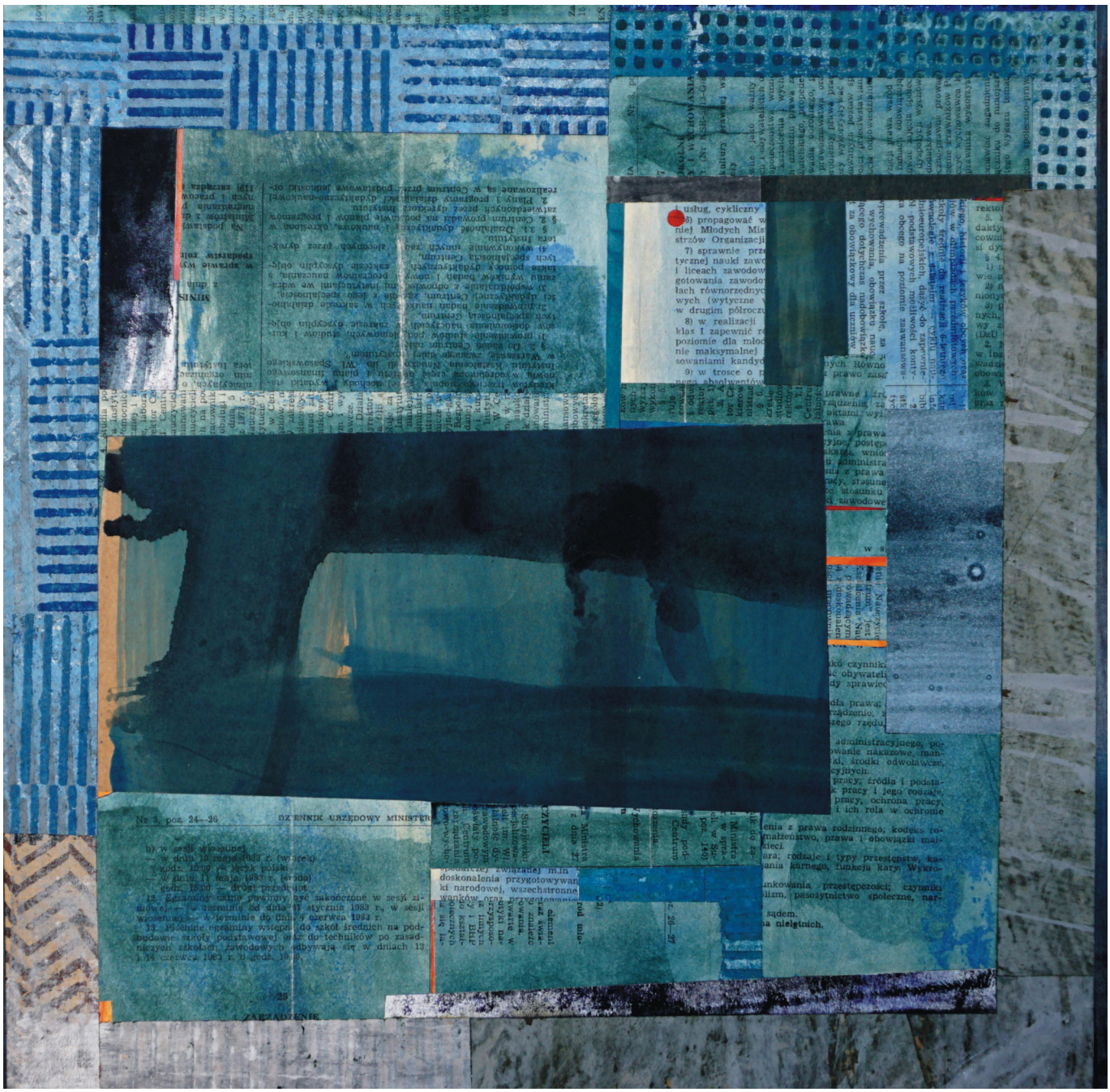





to jest pięćdziesiąta piąta strona drugiego numeru statku głupców

GALERIA POD POKŁADEM

MACIEJ KLIMEK MACIEJ KLIMEK KRZYK I WYZWOLENIE

Maciej, rocznik 96. Oddany syn mroku i ciemności, niespokojna dusza, odnajdująca chwilowy spokój w horrorach. Murarz, tynkarz i akrobata w środowisku grozy. Gość, który prawdopodobnie ukradnie ci czaszkę z trumny i wstawi na regał.

Za dnia recenzent znany jako „W Witrynach Horroru", nocą grafik – ilustrator tworzący pod pseudonimem „Klimkovitz". W wolnym czasie twórca nadnaturalnych tekstyliów, oferowanych w najstraszniejszym Domu Mody Klimkovitz. Jego wybrane grafiki możecie podziwiać w książkach Lingua Mortis, Dom Horroru, Wydawnictwie IX, Wydawnictwie Horror na Uboczu oraz szeregu podziemnych zinów i czasopism. Ma na koncie debiut graficzny pt. „Księga Krzyku" z Ars Diavoli.

Stoję przed sobą samym, pozbawiony masek narzucanych przez społeczeństwo, zastanawiając się, jak ubrać w słowa swoje grafiki. Jak przekonwertować uczucia, które mną kierowały podczas tworzenia, i jak wyrazić to, co chciałem nimi przekazać.

Na pierwszy rzut oka ta sekwencja jest prosta: fotomontaż, kolaż miejsc i zdarzeń, odpowiednia pora dnia lub nocy – ukryta w pikselach i kilku darmowych filtrach. Jednak, jak to w życiu bywa, to tylko iluzja. Fasada kryjąca prawdziwą egzystencję, zbutwiała trumna wyciągnięta z ziemi, symbolizująca ostateczny upadek wizji zmartwychwstania. Programy służą masom do retuszowania ciała, uwydatniania piękna, podczas gdy ja chcę dotrzeć do wewnętrznego krzyku: agonii rzeczywistości, w której zdzieramy gardło od momentu narodzin, piekła życia, na które zostaliśmy skazani wbrew własnej woli. Dzieci to wiedzą, lecz z biegiem czasu wyciszają swój krzyk, przykładając do twarzy kolejne warstwy skórzanych masek.

Co pełznie po ścianach pikseli w momencie, gdy waszą uwagę skutecznie pochłania kolejny wrzask duszy? Ktoś, kto kurczowo trzyma się życia, rozmyślając jak dotrwać do sędziwego wieku, zapewne zobaczy zwykły kolor, celowo ciemniejszy, żeby ukryć niedociągnięcia. Co innego odbiorca, który nigdy w pełni nie kroczył ścieżkami żyjących. W mroku dostrzeże nie tylko czerń, symbolizującą odwieczną pustkę, lecz także pełzającą nicość. Oczywiście traktuję czerń jako dominujący kolor moich grafik, jednak biel wcale nie jest jej przeciwieństwem. Jest jej uzupełnieniem. Nie poznamy czerni, nie poznając całej palety barw.

Po co zatem krzyczeć? Czy nie można się jedynie szyderczo uśmiechać na poronioną egzystencję będącą błędem wszechświata? Z pewnością można. Lecz uśmiech, nawet ten szyderczy, nigdy nie zastąpi starego sprawdzonego krzyku. Krzyczymy, kiedy coś nas boli i uwiera. Krzyczymy, kiedy się rodzimy. Krzyczymy, gdy już nikt nie słucha i nie ma innego rozwiązania.

W moich pracach bardzo często portretuję manekiny i kukiełki – zarówno te należące do brzuchomówców, jak i lalkarzy sterujących nimi za pomocą niewidocznych nici. Są moimi wiernymi modelami, ponieważ głęboko wierzę, że jako gatunek jesteśmy jedynie pustą skorupą, fragmentem materii wprawianej w ruch na czas spektaklu prowadzonego przez wielkiego lalkarza.

Mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy, dlatego dbam o to, by moje były puste. Chcę, żeby odbiorca był świadomy tego, że nie ma i nigdy nie było niczego, oprócz nas i towarzyszących nam cieni.

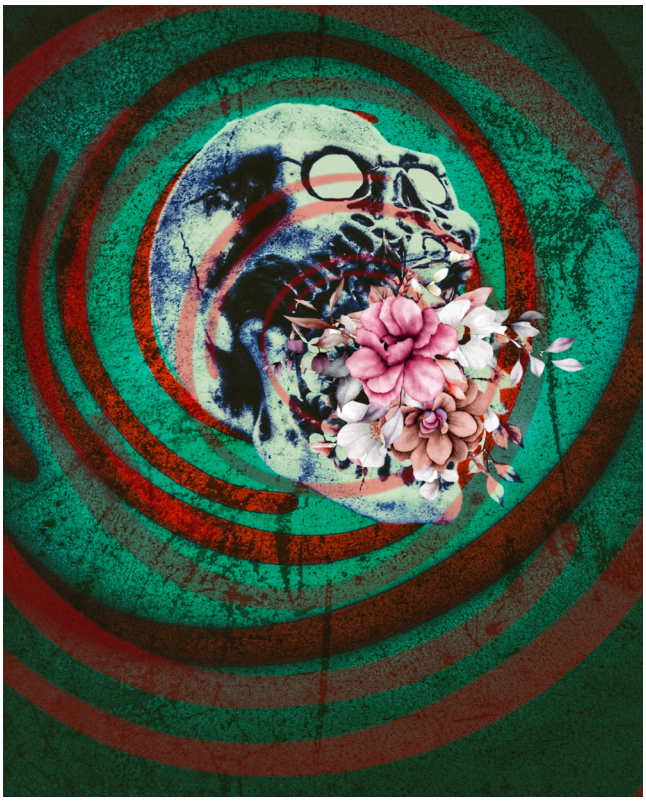



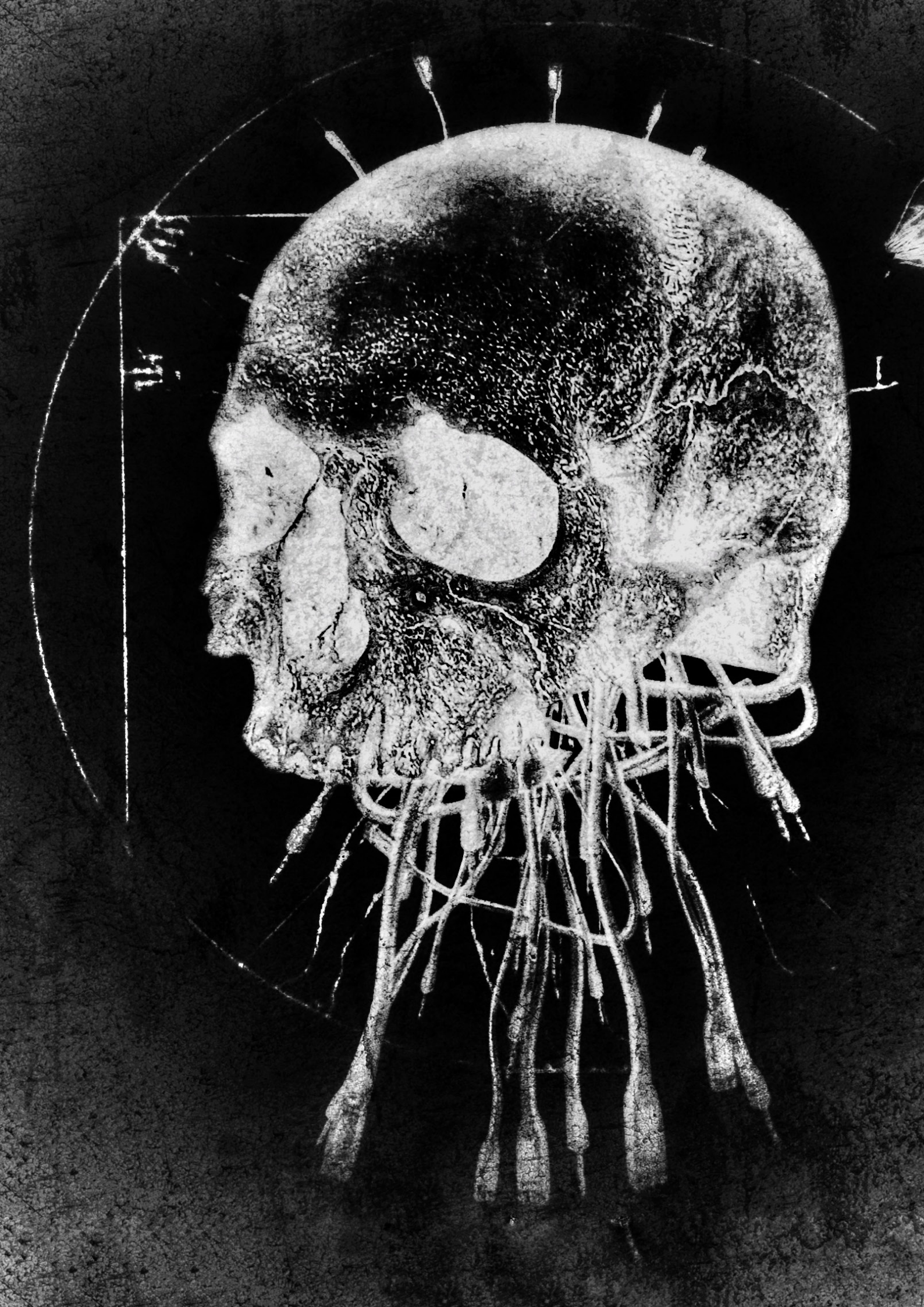



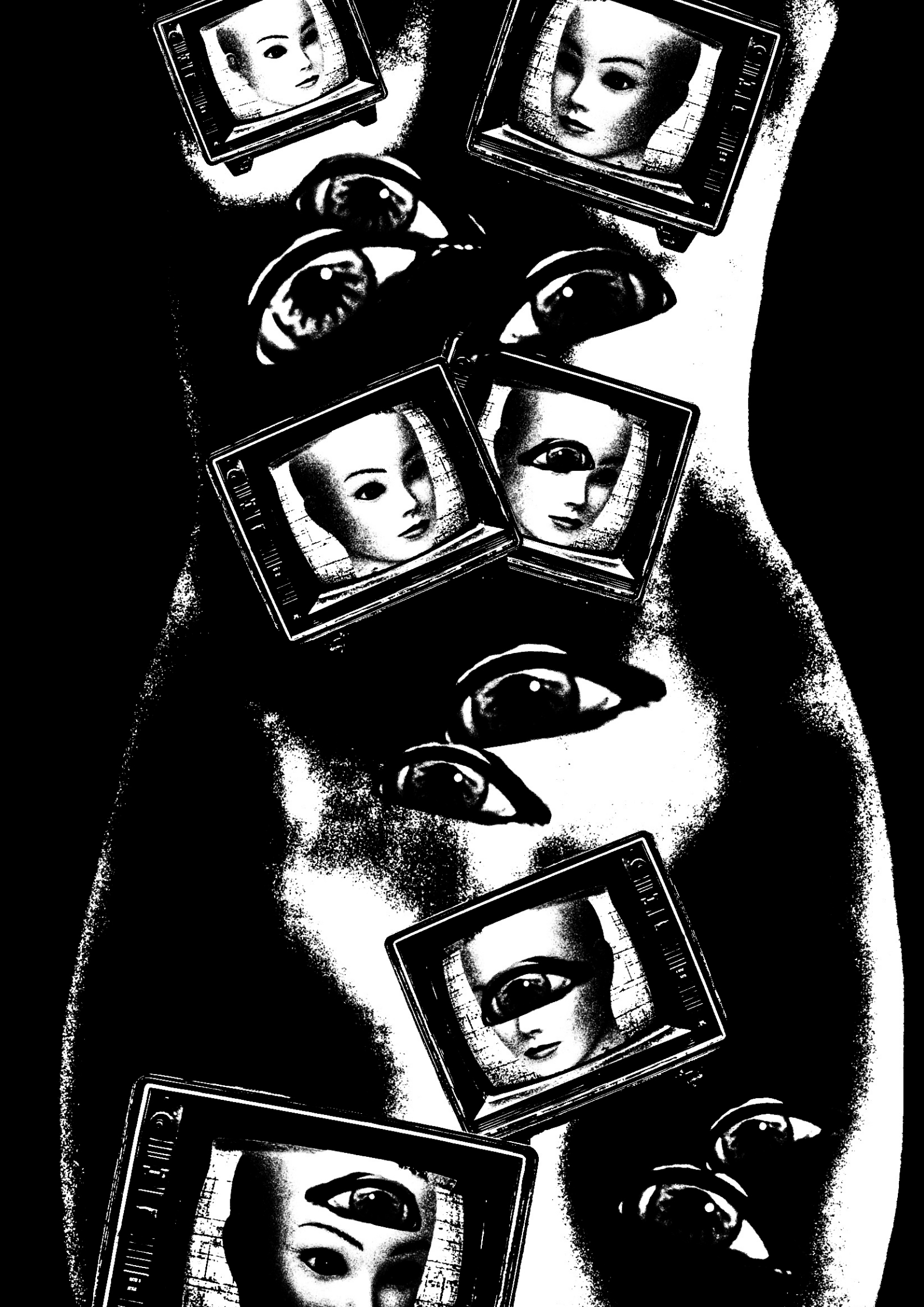

MATEUSZ SZŁAPKA **KBKS**

KOMIKS

KOMIKSOWY BLOK KRÓTKICH SPOSTRZEŻEŃ

Wicenaczelny, chociaż zawodowo pisuje raczej teksty długie (żeby nie powiedzieć: rozwlekłe), udowadnia, że potrafi też kompresować, wyciągać myśl przewodnią i mówić wprost. Przydatna umiejętność. Non Stop Comics oraz Shock Comics! dostarczyły mu materiału do pracy.



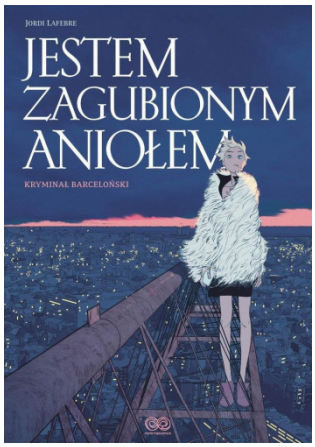

Autor: Jordi Lafebre
Tytuł: Jestem Zagubionym Aniołem
Wydawnictwo: Non Stop Comics
Data wydania: 2026
Tłumaczenie: Jakub Syty

Choć napisany bardzo lekko, narysowany kolorowo i w sposób bardzo „młodzieżowy", opowiada poważną historię i przedstawia istotne tematy. Eva, lekarz-psychiatra, hobbistycznie prowadzi śledztwa. Relacjonuje psychiatrze, doktorowi Llulli, swoje przygody z faszystami, prostytutkami, policjantami z obyczajówki, celem wyjaśnienia, dlaczego połączono ją z niedawno odnalezionym, zabetonowanym do połowy ciałem skinheada. W poszukiwaniach i dociekaniach towarzyszą jej trzy osobliwości – dwie starsze i jedna młoda pani, przodkinie głównej bohaterki. Odziedziczyła je po matce, która – tak swoją drogą – przebywa w Szpitalu Psychiatrycznym.

Wciągnąłem się na całego. Początkowo rysunki do mnie nie przemawiały, ale z biegiem kolejnym stron wszystko zaczęło się zbierać w jedną, spójną całość. Mimo ciężaru gatunkowego, historia nie przytłaczała, momentami nabierała nawet wydźwięku komediowego. Jestem ciekaw, czy przygody Evy będą dalej kontynuowane? Zobaczymy.

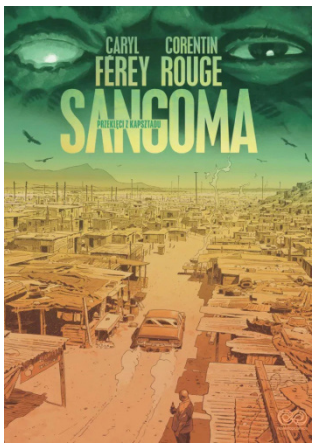

Autor: Caryl Férey, Corentin Rouge
Tytuł: Sangoma. Przeklęci z Kapsztadu.
Wydawnictwo: Non Stop Comics
Data wydania: 2026
Tłumaczenie: Paweł Łapiński

Po upadku Apartheidu biali osadnicy są niepożądani w kraju. Nie ma zresztą czemu się dziwić, dyskryminacja rasowa w Południowej Afryce sięga początków osadnictwa białych. Afrykanerzy, pozbawieni swoich przywilejów, próbują za wszelką cenę utrzymać się na zajmowanych przez pokolenia posiadłościach, wbrew wiejącym wiatrom zmian. Dochodzi do reformy – ziemia ma zostać poddana redystrybucji, przede wszystkim pomiędzy czarnoskórych wykonujących niewolniczą pracę w tych majątkach. To staje się tłem dla zabarwionej kryminalnie opowieści, snutej przez Fereya i Rouge.

Autorzy stworzyli przekonującą historię, od której nie sposób się oderwać. Cortentin Rogue po raz kolejny wzniósł się na wyżyny swoich umiejętności i narysował komiks wyróżniający się wysokim poziomem artystycznym.

Można trochę ponarzekać na mało wyrazistych, nieangażujących bohaterów (w zasadzie nie potrafiłem wskazać, po której stronie się opowiadam, nie sympatyzowałem z żadną z postaci), ale w ogólnym rozrachunku to sprawa zupełnie poboczna. „Sangoma" to świetny komiks. Jeżeli zachwycił was „Islander" i czekacie na drugi tom, warto po niego sięgnąć.



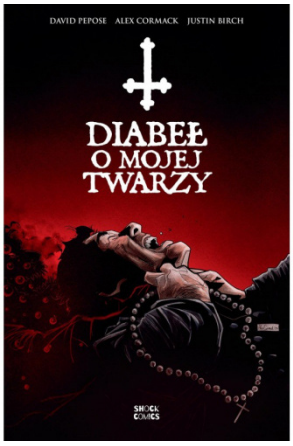

Autor: David Pepose, Alex Cormack, Justin Birch
Tytuł: Diabeł o mojej twarzy
Wydawnictwo: Shock Comics!
Data wydania: 2025
Tłumaczenie: Paulina Braiter

Historia ojca Franco Vieriego, watykańskiego egzorcysty, który w 1740 roku udaje się wypędzić diabła z syna bogatego hiszpańskiego markiza, wciąga od pierwszych stron. Jest brutalnie, mrocznie, przerażająco i obrazoburczo. Wyobraźcie sobie „Hell Awaits" Slayera, ale wrzucone w klimaty XVIII wieku, i będziecie mieli przed oczami ten komiks. Demon Legion postanawia nie tylko opętać samego ojczulka, lecz także dokonuje masakry kardynałów, krzyżuje papieża i wynosi swoją personę, ubraną w sutannę, na Tron Piotrowy. Czy to przesada? Może. Ale ja, jako odwieczny i konserwatywny metaluch, lubię takie przesady.

Raz rysunki odpychały swoją sztucznością i nie trafiały do mnie, a chwilę później mroziły krew w żyłach. Prowadzoną raczej w zamkniętym i hermetycznym świecie akcję da się śledzić bez większych problemów; rozwija się wartko, a jednocześnie nie sprawia wrażenia rozdmuchanej i przesadzonej. Miałem dużą satysfakcję z tej lektury, mimo utyskiwań na dość nierówną część graficzną całego projektu.

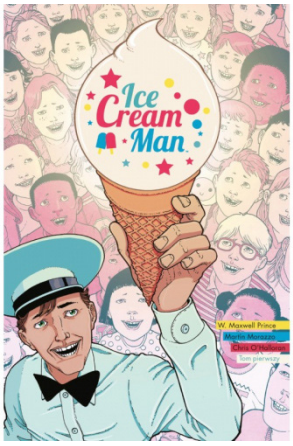

Autor: W. Maxwell Prince, Martin Morrazzo, Chris O'Halloran
Tytuł: Ice Cream Man t. 1 i 2
Wydawnictwo: Shock Comics
Data wydania: t.1 – 2025, t. 2 – 2026.
Tłumaczenie: Paweł Bulski

Wyobraźcie sobie komiks, w stylu serialu z lat 90., z plotem opartym o mrocznego lodziarza, który nawiedza małą miejscowość gdzieś w USA i powoduje, że ludzie zaczynają odwalać naprawdę dziwne rzeczy. Już? No, to teraz sięgnijcie po „Ice Cream Mana" od Shock Comics. Ciche i senne miasteczko a w nim on, Lodziarz Rick; dla jednych miły, dla innych groźny, dla wszystkich – wróg. To dość ciekawa seria komiksowa, ponieważ poszczególne zeszyty, zebrane w dwa tomy, stanowią de facto odrębne historie, fabularnie luźno spięte postacią Lodziarza, a później jego nemesis – Caleba.

„Ice Cream Man" jest specyficznym komiksem; nie każdemu przypadnie do gustu. Nieliniowa fabuła chwilami sprawia wrażenie, jakby wiodła donikąd – nic bardziej mylnego. Gdy tylko pojawia się postać rewolwerowca Caleba, zaczynamy rozumieć, że to coś na wzór westernowego pojedynku.

Od strony rysunkowej wszystko stoi na dobrym, chociaż nieco "bajkowym" poziomie, który zmienia się w zależności od okoliczności.

W ramach ciekawostki: 7 sierpnia będzie miała premierę ekranizacja tej pozycji. Mam nadzieję, że podbije popularność tej serii w Polsce.

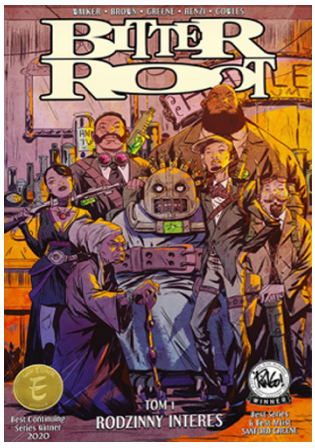

Autor: Chuck Brown, David F. Walker, Sanford Greene
Tytuł: Bitter Root t. 1
Wydawnictwo: Shock Comics
Data wydania: 2025
Tłumaczenie: Paweł Bulski

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to opowieść o rodzinie walczącej z demonami i potworami, które pojawiają się znikąd. No właśnie – na pierwszy rzut oka. Nagle docieramy do drugiego dna i okazuje się, że nie o potwory tu chodzi. Albo inaczej: o potwory, ale nie do końca wyimaginowane. „Bitter Root" to komiks, który może wydawać się napędzany historiami rodem z „Hellboya". Rodzina Sangery nie jest zwyczajną rodziną – walczą z potworami, ale głównie za pomocą leczenia. Co leczą, zapytacie? Akcja dzieje się w latach 20. w USA. Jest Ku Klux Klan, mamy wspomniane wydarzenia w Tulsie.

Czym więc są potwory w „Bitter Root"? W słynnej scenie, w której jeden z członków rodziny Sangery zamienia się w maszkarę, rodzina mówi: przecież nie możesz się zarazić. No bo jak Afroamerykanin mógłby zarazić się rasizmem i to w wydaniu KKK? O tym właśnie jest ten komiks. Potwory to metafora, a walka rodziny Sangery – która ma polegać głównie na leczeniu – próbą walki z rasizmem.

Ciekawa pozycja. Liczę na kontynuację, bo wydźwięk, zwłaszcza w kontekście aktualnych wydarzeń w Stanach, jest niezwykle aktualny.



Autor: Patrick Horvath, Hassan Otsmane-Elhaou
Tytuł: Pod drzewami gdzie nikt nie widzi
Wydawnictwo: Shock Comics
Data wydania: 2026
Tłumaczenie: Arkadiusz Belczyk

Połączcie Kaczora Donalda i Dextera Morgana. Wydaje się absurdalne, wiem, ale o tym właśnie jest ten komiks. Świetnie napisany kryminał z grozą w tle, w którym humanoidalni przedstawiciele fauny żyją obok swoich dzikich odpowiedników. Ludzie-świnie chodzą do rzeźnika po szynkę, bo przecież nie ma w tym nic dziwnego. Dokładnie jak w tym, że Goofy, który był psem, miał psa Pluta.

Odpowiedzialny za ten komiks Patrick Horvath zrobił kawał dobrej roboty. Zbudował historię małego miasteczka Woodbrook, w którym mieszka uwielbiana przez wszystkich niedźwiedzica Samantha. Ma ona jednak mały, mroczny sekret: musi zabijać, jak mówił Jose Arcadio Morales, kubański pisarz-eseista. W związku z tym raz na jakiś czas udaje się do pobliskiej metropolii, żeby wytropić swoją ofiarę, zabić, wrzucić do puszek z farbą i zakopać w lesie. Proste. Problem polega na tym, że ktoś to odkrył. I zabija w jej mieście. A na to Samantha nie może pozwolić.

Komiks świetnie napisany i narysowany. Jak już złapie, to puścić nie chce.

Wydawnictwom dziękujemy za przesłane egzemplarze. Wydawnictwa nie wpływały w żaden sposób na prezentowane spostrzeżenia, które są tylko doznaniami autora. Dłuższe opinie oraz dyskusje na temat komiksów i nie tylko znajdziecie u Mateusza na Instagramie: @strongsilenttype_ _

KOMIKS

POSZŁO Z DYMKIEM – O (NIE)PAMIĘCI RAZ JESZCZE. NA MARGINESIE KSIĄŻKI J. DEMIAŃCZUKA I M. RUSTECKIEGO „PROJEKT RUST”

MATEUSZ SZŁAPKA

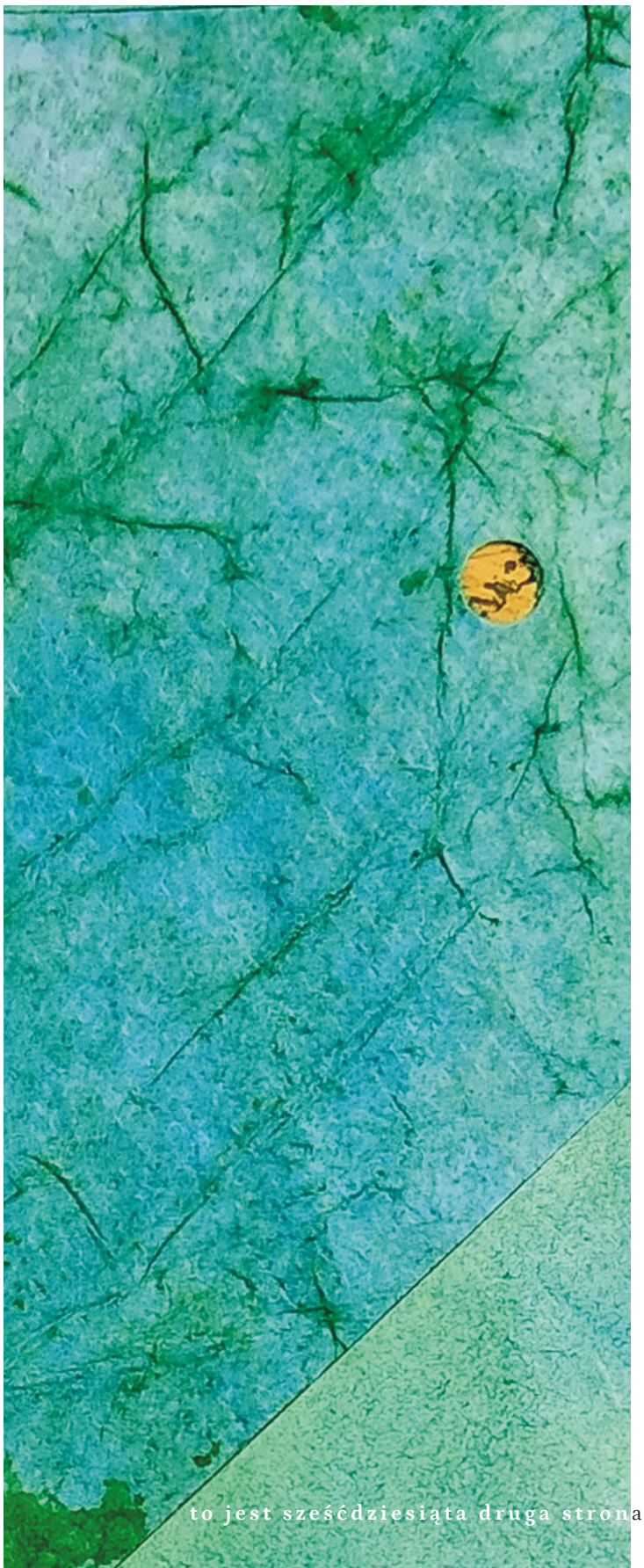

Mateusz jest historykiem, wielkim fanem pamięci, a przez to wrogiem zapominania. To dla niego bardzo ważny dział. Dział, w którym jeszcze nie wskrzesza, ale już ocala przed ludzką ułomnością postaci ważne dla polskiego komiksu. Dziś kolejna taka postać, czytajcie koniecznie!

Pamięć to dziwna rzecz. Przykładam bardzo dużą do niej wagę, chociaż sam mam problemy z zapamiętywaniem rzeczy, zwłaszcza istotnych, w życiu codziennym. Jednakże, jeśli chodzi o zapamiętywanie postaci, dat,wydarzeń i rzeczy, które mnie interesują – sprawa ma się lepiej. Jednocześnie zawsze mi się wydaje, że to, co dla mnie jest oczywiste w kwestii dziedzictwa, jest tym także dla innych. Niestety, nie zawsze tak jest, co budzi rozczarowanie.

Czemu znów piszę o pamięci w dziale komiksowym?

Ano, bo jakiś czas temu przeczytałem wywiad rzekę z Marcinem Rusteckim, absolutną legendą rynku komiksowego w Polsce. Człowiekiem, który stoi, wraz z Arkadiuszem Wróblewskim i wieloma innymi ludźmi, za legendarną marką TM-Semic w Polsce. Pojawia się kolejne pytanie: dlaczego piszę o Rusteckim, tak przecież oczywistym bohaterze dla naszego środowiska? Bo – jak się okazuje – to wcale nie jest takie oczywiste.

Nie ma co ukrywać, popkultura w Polsce ma się bardzo dobrze. Rosnące w siłę konwenty (czy nadal są konwentami w tym podstawowym rozumieniu, to już inna rzecz), sprzedające się na kilogramy funko-popy, bijące rekordy popularności premiery filmów superbohaterskich, tysiące oglądających na platformach streamingowych seriale o Daredevilu, Punisherze, Spider-Manie, w końcu całkiem nieźle prosperujący rynek komiksowy, bo wydawnictw mamy dzisiaj więcej niż kiedykolwiek w historii. Brakuje tylko refleksji: a jak się to zaczęło i kto był za to odpowiedzialny? Mam wrażenie, że nie byłoby tego wszystkiego bez Rusteckiego właśnie. Moje patrzenie jest spaczone przez wykształcenie i podejście do historii, ale zawsze wychodziłem i wychodzę z założenia, że ważne jest źródło Zrozumienie tego, co dzieje się dzisiaj, silnie osadzone jest w naszej przeszłości i bez rozumienia przeszłości nie będziemy w stanie zrozumieć też przyszłości.

Wydawałoby się, że książka „Projekt RUST", czyli wywiad rzeka przeprowadzony przez Jakuba Demiańczuka z Marcinem Rusteckim, będzie ogromnym hitem. Wyprzeda się w mig, Marcin będzie rozchwytywany, wrócą złote czasy. Dodajmy jeszcze, że częścią przedsięwzięcia, poza wywiadem, jest też album z grafikami Marcina. I chociaż „Projekt RUST" otrzymał nominację do nagrody książki roku „Nowej Fantastyki", skądinąd wiem, że hitem nie jest. Nawet, jeżeli spotkania z Marcinem i Arkadiuszem na MFKiG w Łodzi cieszyły się dużym powodzeniem, nie zamazuje to wrażenia, że Rustecki jest dzisiaj postacią zapomnianą, a TM-Semic – zakurzonym artefaktem. Wielu, zwłaszcza młodszych czytelników, tych którzy mają dzisiaj po 25-28 lat, kompletnie nie ma pojęcia kim jest Marcin i czym był TM-Semic. Zdawać by się mogło, że dla osób w moim wieku (35–40 lat) TM-Semic jest legendarny. Ale prawda jest taka, że ja wiem o Semicu głównie w związku z fascynacją komiksami i ich historią, zwłaszcza najnowszą. Dla mojego pokolenia ważniejszy był Tomek Kołodziejczak, przez wiele lat stojący za Kaczorem Donaldem, a potem za sukcesem i hegemonią Egmontu. Marcin Rustecki jest legendą, ale tylko dla dzisiejszych czterdziestoparolatków, którzy po przerwie wracają do hobby komiksowego.

Moje utyskiwania na temat niepamięci biorą się z wewnętrznej potrzeby upamiętniania, jak się przynajmniej wydaje, ludzi ważnych. Nie budowania pomników – te buduje się zmarłym, a Marcin ma się całkiem nieźle (wyglądał tak pół roku temu) – ale próby oddania sprawiedliwości ludziom, którzy stali za ogromnym sukcesem, jakim dzisiaj cieszy się fantastyka w Polsce. A cieszy się, zwłaszcza ta związana z popkulturą, co widać po licznych konwentach, zwłaszcza Pyrkonie, który dzisiaj jest największą tego typu imprezą w Europie Środkowej. Chociaż nie dziwi mnie, że spora część konsumentów popkultury wie, kim był Stan Lee, to z dużą dozą rozczarowania przyjmuję fakt, że młodsi odbiorcy nie wiedzą kim jest Rustecki. Przecież gdyby nie on i nie TM-Semic, to być może kultura komiksu amerykańskiego, superbohaterskiego weszła by do naszego kraju z opóźnieniem. Oczywiście, za Semiciem stał nie tylko Rustecki, to był cały sztab ludzi. Sam Semic przecież był firmą, która już miała rozbudowany katalog i tak naprawdę weszła niejako z gotową recepcją na polski rynek. Można się spierać, czy to nie wynika z faktu, że Marcin znalazł się w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. Czy gdyby nie było Rusteckiego, nie znalazłby się ktoś inny? Pewnie tak. Ale to właśnie Marcin przekuwał popkulturę na nasze polskie podwórko i warto o tym pamiętać.

Wracając jeszcze do książki: „Projekt RUST" to absolutnie zjawiskowy wywiad. Przeprowadzony w dobry, dynamiczny sposób, opowiada nie tylko historię samego Rusta, ale także jego rodziny. Przede wszystkim jednak to opowieść o przygodzie życia, jaką był dla Rusteckiego TM-Semic. Historie o tym, jak został redaktorem naczelnym (pamiętajcie: za historią każdego dużego sukcesu stoi kobieta, w tym przypadku żona Marcina, Gosia), jak wyglądały początki TM-Semic w Polsce, jak trudny był to rynek i jakie problemy firma pokonywała na swojej drodze, jak wyglądały spotkania ze Stanem Lee i dlaczego żona Stana tak dobrze zapamiętałą Rusteckiego; w końcu to opowieść o próbach zapanowania nad ogromnymi eventami, w Marvelu i DC w ramach ograniczeń, z którymi Semic się borykał jako piewca komiksu superbohaterskiego w Polsce. Pamiętajmy, że Semic musiał zmieścić na kilkudziesięciu stronach historie, które toczyły się w niektórych przypadkach latami, sklejać opowieści tak, żeby były jasne dla polskiego odbiorcy. Nie można było się cofnąć i wydać retrospektywnie kilkudziesięciu komiksów w jednej pozycji. Bo kto w latach 90. kupowałby albumy i integrale takie jak dzisiaj i w tamtych cenach? Semic oczywiście wypracowywał własne sposoby na jak najszersze udostępnianie treści komiksowych, bo z jednej strony rynek czasopism kwitł, z drugiej trzeba było znać limity i ograniczenia – papieru, treści a przede wszystkim – kieszeni odbiorców. „Projekt RUST" to też opowieść o przyjaźni, szaleństwie ostatniej dekady XX wieku, ale również historia upadku. Warto nadmienić, że upadku nie do końca zależnego od ekipy Semica. Firma ta stała się ofiarą ogólnoświatowej klęski rynku komiksowego, który dopadł go pod koniec lat 90. Przypomnijmy: to czasy, kiedy splajtował Marvel. Dzisiaj coś absolutnie nie do pomyślenia. Chociaż Marcin Rustecki i ekipa Semica, z Waldemarem Posmykiem-Tevnellem jako głównym udziałowcem, usiłowała ratować sytuację, wyszło inaczej. Rustecki w wywiadzie kreśli powody tego upadku i zwraca uwagę na kilka czynników – sprawdźcie to, bo to naprawdę warte przestudiowania.

Nostalgia to bardzo silna emocja. Jak wspomniałem, nie mogę się nazywać semikowcem, bo szczyt popularności TM-Semic przypadał na czasy, kiedy miałem 5 może 6 lat. Czy miałem komiksy wydane przez TM-Semic? Tak, do dzisiaj pamiętam, że przez „Zabójczy Żart", który kupił mi dziadek nie mogłem spać po nocach. Ale TM-Semic wydawał też inne rzeczy. Były to między innymi małe książeczki z historyjkami dla dzieci. I jedną z pierwszych książek w moim życiu, którą dostałem w wieku 4 lat w 1995 roku była malutka pozycja pt. „Marcin, Łakomczuch i Ser".

W grudniu 2025 roku miałem przyjemność uczestniczyć w spotkaniu Otwartych Komiksów, na którym był Marcin Rustecki. Przysiadł się do mojego stolika, nieniepokojony przez innych, a ja byłem jak spetryfikowany. Szybko jednak się przełamałem i poprosiłem go o podpis w książce „Projekt RUST", którą zachwalałem. Podłożyłem mu też tę małą książeczkę, „Marcin, Łakomczuch i Ser", z prośbą o podpis. Dopisał jeszcze „...i Drink!", nie mogąc się nadziwić, że przez 30 ponad lat i setki kilometrów, wożę tę książkę ze sobą.

Wtedy też miałem możliwość zderzenia swoich wyobrażeń o postaciach takich jak Marcin z rzeczywistością i z tym, czy poza środowiskiem w ogóle się o takich ludziach pamięta. Konstatacja jest raczej smutna. Jeśli wejdziemy na portal, na którym każdy zaczyna szukać informacji na dany temat – czyli Wikipedię – próżno szukać tam strony Marcina Rusteckiego. Jest krótka historia TM-Semic, ale nie ma słowa o człowieku, który przez lata był redaktorem naczelnym tego statku i kreował przez niemal całe lata 90. superbohaterską scenę komiksową w Polsce. Na marginesie warto dodać, że poza TM-Semikiem, Marcin Rustecki jest też wziętym rysownikiem, twórcą autorskich komiksów m.in. serii „Pętla" oraz „Ksionz".

Walczę więc z tym, na tyle, na ile mogę.

I na koniec: pożyczyłem „Projekt RUST" koledze, który od lat już komiksów nie czyta, ale za dzieciaka był fanem, czytał „Strony ze Stali" (dla niewtajemniczonych – to klubowe strony w komiksach Supermana), pisał do Semica i z wypiekami kupował kolejne zeszyty. Nie wiedział, że powstała taka pozycja – wywiad rzeka z Marcinem Rusteckim. Latami już od świata komiksowego był daleko. Dzięki lekturze, właśnie zakupił wszystkie trzy tomy wznowień historii o Człowieku ze Stali, te zresztą, które z wypiekami na twarzy czytał w dzieciństwie: „Śmierć Supermana", „Powrót Supermana", no i coś, czego się wówczas nie doczekał, czyli „Doomsday powraca".

I tak, moi państwo, działa właśnie pamięć i nostalgia.

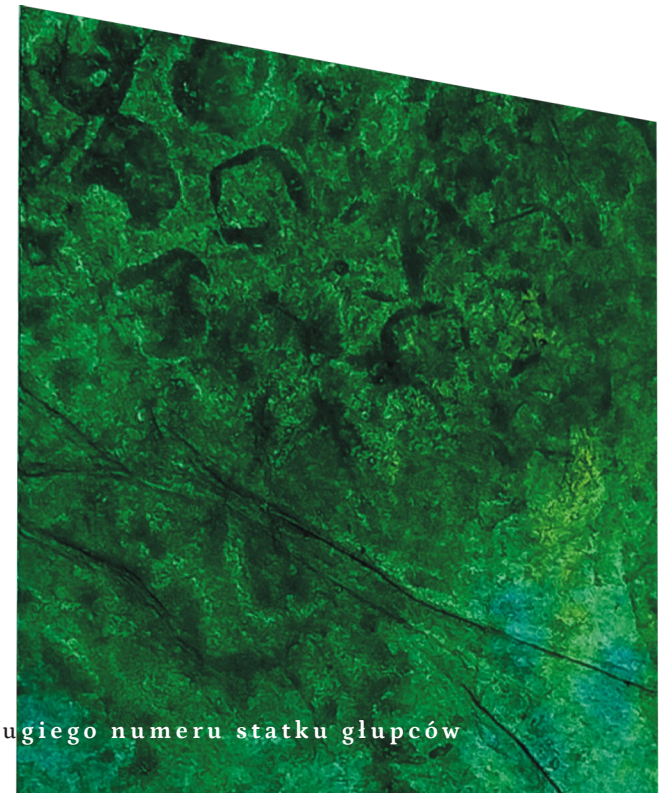

SZARANAGAJAMA, CZYLI POEZJA

BŁĘKIT, KTÓRY NIGDY NIE BYŁ KOLOREM

JANA SOJKA

Od lat podejrzewam, że świat składa się nie z rzeczy, lecz z tego, co zostaje po ich odejściu. Z późniejszych doswiadczeń pamięci, z tego, co osiada na dłoniach po dotknięciu lata. Z tego, co jeszcze przez chwilę oddycha w miejscu opuszczonym przez słowo. Te strony są próbą wsłuchania się w ową resztkę istnienia. W jej błękitnienie. W jej wieczorność. W powolne przesuwanie się światła przez wnętrze pamięci, jak przez stare mieszkanie, którego mieszkańcy dawno wyjechali, lecz firanki nadal poruszają się od powiewu wiatru. Niektóre wspomnienia są bowiem bardziej żywe od teraźniejszości. Potrafią wracać latami, nienazwane, a jednak rozpoznawalne, jak błękit, który nigdy nie był kolorem. Był sposobem, w jaki pamięć uczy się oddalenia.



//
pisanie się nie zaczyna
ono się prześwituje
przez rzeczy niedomknięte
przez światło co się rozlało
i nie wie już gdzie ma być niebo a gdzie stół
słowo przychodzi bokiem
jakby się wstydziło własnej obecności
jakby było trochę z deszczu
trochę z niepamięci
a ja tylko stoję w tym
i słyszę jak język
mruczy pod spodem świata
że coś było
że coś wraca
że coś jeszcze chce się nie skończyć
i wtedy pisanie nie jest pisaniem
tylko takim cichym odrastaniem widzenia
w stronę tego co już się odwidziało

//
pejzaż
nie odchodzi
on tylko powoli zmienia sposób istnienia
staje się lżejszy od pamięci
prawie przezroczysty
jakby uczył się innego światła
i wracam tam
nie po odpowiedź
ale po cichą zgodę na to, że było
a wszystko tam
jest wodne od czasu
łagodne od przenikania
jakby świat nie chciał już ranić ostrością
tylko przechodzi w inną cierpliwość patrzenia
i że to przejście nie ma końca, tylko zmianę tonu

//
niebo jedno
a jednak rozproszone w wielu spojrzeniach
wszędzie to samo niebo
ale człowiek pod nim inaczej milknie
błękit nie pyta o granice
nie zna języków ani powrotów
trwa
jak coś starszego niż pamięć
i delikatniejszego niż człowiek

//
wśród cieni bloków
ludzie jak oddechy w chłodnym błękicie
przemijają cicho
i zostaje po nich tylko lekka zmiana powietrza
jakby świat nie chciał nic zatrzymywać
tylko chwilowo pozwalał się rozpoznać

//
w jednym śnię
w drugim się budzę
i nie wiem już, który z nich dotyka mnie prawdziwiej
który z nich zna moje imię ciszej
a który tylko udaje, że mnie pamięta
w jednym śnię o cieple dłoni
tak jakby sen nie rozumial rozstania
w drugim
budzę się ze śladem na skórze
jakby sen został we mnie w miejscu oddechu
w żadnym nie umiem powiedzieć
czego najbardziej brakuje
może tylko tej chwili, w której mogło się wydarzyć inaczej
albo mnie sprzed zrozumienia, że niektóre rzeczy
zostają już tylko w miękkim świetle
i wszystko jest lekkie, niedomknięte
jak usta, które chciały coś powiedzieć
ale nauczyły się milczeć łagodniej niż słowa
i zostaje tylko to ciche przechodzenie
jakby serce nie wiedziało jeszcze
gdzie
i próbowało wszystkich miejsc naraz

//
krajobraz
nie stoi przede mną
on się powoli prześwietla
przez własne światło
jak fotografia zostawiona zbyt długo między dniem a wspomnieniem
i nagle
to nie ja patrzę na wzgórza
to wzgórza przypominają sobie
że kiedyś przechodziłam obok
z pełnymi kieszeniami błękitu

//
czas osiada na rzeczach
cicho
jak pył na parapecie
i nie wiemy już
czy to my przechodzimy przez dni
czy dni przez nas
fotografia dotyka tego osiadania
próbuje je zatrzymać w kształcie światła
jakby można było zamknąć oddech w papierze
a ojczyzna wraca czasem
nie jako miejsce
lecz jako sposób, w jaki światło pamięta twarz
zanim zdąży ją zapomnieć

//
błękit pojawia się tam, gdzie czas traci ostrość
na krawędziach rzeczy
które jeszcze chwilę temu były pewne
i nagle nie wiadomo
czy to niebo się oddala
czy spojrzenie nie nadąża
zostaje tylko ten odcień
jakby świat uczył się odchodzić spokojniej

//
noc fotografuje mnie
zanim ja sfotografuję ją
i nie wiem
kto naprawdę przechowuje światło

//
jeżeli istnieje dom
to przychodzi rzadko
i nigdy wtedy
gdy się go szuka
pojawia się nagle
między jednym smutkiem a drugim
jak światło
które weszło do pokoju przez niedomknięte okno
i nie wie jeszcze
że powinno stąd odejść
czyjeś spojrzenie spoczywa na tobie
bez ciekawości
bez ratunku
bez tych wszystkich słów
którymi ludzie zasłaniają własny lęk
za oknem czernieją drzewa
noc zbiera z ogrodu swoje narzędzia
ziemia oddycha wilgocią
a ty po raz pierwszy od dawna
możesz być
jak kamień przy rzece
jak ślad buta w błocie
jak dym unoszący się nad pustym polem
niepotrzebny
i przez to prawdziwy
a jednak w powietrzu zostaje jeszcze ciepło trwania

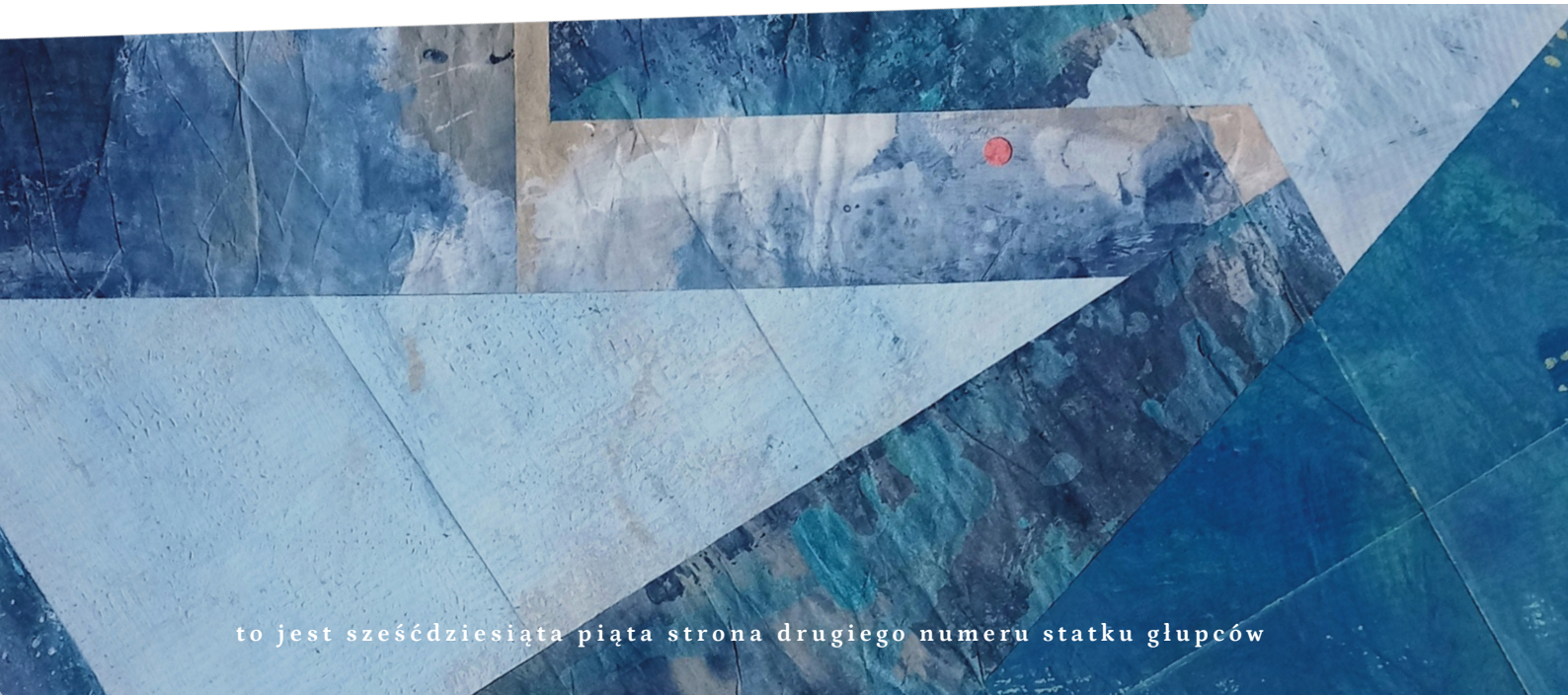



//
coś błękitnego zostaje zawsze po odejściu
nie rzecz
nie wspomnienie
raczej ślad między nimi
jakby świat nie znikał całkiem
tylko zmieniał temperaturę obecności

//
niebieski dotyka mnie pierwszy
zawsze pierwszy
zanim myśl zdąży się ubrać
zanim ciało znajdzie wymówkę
on już wie
gdzie jestem najbardziej odsłonięta

//
gdzie mieszka dom?
nie w ścianach
lecz między synapsami
których rozświetla zapach bzu
dźwięk miękkich samogłosek.
na północnym wietrze

błękit w moich żyłach
to nie metafora
to geografia
zaznaczam miejsca
gdzie cisza robiła się ciepła
a czas zwalniał
by słuchać

//
w oknach nocnych odbić
mieszkają inne niepewne światy
każde z nich drży
jakby nie wiedziało
czy istnieje naprawdę
fotografia zbiera te drżenia
w jedno milczenie
i nagle wszystko
staje się bardziej pamięcią niż obrazem

//
ciało pamięta noc wcześniej niż umysł
w kościach zapisuje się jej chłód
w dłoniach jej brak kształtu
fotografia zatrzymuje ten zapis
ale on i tak
nadal oddycha
jakby nie chciał się skończyć w obrazie

//
błękit nie jest kolorem
jest sposobem odchodzenia
rozkłada się na rzeczach powoli
uczestniczy w ich zanikaniu
ale robi to z taką czułością
że nie sposób nazwać tego stratą

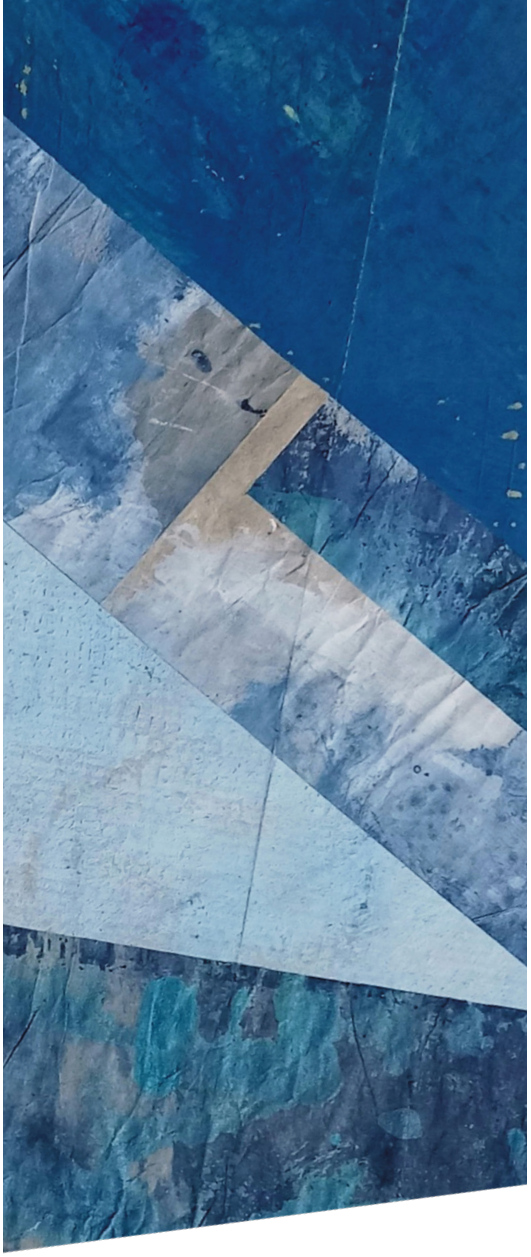

// notatka:
Ciało w nocy staje się mniej pewne siebie.

Jakby zrzucało swoje granice powoli, bez dramatów, bez zgody, wracając do czegoś wcześniejszego niż kształt, do czegoś, co nigdy do końca nie nauczyło się być nazwane.

Jest w tym rozpadaniu dziwna miękkość, prawie czułość, niemal okrucieństwo tej czułości. Ciało nie upada, raczej się rozluźnia. Zapomina, gdzie się kończy, i przez chwilę to zapomnienie wydaje się prawdą, a nie utratą.

Fotografia próbuje to uchwycić, nie samo ciało, lecz moment, w którym zaczyna ono znikać z samego siebie. Ale na powierzchni obrazu zostaje tylko drżenie, cienkie, niespokojne wibracje, które nie chcą ani początku, ani domknięcia.

Nie da się znaleźć ich źródła, nie da się wskazać punktu, w którym się zatrzymują. Trwają mimo to, jak coś, co nie należy do czasu, tylko do jego przemijania.

SZARANAGAJAMA, CZYLI POEZJA

RAMIĘ ORIONA

TOMEK ZIEMBICKI



Wleciałem na bezcieplnej galaktyki przestwór,
Gwiazdolotem mym szarpie, jak osiką trzęsi,
Śród chłodu gwiazd płonących, śród słońców kipieli,
Omijam międzygwiezdne obłoki wodoru.

Radioboja milczy, nigdzie dla mnie pasażu,
Patrzę w ekran, gwiazd szukam, konstelacji moich;
Tam z dala mruga pulsar? tam magnetar stoi?
To wrzeszczy Vela, to błyska latarnia domu.

Lećmy! - Jak martwo! - Widzę szczątki pogwiazdowe,
Których by nie wskrzesiły pioruny Viktora;
Widzę, jak słońców obcych paliwo jądrowe,

Jak ta życia materia dochodzi do zera.
W tej ciemności - tak oko wytężam ciekawe,
Że widzę Ziemi zieleń - lećmy, nic tu po nas!

TARAN-TELA

JAROSŁAW JĘDRASZCZYK

SZARANAGAJAMA, CZYLI POEZJA

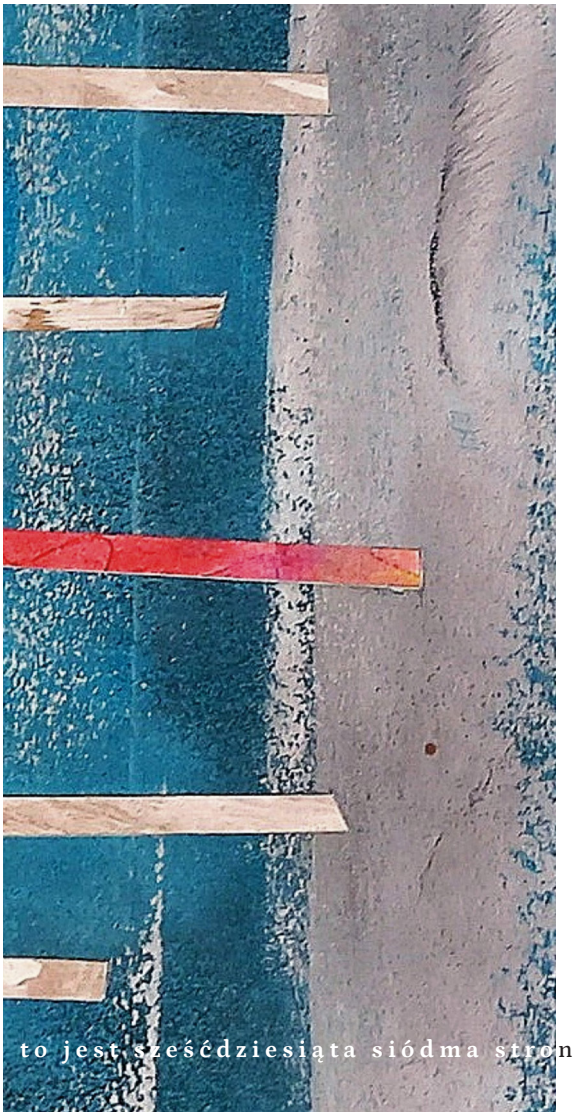

Nocą ze strachu przed dniem
Za dnia z tęsknoty za nocą
Węszyciel sen ma gest!
Antykwariuszom wszystkich ciem
Nabrzmiało słońcem oko
Na pewno tak jest!

Doczekać się zimy w lecie
Zimą godzin pełnych słońca
Z mowy płynnie przez śpiew!
Ze śpiewu taniec się plecie
Tarantelą straszymy pająka
Na pewno tak jest!

Zzieleniał nam już błękit
I zegar na wojnie z czasem
Stracił wskazówki dwie!
Dziejopisarzu tych głębin
Co ze studni dudni basem
Na pewno tak jest!

Tyle z jasnego nieba
Odbija się w lustrze łąki
Muzyka sfer lub drzew
I ten co duszę swoją sprzedał
I ten co ciało odtrącił
Na pewno tak jest!

SZARANAGAJAMA, CZYLI POEZJA,

O PANU O.

ADAM BUSZEK

ŁUKASZ KANIEWSKI

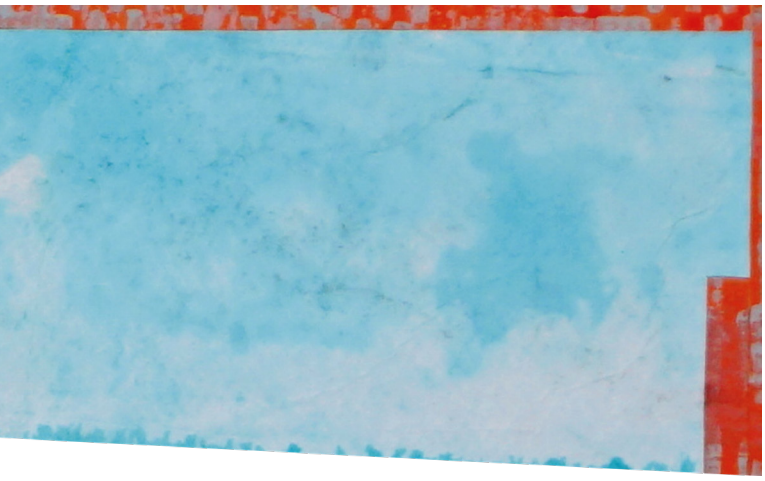

Adam, załogant z czasów, gdy jeszcze pływanie trenowało się na sucho, proponuje nam podróż pod ramię z Panem O, który zdaje się mieć receptę na każdy codzienny i niecodzienny problem. Na pewno w niecodzienny sposób uda się Adamowi zachęcić Was do spróbowania się z poezją Łukasza Kaniewskiego!



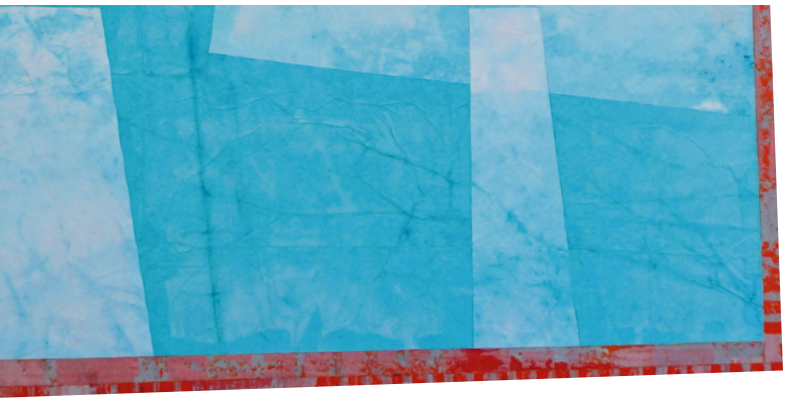

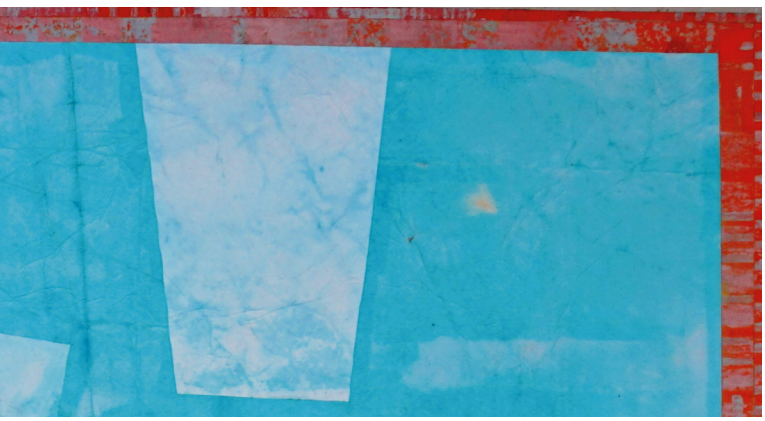

Tylko spokojnie, wbrew wszelkim pozorom czytasz tekst o tomiku próz poetyckich Łukasza Kaniewskiego „O Panu O" (Warszawa 2025).

Od ładnych (lub brzydkich) kilku lat komisja układająca zadania maturalne z języka polskiego upodobała sobie pytać o stoicyzm w pieśniach Jana Kochanowskiego. Całkiem przytomnie trzecioklasista zapytał mnie więc, co to takiego. Równie przytomnie odpowiedziałem mu: „No wiesz, stoicyzm to taka litera O w alfabecie".

„Uzasadnij odpowiedź", proszą w arkuszach egzaminów. Uzasadniam przeto ochoczo i odpowiedzialnie. Litera O jest wszędzie i nigdzie w jednym i wielu czasach. Ot, krąży sobie orbitalnie w rytmie Ziemi, jest w początkach, końcach, środkach, dołach, górach, w ciemnej d... i jasnej g... O jest domatorką i globtroterką. Ratuje sens życia wielu słów i niewielu. Opada, odpada, odlatuje, odrzuca, oplata, osacza. Zenon z Kition stworzył więc dwadzieścia cztery stulecia temu nie tyle szkołę filozoficzną, ile uniwersalną religię litery O. A potem ojcowie chrześcijaństwa, wyprowadzając pokraczne dowody na istnienie Boga, w istocie nieudolnie wyznawali miłość literze O.

Oczywiście: odpowiedź O może na egzaminie uzyskać 0 punktów. Oskarżona o niezgodność z poleceniem, opowiada jednak coś, co oddaje istotę rzeczy. Należąc do królewskiej rodziny samogłosek, wspiera kulę i wszechświat, a nawet więcej: jest kulą i wszechświatem.

Skoro tak, nazwanie bohatera swojej książki O oznacza po prostu pisanie książki o wszechświecie, o nas, o Bogu. Czego chcieć więcej?

I tak Pan O jest stwórcą, kreatorem, zaklinaczem i demiurgiem.

- Te góry były tu jeszcze przed chwilą – zmartwił się pan O. - Wystarczyło tylko odwrócić wzrok!

I co mógł zrobić w takiej sytuacji? Nie miał wyjścia, musiał cofnąć czas. Zdecydował się na ten krok, choć wiedział, że to źle widziane i różni mądrale będą się pieklić (20).

Pieklą się zresztą od początku słowa „czas" i Pan O nie powinien mieć skrupułów. Jeśli je odczuwa, to tylko dlatego, że wymyślił kiedyś tak głupią zabawę jak „nie zrywaj tego jabłka, bo ci dam po łapach i będziesz się wstydził". No to zaczęli się bawić i od tej zabawy mają problemy z czasem, przestrzenią, byciem i niebyciem.

Nawet z tak prostą sprawą jak miłość są teraz problemy.

Podobno dość łatwo ją stracić, a wtedy nie można jej zastąpić i trzeba szukać innej (co na ogół się nie udaje). Jednak miłość Pana O, wbrew wszelkim pozorom nie zniknęła, tylko zmieniła się

(...) w energooszczędną żarówkę.

Pan O otrząsnął się jakoś, wkręcił ją i działała.

Nie próbujcie tej metody w domu. Sprawdźcie ją w markecie elektrycznym, tuż po wyjściu z marketu meblowego, gdzie wespół ze swoją miłością właśnie kupiliście to, czego potrzebuje wasz nowy-stary dom, ale na parkingu między sklepami świeci dziwnie znajomy, bielutki włos zniknięcia.

A co jest dobre na rany? Plastry i bandaże, powiecie śmiało. Pan O wynalazł jednak coś o niebo skuteczniejszego.

(...) długo nie nazywał rzeczy po imieniu, powszechnie przyjętymi słowami. Wyrażał się ostrożnie i dookoła. (...)

Ta delikatność przyniosła w końcu efekty. Rzeczywistość się zagoiła (9).

I po krzyku.

No, a w końcu jak pan O wymyślił ten stoicyzm? To bardzo proste. Pewnego razu bał się tygrysów (chociaż nie żyły w jego kraju), ale jego asystent (mówiące głuche ucho, bardzo przydatne) doradził mu, aby myślami zmniejszył tygrysa w kota. Niestety tygrys zmniejszyć się nie chciał, w drugą jednak stronę poszło łatwiej: dał się powiększyć na tyle, że mógł bez trudu połknąć głowę Pana O. Tygrys od razu się uspokoił, zupełnie jak Pan O. Morałów z tej historii jest wiele, ale jeden warto tu zapisać: „głodny tygrys – zły tygrys". Podobno żyjemy w „kulturze terapeutycznej", a Pan O jest kulturą, terapią, socjologiem i psychologiem.

Najwyższa pora powrócić do początków polskiej poezji renesansowej.

Jan Kochanowski dobrze znał Pana O, bardzo go lubił, a nawet kochał, więc pisał mu pieśni.

Pan O postanowił się odwdzięczyć i też coś napisać dla Jana.

Pan O usiadł przy biurku, żeby coś napisać, ale laptop był na kanapie. Przesiadł się na kanapę, ale laptop był na balkonie. Przeniósł się na balkon, ale laptop był w kuchni. Przeniósł się do kuchni, ale laptop był na fotelu. Przeniósł się na fotel, ale laptop był na podłodze. Usiadł na podłodze, ale laptop był na łóżku. Położył się na biurku i usnął (49).

A ja przed snem mimo wszystko dorwałem laptop (mam sposób: dopadam go wtedy, gdy mu się wydaje, że jest całkiem bezpieczny) i zdążyłem napisać o stoickim tomiku Łukasza Kaniewskiego „O Panu O". Odpowiedzcie sobie, czy było warto.

Ale zanim to zrobicie, policzcie „o" w poprzednim zdaniu, od końca i od początku. To całkiem dobra metoda na sen.

Adam Buszek
pracowniadamslowo@gmail.com



SHOCK COMICS

KOMIKSY, KTÓRE ZOSTANĄ Z TOBĄ NA DŁUŻEJ

Wciągające historie. Niezapomniane postacie.
Nagradzone tytuły. Teraz w Twoich rękach.

ICE CREAM MAN
Antologia grozy – opowieści, które wymykają się rozsądkowi.



KULTOWA SERIA
PIERWSZY RAZ PO POLSKU!

POD DRZEWAMI, GDZIE NIKT NIE WIDZI
Makabryczna zbrodnia i pozorna sielanka. Nic tu nie jest oczywiste.



ZWYCIĘZCA BOOK OF THE YEAR 2025 HARVEY AWARDS

BITTER ROOT
Gęsta atmosfera Harlemu z lat 20. i niewyobrażalne zło, które pustoszy ludzkość!

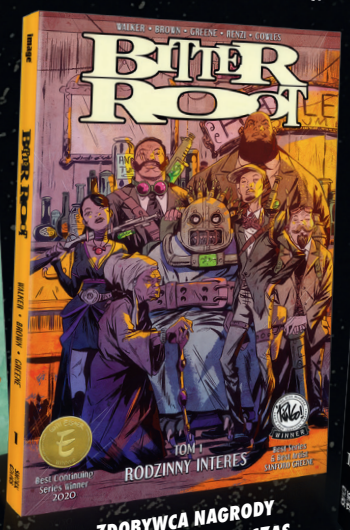

ZDOBYWCA NAGRODY ZA BEST SERIES PODCZAS RINGO AWARDS

DEWIANT
Mroczny kryminał o obsesji i ciemnych stronach ludzkiej natury.

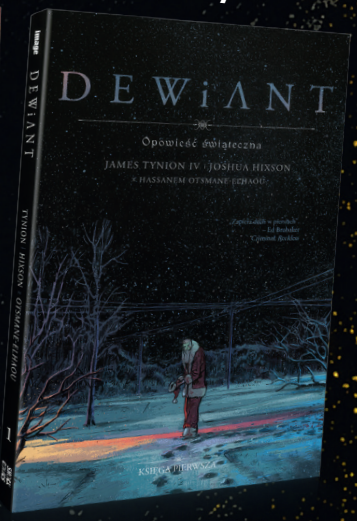

POZNAJ CAŁĄ NASZĄ OFERTĘ

Odkryj świat SHOCK COMICS – mroczne tajemnice, dziką akcję i poruszające opowieści.
KOMIKSY Z CHARAKTEREM!

DOŁĄCZ DO NAS!
Śledź nowości i zapowiedzi na:

shockcomics.pl
facebook.com/shockcomicspl
instagram.com/shockcomicspl

Rozpoznanie: *CHOROBA KOCIEGO PAZURA* (łac. Lymphoreticulosis benigna) – bakteryjna choroba odzwierzęca wywoływana przez bakterie Bartonella henselae. Do zakażenia dochodzi zazwyczaj przez zadrapanie lub ugryzienie przez zakażonego kota (zwłaszcza czarnego), u którego bakterie te bytują, przenoszone przez pchły. Typowym objawem jest powiększenie węzłów chłonnych oraz niejasne wrażenie, że kot czerpie ze stanu swojej ofiary dziką satysfakcję.

RECEPTA NA BÓL DUPY

MAŁGORZATA JACHIM

Najwięcej listów redakcja otrzymała w związku z poradami farmaceutycznymi. Okazuje się, że tych jest na rynku straszliwy deficyt, dlatego wybiegając naprzeciw Waszym oczekiwaniom, zamknęliśmy Gosię w piw... w biurze, przy komputerze, żeby każdy dostał swoją diagnozę oraz odpowiednią porcję leczenia!

Maść „Pod kocią skórkę"

Receptura

1. Garść „strach ma kocie oczy"

Michaił Bułhakow – "Mistrz i Małgorzata"

Klasyk, którego nikomu nie trzeba przedstawiać. Historia kobiety o imieniu predysponującym do bycia wiedźmą oraz kocura Behemota (choć lepiej nie mówić do niego per „ty", o ile nie wypił z wami wcześniej bruderszaftu). Do tego odrobina demoniczności, groteskowych realiów sowieckiej Rosji, Poncjusza Piłata i odwiecznej walki dobra ze złem. Mieszanka równie kusząca, co spodeczek śmietanki.

Stephen King – "Cmętarz zwieżąt"

Sielankowa historia szybko skręcająca w kierunku narastającej grozy. Okazuje się, że pochowanie ukochanego kota twoich dzieci na indiańskim cmentarzysku może nie być najlepszym pomysłem. Church wraca, ale odmieniony – pachnący rozkładem i patrzący na ludzi z jeszcze większą pogardą, niż koty mają w zwyczaju. Zostaje zwiastunem mrocznych wydarzeń, bo choć sierściuchy mają dziewięć żyć, ludzie niekoniecznie. I zazwyczaj lepiej, aby to, co martwe, pozostało w grobie.
Mistrz horroru w szczytowej formie.

2. Łyżka „Similia similibus curantur"

Sho Ishida – "Zaleca się kota"

Jeżeli lubicie książki z azjatyckiego nurtu healing books albo chcecie sprawdzić, z czym to się je – ten tytuł to mój zdecydowany faworyt. Fabuła jest prosta i schematyczna, ale całość wypada bardzo przyjemnie. Trafiający do schowanej w tajemniczym zaułku kliniki pacjenci zamiast recepty na swoje bolączki dostają... kota. Bo w końcu nie od dziś wiadomo, że mruczący futrzak jest dobry na wszystko – smutek, stres, złamane serce czy egzystencjalne rozterki.

Jochen Gutsch, Maxim Leo – "Frankie"

Frankie to żadna tam miękka klucha – prawdziwy kocur z charakterem, czyli taki, który wie, że świat kręci się wokół niego. Nawet jeśli ten świat to zardzewiała wanna na wysypisku. Pewnego dnia los krzyżuje jego ścieżkę z bardzo smutnym mężczyzną, przy którym Frankie będzie miał łapki pełne roboty. Lekka i zabawna historia o tym, że czasem to nie człowiek ratuje kota, tylko kot człowieka... choć robi to przy okazji i jakby od niechcenia. Puszka tuńczyka zamiast „dziękuję" w zupełności wystarczy.

3. Szczypta „mądrości"

Susanne Schötz – "Sekretny język kotów"

Jeśli czasem zastanawiasz się czy „miau" oznacza „kocham cię", czy raczej „niewolniku, moja miska jest niedopuszczalnie pusta" – ta książka będzie nieocenioną pomocą. Profesorka fonetyki, wyodrębniając i analizując kocie odgłosy w ramach wieloletniego programu badawczego, udowodniła, że koty używają komunikacji werbalnej pomiędzy sobą, a także w relacjach ze swoimi poddanymi.
Miauczenie, syczenie, prychanie, gruchanie, ćwierkanie, furczenie, wycie – to tylko niektóre odgłosy, jakie rozszyfrowuje dla nas autorka. Nie rozgryzła tylko jednego: niesłyszalnego dla ludzkiego ucha dźwięku, który twój mruczek wydaje, donosząc na ciebie reptilianom (nie kłamię, sprawdźcie sobie w dowolnej teorii spiskowej).

Małgorzata Biegańska-Hendryk – "Co jest, kocie?"

Kopalnia wiedzy o kociej psychice, zwyczajach i zdrowiu. Nauczy cię, jak stworzyć ze zwierzakiem więź opartą na zaufaniu i poczuciu bezpieczeństwa, pokaże, jak zadbać o jego potrzeby i zorganizować przestrzeń, w której każdy kot poczuje się jak u siebie w domu.
Autorka z lekkością i humorem rozkłada kota na czynniki pierwsze, choć on sam zapewne uznałby tę publikację za rażące naruszenie prywatności.

Sposób przygotowania

Rozgnieć składniki w moździerzu, dodaj suszoną kocimiętkę i wosk pszczeli. Mieszaj do uzyskania jednorodnej konsystencji. O kocim kłaczku nie musisz pamiętać – i tak jest nieunikniony.

Sposób użycia

Nakładaj dwa razy dziennie na zmienione chorobowo miejsca. Przyłóż kocią skórkę.
UWAGA! Kocia skórka wykazuje właściwości prozdrowotne *WYŁĄCZNIE* jako element żywego osobnika gatunku *Felis catus.*

Działania niepożądane

Mogą obejmować:

przeświadczenie, że zrzucanie przedmiotów ze stołu podczas patrzenia Ci prosto w oczy jest akceptowalną formą komunikacji,
tolerowanie sierści w kawie w dowolnej ilości.

W razie wystąpienia skonsultuj się z farmaceutą.



rys. Paulina Stefaniak

KRZY-ŻÓW-KA

ANNA SAMCZYŃSKA



1. Popularyzator teorii heliocentrycznej z XVI w.
2. Powieściowa planeta-ocean.
3. Pierwszy pies w kosmosie.
4. Cząstka elementarna mająca cechy cząstki i fali elektromagnetycznej.
5. (poziomo) Dostosowanie planety do zamieszkania przez ludzi.
5. (pionowo) Błyskawiczne przenoszenie materii w inne miejsce.
6. Program księżycowych misji załogowych NASA.
7. Genetyczna kopia.
8. Stosunkowo niewielki obiekt poruszający się po orbicie wokół planety.
9. Najczarniejszy materiał absorbujący światło w ponad 99,9%.
10. Łacińska nazwa Księżyca.
11. Tor lotu w przestrzeni.
12. Nurt uznający udoskonalenie człowieka za pomocą technologii.
13. Mechaniczny pancerz zwiększający ludzkie możliwości fizyczne.
14. Robot humanoidalny.
15. Powszechna siła ciążenia.
16. Następstwo kontaktu materii z antymaterią.
17. Jednostka odległości w kosmosie definiowana przez średnią odległość Ziemi od Słońca; 3,26 roku świetlnego.
18. Zbudowana z antycząstek.
19. Planeta karłowata od 2006 r.
20. Tunel... – łączy dwa odległe punkty w kosmosie.
21. Zjawisko różnic w pomiarze czasu w różnych układach odniesienia, przy prędkościach bliskich światłu.
22. (poziomo) Najbliższy Ziemi czerwony karzeł położony w gwiazdozbiorze Centaura.
22. (pionowo) Wirująca gwiazda neutronowa emitująca impulsy promieniowania.
23. Wielki robot sterowany przez człowieka do walki z Kaiju.
24. Obraz 3D tworzony przez światło.
25. Gaz szlachetny.
26. Tor ciała poruszającego się pod wpływem ciążenia, w kształcie elipsy.
27. Gazowy olbrzym.
28. Sprzeczność logiczna.
29. Zagłębienie po uderzeniu meteorytu.
30. (poziomo) Jeden z księżyców Saturna.
30. (pionowo) Na przykład Hubble'a lub Webba.
31. Inna postać atomu tego samego pierwiastka, na przykład deuter.
32. Inna nazwa punktu libracyjnego lub tytuł książki, której autorem jest Istvan Vizvary.
33. Superinteligentny komputer opisany w jednej z książek Stanisława Lema.
34. Jeden z rodzajów promieniowania jonizującego.

Litery z wyróżnionych pól, czytane od góry, utworzą rozwiązanie.

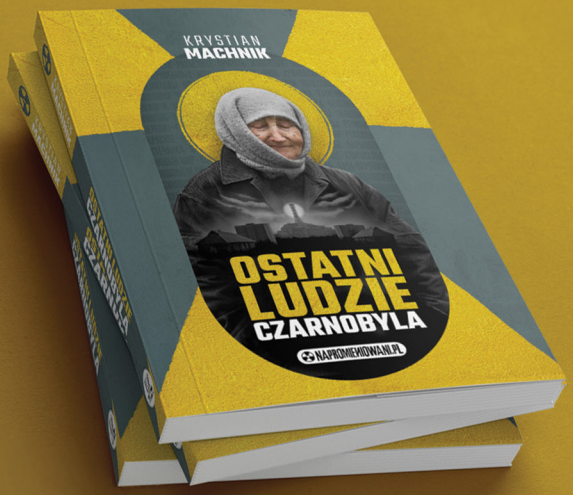

POZNAJ LUDZKĄ STRONĘ CZARNOBYLA

KSIĄŻKĘ KUPISZ NA: OSTATNILUDZIECZARNOBYLA.PL

Książka napisana
Dobiście przez autora



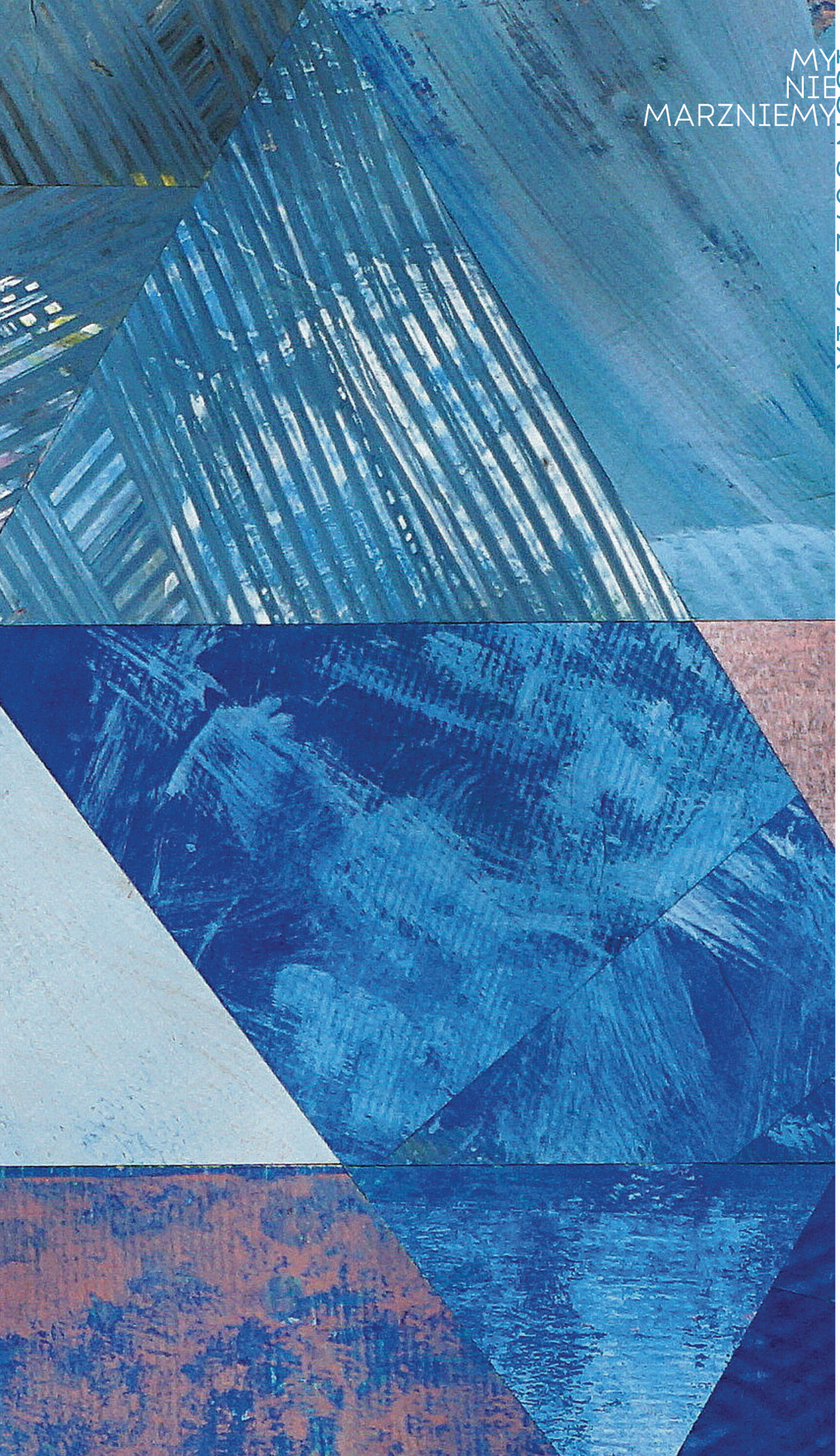

MY NIE MARZNIEMY

ISSN 3072-371X

ZWYCIĘŻONY

STOWARZYSZENIE IK INICJATYWA KULTURALNA

Statek Głupców